



DZIKA REPRYWATYZACJA

**Co Gronkiewicz-Waltz
próbuję ukryć przed komisją**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 27/229 3-9 LIPCA 2017

Minister Szyszko
– prawdziwy obrońca
Puszczy Białowieskiej?

Jak Austriacy
wymazywali swe obozy
koncentracyjne

DOBRY BIZNES Z TRUMPEM

Rozmowa z prezydentem Andrzejem Dudą



PLUS: RAPORT „Do Rzeczy” O KULISACH WIZYTY PREZYDENTA USA W POLSCE

eprasa.pl fbea422e6c



ZAWSZE BLISKO

RAZEM BEZPIECZNI

#RAZEMBEZPIECZNI

Ministerstwo Obrony Narodowej
zaprasza na
polsko-amerykański
piknik wojskowy

6 lipca 2017, godz. 15.00
błonia PGE Narodowego

ORGANIZATORZY



PARTNERZY





W RZECZY SAMEJ

Holokaustianizm i antypolonizm

Właściwie nie powinienem się dziwić. Przeciwnie. Przecież wszystko dzieje się dokładnie tak, jak przewidziałem i opisałem w książce o religii Holokaustu. Zacząłem ją od przypomnienia – kto nie pamięta, niech sprawdzi – słów dyrektora FBI Jamesa Comey'a (to ten sam, którego ostatnio pozbył się Donald Trump, niestety nie za głupoty na temat historii, ale za wykorzystywanie służb do walki z prezydentem USA). W kwietniu 2015 r. w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie powiedział on: „Dobrzy ludzie pomogli w wymordowaniu milionów [...]. W swoim mniemaniu mordercy oraz ich wspólnicy z Niemiec, Polski, Węgier i bardzo wielu innych miejsc nie dopuszczali się niczego złego. [...] Tak właśnie czynią ludzie i to powinno nas naprawdę przerażać”. Po fali protestów złożył dość pokrętne przeprosiny-wyjaśnienie, każdy mógł je odczytać po swojemu. Pisałem, że takich przypadków nedorzecznego przypisywania winy Polakom za zbrodnie Niemców będzie coraz więcej, bo jest to część coraz powszechniejszej na

Zachodzie, szczególnie w kręgach uniwersyteckich i intelektualnych ideologii (religii?). I dokładnie tak się dzieje.

Musimy pamiętać, że wiele narodów współuczestniczyło w realizowaniu Holokaustu. W tym także naród polski – powiedział w telewizji publicznej rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, a brzmi to jak parafraza Comey'a. Ciekawe, że zwykle tak ostrożny i przezorny rzecznik tym razem nie ugryzł się w język. Najprawdopodobniej w jego środowisku słowa te uchodzą za powszechnie przyjętą prawdę, oczywistość. Tak tylko jestem sobie w stanie wytłumaczyć jego dezynwolturę i późniejsze, tak jak w przypadku Comey'a, wątpliwe przeprosiny. Dokładnie ta sama ideologia przejawiała się w komentarzu niemieckiej gazety „Frankfurter Rundschau”: „Słowa polskiej premier w Auschwitz, że Polska musi przede wszystkim bronić bezpieczeństwa obywateli, pasują jak ulał do nowej polityki historycznej Warszawy. Chodzi o to, by przedstawić Holokaust jako czysto niemiecką zbrodnię,

w której Polska nie miała udziału”. Pominę drobniaczki, jakim jest fakt, że Beata Szydło niczego takiego, co przypisuje jej niemiecka gazeta, nie powiedziała. Ważniejsza jest druga część twierdzenia. Według autora artykułu to, że Holokaust był niemiecką zbrodnią, a Polska nie miała udziału w Holokauście, jest... kłamstwem propagowanym przez rząd PiS. Cóż, jak zwykle w obliczu takiej beczelności ogarnia człowieka bezradność. Krzyczeć? Protestować? Jak to możliwe, żeby ktoś tak bezwstydnie łgał?

Oburzenie i gniew to oczywiście właściwa reakcja na kłamstwo. Podobnie jak domaganie się kary dla oszczerców. Jednak niewystarczająca. Państwo polskie, obawiam się, musi robić znacznie więcej niż dotychczas, jeśli naprawdę chcemy zmienić sytuację. Bo ona z roku na rok jest gorsza. Fałszywa świadomość historyczna, którą starałem się dokładnie opisać gdzie indziej, ma dla Polski skutki fatalne. Prowadzi do przypisywania narodowi polskiemu nie jego win i odbieraniu mu prawdziwych, historycznych zasług. Obrona polskiej pamięci historycznej musi być jednym z głównych wyzwań polskiego państwa. I chociaż dużo dobrego pod tym względem się od 2015 r. wydarzyło, to wciąż brakuje ważnego elementu: skutecznego dotarcia do zachodniej opinii publicznej z polską opowieścią. Jej ważną częścią musi być przypomnienie, że to niemiecki, nazistowski antypolonizm i sowiecki antypolonizm Stalina doprowadziły do zabójstwa setek tysięcy, milionów Polaków, głównie polskich katolików. Jeśli to się nie uda, to fałszywy mit mówiący o udziale narodu polskiego w niemieckiej zbrodni będzie się rozszerzał. ©

RYSunek TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z PREZYDENTEM
ANDRZEJEM DUDĄ

**CHCĘ ZROBIĆ
Z PREZYDENTEM TRUMP
DOBRY BIZNES DLA POLSKI**

W interesie USA jest bezpieczna
Europa

RAPORT



20 MARCIN MAKOWSKI

OPERACJA „TRUMP”

Jak doprowadzono do wizyty w Warszawie?

24 ROZMOWA Z FRANCES BURWELL

NAJPIERW DUDA, POTEM PUTIN

26 JACEK PRZYBYLSKI

NAGONKA NA TRUMPA

KRAJ

28 ROZMOWA Z PROF. JANEM SZYSZKĄ
SPÓR O PUSZCZĘ JEST IDEOLOGICZNY

Minister środowiska: Zachód spogląda
z zazdrością na nasz ekosystem

32 PIOTR SEMKA

KUKIZOWISKO

34 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ŚLEDZIEWSKIM,
ŚWIADKIEM WS. REPRYWATYZACJI

**CO HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ
PRÓBUJE UKRYĆ PRZED KOMISJĄ**

36 MACIEJ PIECZYŃSKI

SĘDZIA POLITYCZNIE ROZGRZANY?

38 WOJCIECH WYBRANOWSKI

KTO CHRONIŁ PIRAMIDĘ?

40 KATARZYNA PINKOSZ

RACHUNEK ZA SZPITAL

42 ROZMOWA Z PROF. MAGDALENĄ GAWIN

**JAK AUSTRIACY WYMAZYWALI
SWE OBOZY KONCENTRACYJNE**

46 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

BALANGA U MECENASA

KULTURA

48 PIOTR GOCIEK

PRZYSZŁOŚĆ JEST HAMBURGEREM
„McImperium” – wizja lepszej Ameryki?

50 ROZMOWA

Z DR. HAB. ANDRZEJEM SZCZERSKIM

OD DENARA DO ZEGARKÓW

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

**OPOZYCJA PILNIE
POTRZEBNA**

Autodestrukcja
przeciwników PiS

60 ROZMOWA

Z WŁODZIMIERZEM
CZARZASTYM

**RONDO GIERKA MA
ZOSTAĆ**



62 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

MACRONIZM PO ZAPATERYZMIE

64 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI

**EGZORCYZM NAD POLSKĄ
I PENTEKOSTALIZACJA**

HISTORIA

68 MARTA MARCINKIEWICZ

W CINI ŚMIERCI

Gra operacyjna SB wokół pogrzebu
syna i synowej Mariana Jurczyka

ŚWIAT

72 GABRIEL MICHALIK Z ROSJI

MOSKWA ZNAD HOMARA

Opozycja, protesty i rosyjskie życie

76 SZEWACH WEISS

TRUDNE

ZARZĄDZANIE Z TWIERDZY

78 OLIVIER BAULT

ODERWAĆ KATALONIĘ

WAKACJE Z „DO RZECZY”

88 PIOTR SEMKA

ŚLADAMI GRYFITÓW

Pomorze zaodrzańskie

90 ŁUKASZ ZBORALSKI

LETNIE IMPREZY Z RADIEM

BĄDŹ W CENTRUM WYDARZEŃ

DONALD TRUMP

PIERWSZE PUBLICZNE WYSTĄPIENIE
PREZYDENTA USA W EUROPIE

6 LIPCA • GODZ. 13:00
PLAC KRASIŃSKICH W WARSZAWIE



Po zakończeniu wystąpienia zapraszamy na polsko-amerykański piknik
wojskowy organizowany przez Ministerstwo Obrony Narodowej,
Ambasadę USA w Warszawie oraz PGE Narodowy.

Start: godz. 15.00 • Miejsce: błonia PGE Narodowego

ORGANIZATORZY:



 AMBASADA
STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI



PARTNERZY STRATEGICZNI PIKNIKU:



PARTNER
OPERACYJNY
PIKNIKU:



Droży Czytelnicy,

Spore poruszenie wywołała publikacja artykułu Wojciecha J. Muszyńskiego („Do Rzeczy” 24/2017), który recenzując książkę Rafała A. Ziemkiewicza „Złowrogi cień Marszałka”, do jego krytyki Naczelnika dodał jeszcze od siebie sporą porcję antypięsudczykowski motywów. Oto jeden z nadesłanych listów i odpowiedź autora.

„Piłsudski nie był emanacją Polski”

[...] Wojciech J. Muszyński organicznie nie znosi Józefa Piłsudskiego. Nie waha się zatem posuwać do kłamstw, insynuacji i przemilczeń – niegodnych zawodowego historyka – byleby zożydzić Piłsudskiego w oczach czytelnika. Najlepszy przykład tego podejścia stanowi przedstawienie przez Wojciecha J. Muszyńskiego kwestii zachowania Piłsudskiego w dniach 12–16 sierpnia 1920 r. Pomijając kwestię kontekstu i interpretacji dymisji z 12 sierpnia, brak wzmianki o tym, że już 13 sierpnia o godz. 10 Piłsudski był w Dęblinie, a 14 i 15 spędził na inspekcji pułków Frontu Środkowego, dyskwalifikuje rzetelność autora.

Wojciech J. Muszyński nie powstrzymuje swoich emocji i temperamentu publicystycznego – co powoduje, że tekst jest naładowany wartościującymi i subiektywnymi ocenami, niepopartymi żadnymi argumentami logicznymi i faktograficznymi. [...] Zapewne granie na emocjach, posługiwanie się koloryz-

waniem, przemilczaniem, czyli po prostu – kłamstwem – budzi zainteresowanie czytelników, a w konsekwencji zwiększa sprzedaż. Niemniej od „Do Rzeczy. Tygodnika Lisickiego” oczekuję więcej.

Aleksander Wasiukiewicz

Od autora:

Celem mojego artykułu było nie zożydzanie Piłsudskiego, ale zwrócenie uwagi na fakty, które jego gloryfikatorzy starają się ukryć. Rozumiem emocje, gdy propagandowa wizja Piłsudskiego – zwycięzcy w Bitwie Warszawskiej 1920 r. – okazuje się mijać z rzeczywistością.

Polemista podważa moją rzetelność, opierając się na informacjach zaczerpniętych z hagiografii Wacława Jędrzejewicza „Kronika życia Józefa Piłsudskiego” (Warszawa 1989, s. 513) o inspekcji przez Piłsudskiego oddziałów w Puławach 13 sierpnia 1920 r. Na tej samej stronie jest jednak wzmianka o „nadłożeniu drogi” przez Piłsudskiego w celu odwiedzenia Aleksandry Szczerbickiej „pod Krakowem”. Wiadomo skądinąd, że spotkanie odbyło się w Bobowej, w powiecie gorlickim. Taka eskapada w 1920 r., trasą Warszawa – Bobowa – Puławy, musiała trwać przynajmniej kilkadziesiąt godzin. Wynikało to z małej prędkości samochodów (ok. 20 km/godz.) oraz fatalnego stanu dróg (dzisiejszymi drogami to odległość ponad 600 km, wówczas była dłuższa). Podróż trwała więc jakieś dwie doby, wraz niezbędnymi postojami, pobyt w Bobowej oraz ewentualnymi awariami (np.

przedziurawiona opona, co było wtedy nagminne). Dlatego Piłsudski, opuszczając Warszawę wieczorem 12 sierpnia 1920 r., nie był w stanie 13 i 14 sierpnia dokonać żadnej inspekcji wojska w Puławach, o której pisał Jędrzejewicz.

Kwestia ta w sporze o autorstwo zwycięstwa w 1920 r. wydaje się mieć znaczenie drugorzędne. Niezależnie bowiem, czy Piłsudski był 13–14 sierpnia w Bobowej czy w Puławach, Bitwę Warszawską rozstrzygnięto w Sztabie Generalnym w stolicy, z którym nie miał kontaktu do 16 sierpnia. A tam zapadły kluczowe decyzje, podejmowane przez gen. Tadeusza Rozwadowskiego, który po dymisji i wyjeździe Piłsudskiego stał się de facto głównodowodzącym Armii Polskiej. I taka jest prawda.

dr Wojciech J. Muszyński

Tomaszowi Terlikowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci Ojca



Piotra Tadeusza Terlikowskiego

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dozeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowski, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraniński, Matthew**

Tymand, Paweł Wawrzynski, Szezech Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Tomasz Wroblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje

Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzay, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **AP/EAST NEWS, ROBERT GARDZIŃSKI**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:

Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dozeczy.pl;
tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:

Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCAJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż);

Karolina Olchownik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 108 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej na ustaloną przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Kolejna szansa, by dostać pomoc na modernizację gospodarstwa

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa uruchomiła w ramach PROW 2014–2020 trzecią edycję popularnego wśród rolników programu „Modernizacja gospodarstw rolnych”. Tym razem adresowany jest on tylko do producentów prosiąt, bydła mięsnego i krowiego mleka. Wnioski przyjmowane są od 29 czerwca do 28 lipca 2017 r.

Wsparcie można otrzymać na inwestycje związane z:

rozwojem produkcji prosiąt – maksymalne dofinansowanie wynosi 900 tys. zł;
rozwojem produkcji mleka krowiego – wysokość wsparcia to maksymalnie 500 tys. zł;

rozwojem produkcji bydła mięsnego – wypłacona pomoc nie może przekroczyć 500 tys. zł.

Limitów pomocy nie można łączyć.

Pomoc na „Modernizację gospodarstw rolnych” będzie przyznawana rolnikom w postaci dofinansowania poniesionych przez nich kosztów na realizację danej inwestycji. Poziom dofinansowania wynosi standardowo 50 proc. poniesionych kosztów kwalifikowanych. Może on być wyższy i wynieść 60 proc., ale tylko w przypadku, gdy o pomoc ubiega się młody rolnik lub gdy wniosek o wsparcie składa wspólnie kilku rolników.

O środki finansowe mogą ubiegać się rolnicy, których gospodarstwa mają ściśle określoną wielkość ekonomiczną. I tak w przypadku inwestycji w produkcję prosiąt (obszar A) wielkość ekonomiczna gospodarstwa musi być nie mniejsza niż 10 tys. euro i nie większa niż 250 tys. euro. Natomiast jeżeli rolnik planuje inwestycje związane z produkcją mleka krowiego (obszar B) czy bydła mięsnego (obszar C),



to wielkość ekonomiczna gospodarstwa nie może być mniejsza niż 10 tys. euro i nie większa niż 200 tys. euro. Wyjątek stanowią gospodarstwa osób wspólnie wnioskujących. W takim przypadku wielkość ekonomiczna pojedynczego gospodarstwa może być mniejsza od 10 tys. euro, przy czym suma wielkości ekonomicznej wszystkich gospodarstw musi wynosić co najmniej 15 tys. euro, a po zrealizowaniu inwestycji wielkość ekonomiczna gospodarstwa każdego z wspólnie wnioskujących rolników powinna osiągnąć wartość co najmniej 10 tys. euro.

Złożone przez rolników wnioski zostaną poddane ocenie punktowej. Suma uzyskanych punktów zdecyduje o kolejności przysługiwania pomocy. Pod uwagę zostanie wzięte m.in. zwiększenie liczby zwierząt, których inwestycja dotyczy. Punkty będzie można też otrzymać za uczestnictwo w unijnym lub krajowym systemie jakości żywności. Przy czym konieczne będzie wykazanie związku pomiędzy planowaną inwestycją a systemem, w którym rolnik uczestniczy. W przypadku uczestnictwa w systemie rolnictwa ekolo-

gicznego trzeba dodatkowo doprowadzić do tego, aby suma powierzchni gruntów ornych, sadów, łąk trwałych i pastwisk trwałych w gospodarstwie objętych tym systemem stanowiła co najmniej 50 proc. sumy wszystkich posiadanych gruntów. Na dodatkowe punkty mogą też liczyć rolnicy, którzy mają nie więcej niż 40 lat, oraz ci realizujący inwestycje służące ochronie środowiska naturalnego lub zapobiegające zmianie klimatu.

Wnioski o przyznanie pomocy w ramach „Modernizacji gospodarstw rolnych” przyjmują oddziały regionalne ARiMR właściwe ze względu na miejsce realizacji inwestycji. Można je również złożyć za pośrednictwem biura powiatowego ARiMR, należącego do takiego oddziału regionalnego.

Więcej informacji na temat pomocy oferowanej przez Agencję można uzyskać: na stronie internetowej www.arimr.gov.pl, pod bezpłatnym numerem infolinii 800-38-00-84, a także w punktach informacyjnych w każdym biurze powiatowym i oddziale regionalnym ARiMR.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

To nie takie proste

Co pewien czas słyszę z prawej i – rzadziej – z lewej strony dość chwytnie brzmiącą radę dla rządu Beaty Szydło. „Co nam w końcu szkodzi wziąć, ot tak, pro forma, około 50 uchodźców z obozów w Grecji lub we Włoszech. Krytycy Polski w Brukseli straciliby pretekst do ataków, a przyjęci przybyśże i tak szybko zwieją do Niemiec, gdzie jest lepszy socjal”. Propozycja brzmi zdroworozsądkowo, ale moim zdaniem nie bierze pod uwagę czterech czynników.

Po pierwsze, przyjęcie nawet niewielkiej liczby uchodźców w ramach ustaleń z 2015 r., które zaakceptowała Ewa Kopacz, osłabi linię rządu Szydło. Polega ona na negowaniu całego systemu kwotowego jako niedającego rękojmi bezpieczeństwa „przesiewu” uchodźców i naruszającego suwerenność państw unijnych w kwestii decydowania o swoich sprawach.

Po drugie, Polska to nie Litwa ani Estonia, które udają, że akceptują ustalenia unijne, ale po cichu cieszą się, że uchodźcy wybywają do RFN. Polska i Węgry to – w oczach Jeana-Claude’a Junckera czy Fransa Timmermansa – prowodyrzy nieposłuszeństwa wobec Brukseli na

wielu polach i w ich przypadku nikt nie będzie przysmykał oczu na działania „pro forma”. Gdy już raz uznają samą logikę kwot, będzie można upokarzać ich za każde odstępstwo od wyznaczonych norm. I nieważne będzie, że inni też się migają. Teraz też wszyscy się migają, ale publicznie karać chce się tylko Warszawę i Budapeszt. Jak trafnie wskazał Rafał Ziemkiewicz – w Unii Europejskiej jest jak w Ludowym Wojsku Polskim. Można się wyłączać od roboty, ale bez jawnej ostentacji.

Po trzecie, w Brukseli nie porzucano pomysłów wprowadzenia automatycznego mechanizmu rozdziału uchodźców jako stałej praktyki. I jeśli złamie się opór Polski oraz Węgier w kwestii obecnej sumy 150 tys. do podziału, to z czasem śrubę przykręci się także „pragmatycznej” Litwie czy Estonii.

I wreszcie ostatnia sprawa – kraje, które zobowiązały się do przyjmowania uchodźców, muszą akceptować standardy „clearingu” i ustalania tożsamości, jakie praktykują służby imigracyjne Włoch i Grecji. Sprawa jest wstydliwa i tylko między wierszami tekstów w Niemczech czy w krajach bałtyckich można wyczytać opinie,

że wielu uchodźców na sam rzut oka jest starszych, niż mówią to ich dokumenty. W Niemczech pisano z kolei, że Włosi i Grecy kierują do przekazania innym krajom dwie kategorie uchodźców sprawiające najwięcej kłopotów: ciężko chorych i najbardziej agresywnych.

Polski i węgierski rząd, ale i inne kraje wyszehradzkie, uznały, że taktyka udawania, iż przyjmuje się uchodźców, ale robi się to na niby, na dłuższą metę się zemści. I na dodatek taka gra z Brukselą nie będzie czytelna dla wyborców. Można wróżyć jej sukces lub nie, ale nie sposób jej odmówić logiki.

To, o czym można rozmawiać w kategorii deklarowania dobrej woli, to kwestia korytarzy humanitarnych dla osób realnie poszkodowanych fizycznie przez wojnę – kobiet i dzieci wymagających specjalistycznego leczenia. I tu można się zastanawiać, czy nasz rząd robi naprawdę wszystko, co się da.

Kwestia uchodźców to chyba największa zbiorowa histeria, którą lewica europejska rozpętała od czasu wojny w Wietnamie. Wygrać można z nią tylko, stawiając swoje racje jasno. Wszelka gra na przeczekanie niewiele da. ©

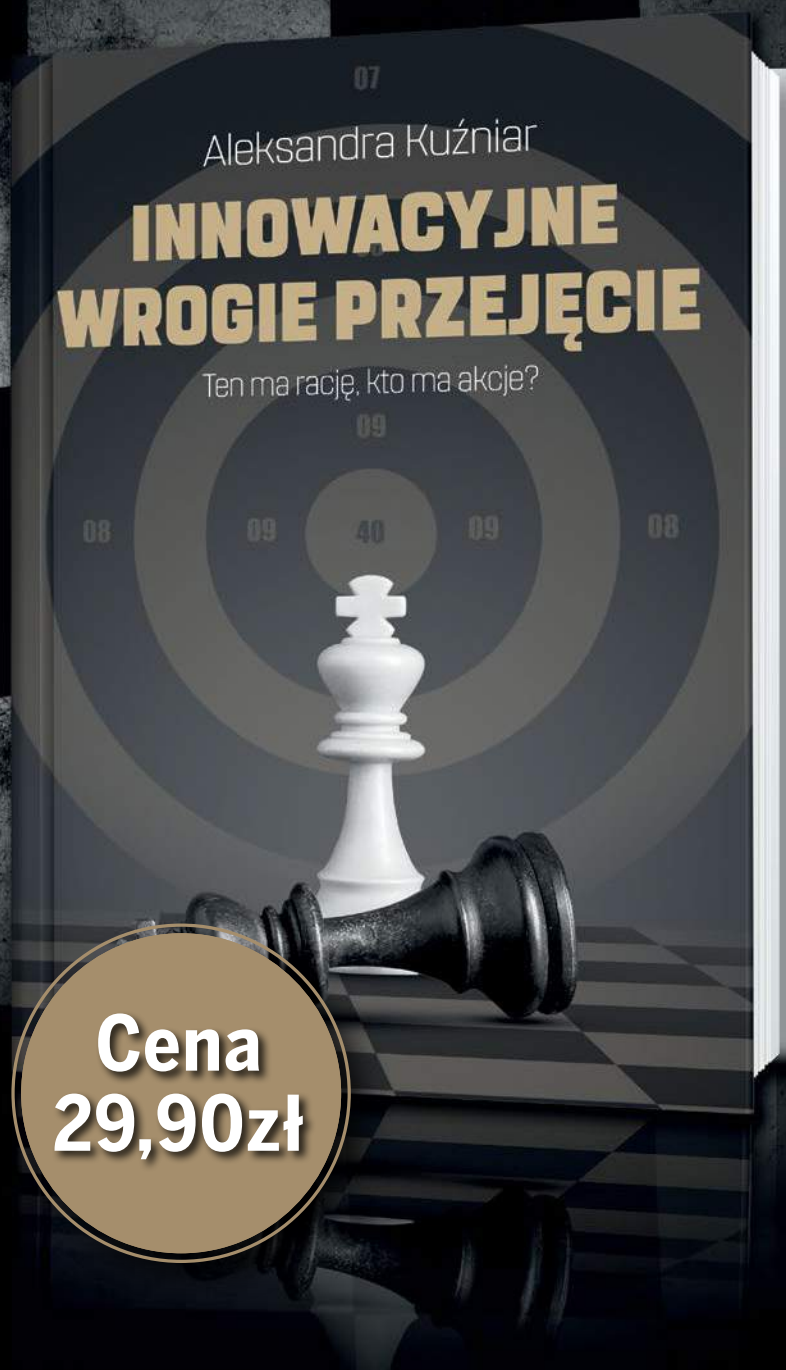


FOT. GRZEGORZ OUKOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

JEDNA PIĄTA OBLAŁA MATURE

Centralna Komisja Egzaminacyjna opublikowała wyniki tegorocznych egzaminów maturalnych. Ponad 20 proc. uczniów nie zdało matury. Lepiej wypadli absolwenci liceów (84,4 proc. zdało egzamin) niż absolwenci techników (maturę zdało 67,9 proc. z nich). Średnie wyniki z języka polskiego to 56 proc. Największy problem uczniom sprawił egzamin z matematyki, nie zaliczyło go 17 proc. zdających. Zatrważające jest to, że wśród uczniów techników matematykę oblała aż jedna czwarta zdających. (luz) ©

PRAWDZIWA HISTORIA KULISY WIELKIEGO BIZNESU W POLSCE



**ZACZYNA SIĘ
ZAZWYCZAJ OD
PLOTKI...**

Wrogie przejęcia to na Zachodzie często stosowany sposób na skokowy rozwój firmy lub dobranie się do majątku rywala...

W Polsce w ostatnich latach liczba takich operacji zaczęła szybko rosnąć. Czy w naszym kraju zdarzają się historie godne Gordona Gekko, bohatera filmu „Wall Street”? Zdarzają się, a niektóre próby przejęcia spółek są gotowym scenariuszem na dobry film, który z chęcią obejrzy nie tylko świat finansjery...

ZAMÓW TERAZ: WWW.INNOWACYJNEWROGIEPRZEJECIE.PL



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zagadani

Nie jestem pewien, czy rozmowę Marcina P., twórcy Amber Gold, z sejmową komisją badającą okoliczności jego życiowego szwindlu można nazwać przesłuchaniem. Owszem, padały pytania, przesłuchiwany udzielał odpowiedzi bądź ich odmawiał, jedni członkowie komisji wypadli lepiej, drudzy gorzej, wszystko niby normalnie – ale było

W przeciwieństwie do niektórych członków komisji Marcin P. starannie się do przesłuchania przygotował

w tym coś znacznie więcej. Skryty za wypikselowaną plamą kombinator, z pozoru ustawiony w tym spektaklu na przegranej pozycji, w istocie rozegrał go, jak chciał. Nie powiedział niczego, co mogłoby zasadniczo zmienić jego sytuację

procesową, za to zafundował politykom i mediom parę wrzutek, wiedząc doskonale, kto na co czeka.

Na potrzeby PiS sypał chętnie nazwiskami polityków PO, nawet wcale o nie niepytany, dla PO wyskoczył z sugestią, że jego przekręt miał coś wspólnego ze SKOK – a wiadomo, że na te cztery litery cały obóz III RP reaguje jak kot na zapach waleriany – dla ludzi mediów miał z kolei insynuacje stawiające w złym świetle ludzi mediów konkurencyjnych. Konsekwentnie budował tym wizerunek człowieka, który był przez polityków za swe „walki” podziwiany, o różne rzeczy nagabywany i zgadzał się dla świętego spokoju, ewentualnie z litości nad nieudacznikiem i fujarą, jak opisał np. Tuska juniora.

Trudno było nie zauważyć, że w przeciwieństwie do niektórych członków komisji Marcin P. starannie się do przesłuchania przygotował. No cóż, należało się spodzie-

wać, od kilku lat ma przecież dużo wolnego czasu na kombinowanie, w przeciwieństwie do polityków ganiających po każdym posiedzeniu od studia do studia.

Zachowanie Marcina P. jest odwrotnością strategii Hanny Gronkiewicz-Waltz. Tamta, obciążana przez kolejnych urzędników, brnie w gołosłowne zaprzeczenia, odbierając sobie wiarygodność odmową stawienia się przed komisją. Marcin P. zdaje się mówić: „Chcecie żebym zeznawał? Proszę, będę tyle zeznawał i tyle w tych zeznaniach wrzucać podpuchy, aż wszyscy się pogubią”. Uczciwszy proporcje, jest to strategia Alego Agcy, strategia, jak pokazał przykład wykonawcy zamachu na Jana Pawła II, skuteczna.

Bo komisja sejmowa to spektakl i nigdzie nie jest powiedziane, że nie może go zdominować przesłuchiwany. Dotąd wprowadzić nikomu się taka sztuka nie udało, ale tym razem – kto wie? ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O włoskiej księdze cenzury

Włoski Związek Dziennikarzy znowu skorzystał ze swoich unikalnych w wolnym świecie uprawnień i na pół roku zamknął usta dyrektorowi Radia Maria za obrazę powodowaną homofobią. I to mimo że prawo przewiduje kary za zniesławienie, a konstytucja – wolność słowa.

Ksiądz dyrektor Livio Fanzaga pojechał ostro po bandzie, bo porównał na antenie promotorkę ustawy o związkach homoseksualnych, katolicką senator Monicę Cirinnà, do Wielkiej Nierządnic z Apokalipsy św. Jana. Cirinnà zaproponowała mu po chrześcijań-

sku spotkanie i wymianę poglądów, ale związek skazał go, powołując się m.in. na instrukcję „Jak należy mówić i pisać o mniejszościach seksualnych”, inkorporowaną do kodeksu etycznego dziennikarzy. Poniżej frapujące wyimki.

Płec jest kwestią wyboru. Należy unikać terminów „tradycja”, „prokreacja”, „tradycyjne małżeństwo”. Natura nie zna małżeństwa, ale zna homoseksualizm. Nie wolno mówić o „wynajmowaniu łona”, gdy kobieta za pieniądze rodzi dziecko parze gejów. Trzeba mówić: „ciąża wspierająca”. Instrukcja przestrzega przed „homofobią nieświadomą i zinternalizowa-

ną”, co się rymuje ze schizofrenią bezobjawową, wybitnym odkryciem psychiatrii sowieckiej.

I na koniec prawdziwa bomba: „Często w dziennikarstwie stosowana jest zasada równowagi. Prezentowane są stanowiska za i przeciw. W dyskusjach o LGBT te standardy nie obowiązują. Osoby niechętnie LGBT nie są niezbędne”.

Co ciekawe, związek dziennikarzy sam sobie tego nie wymyślił. Instrukcję, jak kłamać i manipulować, opracowano w biurze przeciw dyskryminacji przy urzędzie rady ministrów w departamencie równouprawnienia. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



NOTATNIK MALKONTENTA

A gdyby tak pszczołka Maja...

A gdyby tutaj staruszka przechodziła do domu starców, a tego domu by wczoraj jeszcze nie było, a dzisiaj już by był, to wy byście staruszkę przejechali, tak?! A to być może wasza matka!”

Przypomniała mi się ta scena z „Misia”, gdy szef komisji weryfikacyjnej do spraw repriwatywacji, wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, pytał byłego zastępcę dyrektora warszawskiego Biura Gospodarki Nieruchomościami, Jerzego Mrygonia, co by zrobił, gdyby dokumenty przyniosła mu pszczołka Maja. Brzmiało to efektownie, ale to publicystyka, a komisja powinna dążyć przede wszystkim do ujawnienia wad systemu i mechanizmu przekrętów.

Jerzy Mrygoń bronił się, że jako urzędnik nie może dyskutować z dokumentami poświadczonymi notarialnie. Czy miał rację – to sprawa dla specjalistów od prawa administracyjnego. W Kodeksie postępowania administracyjnego istnieje zasada prawdy obiektywnej (art. 7 k.p.a.), ale nie czyni ona przecież z urzędnika detektywa.

Notariusz z kolei, widząc potwierdzone przez sąd doku-

menty i wpisy w księgach wieczystych, niewiele może zrobić poza zweryfikowaniem tożsamości siedzącego przed nim klienta. Nie może prowadzić śledztwa na własną rękę ani nie może powiedzieć: „Panie, mnie się nie podoba to nazwisko na akcie własności, ja panu aktu nie zrobię”. W wypisach z ksiąg wieczystych nie figurują daty urodzenia poszczególnych osób. Kluczowym elementem łańcucha przekrętu wydawał się zatem być sąd, bo to on miał najwięcej instrumentów weryfikacji stanu faktycznego. Bez decyzji sędziów niewiele dałoby się ugrać.

Komisja Patryka Jakiego może odegrać bardzo ważną rolę, o ile zamiast snuć opowieści o pszczołce Mai czy pogrążyć się w demagogicznych wywodach, wskaże, w których miejscach systemu istniały furtki, przez które dawało się wyprowadzać kamienice (wraz z lokatorami), a następnie potężną kasę. Celem powinna być zmiana systemowa – jeśli trzeba, to obejmująca także sposób działania administracji i podejmowania przez nią decyzji. Tylko wówczas komisja ma sens. ©©

WIELKI ATAK HAKERÓW NA CAŁYM ŚWIECIE

Firmy oraz instytucje z Polski, a także m.in. ze Stanów Zjednoczonych, z Rosji, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Danii, Francji, Hiszpanii oraz Azji padły w zeszłym tygodniu ofiarą ofensywy hakerów. Najbardziej ucierpiała jednak Ukraina, w której wirus sparaliżował m.in. serwisy rządu, a także banków, lotnisk, operatorów komórkowych oraz sklepów internetowych.

Złośliwe oprogramowanie sztyfowało wszystkie dane na dyskach, a za ich odblokowanie żądało wpłacenia równowartości 300 dol. wirtualnej waluty bitcoin. Zapłata okupu wcale nie gwarantowała jednak odzyskania dostępu do zaszyfrowanych danych.

Ukraińskie władze o atak oskarżyły rosyjskie służby specjalne. (jap) ©©

KSIEGARNIA



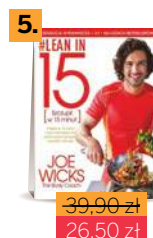
WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 9 lipca 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

MIŁOŚĆ BEZ MAKIJAŻU

Edzia Górniak znalazła w Ameryce nową miłość. Tym razem ponoć prawdziwą! Jak donosi „Fakt”, początkowo piosenkarka spotykała się z jakimś prawnikiem, ale po paru tygodniach uznała, że nowy chłopak jest zbyt zaborczy, bo od razu chciał z nią mieszkać. Teraz zaś jest już w nowym związku z młodszym o parę lat aktorem. – Edyta dawno nie była tak szczęśliwa. Wreszcie znalazła kogoś, kto na niej niczego nie wymusza i rozumiał jej podejście do małżeństwa. Przy nim czuje się wolna i spełniona – opowiada informator „Faktu”. – Wcześniej często przebywali w gronie wspólnych znajomych, ale Edyta spotykała się wtedy niezobowiązująco z prawnikiem i nie patrzyła na innych mężczyzn. Tamten związek szybko się jednak rozpadł przez zaborczość jej adoratora, który chciał ją skłonić do poważnych deklaracji – dodaje. Edzia jest podobno tak szczęśliwa jak nigdy w życiu! Dowód? Przestała się malować na noc. – Jest szaleńczo zakochana. Potrafi na przykład w środku nocy iść z mężczyzną na plażę bez makijażu i po prostu się wygłupiać – mówi źródło tabloidu. W nocy bez makijażu i to na plaży! To się nazywa szaleństwo ekstremalne!

KOMU NIE UFA ISABEL

Isabel Marcinkiewicz, była już żona Kaza Marcinkiewicza, została ekspertką od polityki zagranicznej. Jako że mieszkała kiedyś z Kazem w Wielkiej Brytanii, wypowiedziała się na temat nastrojów imigrantów na Wyspach. I nie tylko. Isabel podzieliła się też swoją opinią na temat polityków. – O przyszłość najbardziej boją się osoby pracujące na szarym rynku. Osoby pracujące legalnie, odprowadzające podatki, mające ubezpieczenie zdrowotne, zarabiające przynajmniej pensję minimalną nie mają się czego obawiać. Z tego, co wiem, w ostatnich latach był spory spadek przyjazdów Polaków do Wielkiej Brytanii. Szturmu i powrotów nie będzie – prognozuje Isabel. – Noszę Londyn cały czas w sobie. Chętnie tam wracam, często o nim myślę – podkreśla. – Ale żadnym politykom nie ufam. Mam tak z autopsji – dodaje na koniec. Bystrzacha z tej Isabel! Aby dojść do tego odkrywczego wniosku, potrzebowała aż ślubu i rozwodu z Kazem. Większości obywateli wystarczy oglądanie serwisów informacyjnych.



FOT. PAVEL GROVAIDA

TRENERKA KULINARNA W AKCJI

Celebrytka Daria Ładocha została celebrytką, gdy zaczęła w „Dzień dobry” TVN prezentować swoje sposoby na zdrowe posiłki. Jest trenerką kulinarną, specjalizuje się w kuchni tajskiej, wydała nawet jakieś książki o jedzeniu, a ostatnio została twarzą kampanii reklamowej jednej z sieci marketów. No i po drodze, co okazało się kluczowe dla jej kariery, wygrała program „Agent – Gwiazdy”, w którym robiła za gwiazdę oczywiście. W niedawnym wywiadzie opowiedziała o swojej diecie. A raczej o jej braku, jak na prawdziwą celebrytkę przystało. – Nie obżeram się. Jem wtedy, kiedy jestem głodna. Restrykcje dietetyczne wrzucam do worka, który nazywa się modą. Wypracowałam własny styl żywienia – mówi. Jeść wtedy, kiedy jest się głodnym. Dobrze, że są trenerki kulinarne, bo sami w życiu byśmy na to nie wpadli.



FOT. KAMILA PRKLEWICZ/IST NEWS

BEZCENNE PORADY IZY

Aktorka Iza Miko zasłynęła ostatnio ze swoich niekonwencjonalnych porad, jak oczyścić ze złej energii swoją waginę. Nie będziemy się na ten temat rozpisywać, szczegółowe wskazówki Izy znajdziecie w Internecie. Zajmiemy się za to kolejnymi poradami aktorki, bo widać, że spodobało jej się ich udzielanie. Na Instagramie Iza zamieściła zdjęcie z plaży, pisząc, że jeśli ktoś nie ma możliwości pójścia na prawdziwą plażę, to może ją sobie wyobrazić i pójść na plażę w swojej głowie. I nie tylko na plażę. – Nie dotarłaś dzisiaj na siłownię? Upewnij się, że spędzasz czas na wyobrażaniu tego sobie. Wiercie lub nie, nasze ciało nie zna różnicy między tym, co widzimy w naszym umyśle, a tym, co jest prawdziwe. To jest całkowicie udowodnione. Możesz utwierdzić się w przekonaniu, że miałaś pełen trening lub relaksujący dzień na plaży i uzyskać takie właśnie efekty – przekONUje Iza. – Jeśli nie możesz dostać się na plażę, zabierz ze sobą plażę. Wszystko jest w twojej głowie – radzi. Śledząc bezcenne porady Izy Miko, dochodzimy do wniosku, że w jej głowie jest absolutnie wszystko poza tym, co powinno. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, wzięliśmy sobie ostatnio trochę nadgodzin w korpo, iżby dorobić do piwerka ze sprajtem, jako że lato weszło do nas na pełnym entuzjazmie, jest gorąco i chce się pić.

Siedzimy więc sobie na fejsbuniu, aż tu słyszymy, jak Nowy z Tarnowa zaczyna sapać. Sapie tak i sapie, ociera pot kąpiący z wąsa jakąś bawełnianą chustką, spryskuje się wodą spod ogórków w spraju i narzeka: „Ale tu gorąco dzisiaj jak w Afryce”.

Zaniemówiliśmy na taki rasizm. Zwróciliśmy uwagę, iż w obecnych czasach nie wypada nazywać kontynentu Afryką, iż kojarzy się to rasistowsko i ksenofobicznie. Staraliśmy się uwrażliwić Nowego, iż mówimy „Łąć pigmentalnie uposażony” lub „Ten kontynent na dole”, ewentualnie „Kraina słonecznie ubogacona”.

Z zażenowania od razu przekazaliśmy kilka lajków na wyko-

panie studni i udostępniłmy wpis ratujący małe słonie. Niech chociaż tyle ten „Łąć pigmentalnie uposażony” od nas dostanie za rasizm Nowego.

Dotacje, wsparcia i zasiłki prawem, nie towarem

Zkolei na ostatnim piąteczkowym clubbingu mieliśmy małe spięcie z hipsterem-baristą, który dolał nam do piwerka ze sprajtem wody.

Wzburzeni zaprotestowaliśmy przeciwko chrzczeniu piwerka – iż naszym zdaniem piwo powinno być świeckie i neutralne.

Barista jednak szybko wyjaśnił, iż użył wody, aby piwerka było więcej i zostało ono wzbogacone o odpowiednie minerały. No jeśli tak, to spoko xD Byleby nie Cisowianką xD

Analizując przypadek faszy-stowskiej wody mineralnej na „C”, o której wszyscy dobrze wiecie, doszliśmy do wniosku, iż należy zdecydowanie poszerzyć kategorię firm, które są przeciwne prawom kobiet.

Otóż należałoby rozpatrywać je również w kategoriach dyskryminacji biernej lub dyskryminacji przez zaniechanie. Dotyczyłoby to tych firm i instytucji, które co prawda nie finansują pro-lajfów, ale też nie wpłacają na organizacje feministyczne, wspierające prawo do wyborów, propagujące środowiska LGBTQWERTYXYZ itd.

Jak bowiem wiadomo, dotacje, wsparcia i zasiłki – prawem, nie towarem. Skoro więc organizacje mają prawo do dofinansowania, a kapitalistyczny zgniły prywaciarski biznes im go nie przyznaje, to znaczy, iż mamy do czynienia z dyskryminacją.

Niestety, problem w przypadku bojkotu konsumenckiego jest taki, iż wówczas chyba zostanie bardzo mało produktów, które będziemy mogli kupować. No chyba że jak w końcu siły postępu dojdą w tym kraju do władzy, to podobne dotacje staną się obowiązkowe!

Jako iż zaczęły się wakacje, pociągi wyładowane januszami i grażynami z podkarpacia ruszyły nad Bałtyk. Beneficjenci „500+” po raz kolejny opuszczają obszary jurysdykcji swoich ośrodków pomocy społecznej, iżby na nasz koszt pożerać nad morzem osoboflądry, pić piwo, zakopywać butelki w piachu i wysyłać osobodzięci, iżby robili kupy w wydmach.

My też chcieliśmy skorzystać z pięknej europejskiej pogody i wyjechać na kilka dni do Trójmiasta. Uznaliśmy, iż najbezpieczniej i z dala od podkarpacia będzie odpoczywać w Sopocie. Niestety, kiedy spacerowaliśmy sobie po Monciaku, podziwiając ceny w lokalach i ciesząc się Europą, dostrzegliśmy w tłumie znajomą wąsatą twarz i następnie całą sylwetkę Nowego z Tarnowa: w sandałach, białych frotowych skarpetach wyciągniętych pod kolano, koszulce żonobijce i z puszką piwerka bez sprajta w ręce.

Nowy niestety też nas zauważył i zachwycony opowiadał, iż na Monciaku czuje się prawie jak na Krupówkach i już niebawem leci do Zakopanego, jak tylko wpłynie do niego kolejny przelew z „500+”. Zagraniczni turyści patrzyli na nas wówczas z niesmakiem, mając nas za towarzyszy Nowego, a my ze wstydu uciekliśmy na molo, ale nie w Sopocie, tylko w Brzeźnie :(☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Idą wakacje. Prezydent Andrzej Sebastian poleci dopiero po wizycie dobrego Donalda z USA, ale jego minister Kolarski już pofrunął. Do Włoch. W ogóle z kimkolwiek rozmawiamy, to jedzie do Włoch. Nawet Marcin Kierwa-Kierwiński. Dlatego apelujemy do czytelników – omijajcie Włochy.

Nie ma wakacji dla niemieckiej dyplomacji, która szaleje. Zwłaszcza w krajach Europy Środkowej. Wszystko przez to, że dobry Donald z USA przyjeżdża do Warszawy na szczyt Trójmorza, co bardzo nie podoba się Angeli. Angela jest sama sobie winna, bo gdyby zaprosiła Polskę na szczyt G20 w Hamburgu, to dobry Donald zameldowałby się od razu tam i spokojnie pogadał z polską delegacją, a szczyt Trójmorza opędził jakimś urzędnikiem.

Wszyscy zastanawiają się, od kiedy prezydent Andrzej Sebastian wie, że dobry Donald z USA przyjedzie do Polski. Wyjaśniamy – od 25 maja. Wtedy to, podczas szczytu NATO, dobry Donald rzucił na do widzenia w stronę Andrzeja Sebastiana: „No to niedługo się zobaczymy!”.

No, toś nam chłopie zaimponował”. Chłop na schwał Władek Kosiniak-Kamysz przegonił w rankingu zaufania Andrzeja Sebastiana. Nie wiemy na jak długo. Żli ludzie powiadają bowiem, że pewna instytucja na trzy litery zgromadziła interesującą wiedzę o funduszu wyborczym Władka K.K. Co ciekawe, zgromadziła ją jeszcze za rządów duetu PO-PSL. Tak na wszelki wypadek.

Najbardziej w życiu lubimy zbiegi okoliczności. Na przykład taki: komisja weryfikująca warszawskie wątki reprivatyzacyjne dziarsko przesłuchuje świadków, którzy już siedzą „we więzniu”. A kto jest wickiem w Ministerstwie Sprawiedliwości odpowiedzialnym za więzienia? Patryk Jaki, szef wspomnianej komisji. Przypadki chodzą po ludziach.

Niektórzy nie chcą rozmawiać z komisją od wałków i gwizdzą na konsekwencje. Błąd. Jak wywahały wiewiórki, szykuje się rachunek ciachu nowelizacja ustawy powołującej komisję. A nowe przepisy bardzo zabolą tych,

którzy gadać nie chcą albo uważają, że trzy tysie to żadna grzywna. Tylko nie mówcie nikomu o tym pomysśle. Zwłaszcza Hance.

Skoro już o Warszawie. Wiewiórki z PeŁo mówią, że z Goską Kidawą-Błońską to zmyłka i liczy się tylko dwóch kandydatów na prezydenta Warszawy. Wszystko zależy od tego, jakie będzie miała przed wyborami poparcie w sondażach PeŁo. Jeśli bliżej 30 proc., to będzie kandydował Andrzej Halicki jako symbol kontynuacji. A jeśli bliżej 20 proc., to Rafał Trzaskowski. Jako symbol zmiany.

Nowoczesne Kropki są w kropce. Nic nie rozumieją. „Jak to jest” – żalą się, że kukizowcy się żrą, obrzucają wyzwiskami i pozwami, a mimo to im rośnie!”. To pierwszy smutek. Drugi smutek wygląda tak: „A my robimy, co możemy i nam nie rośnie!”. Podpowiadamy – może właśnie dlatego?

dwaj panowie **g**



Tak na serio to niektóre Nowoczesne Kropki zaczynają podejrzewać, że jedyną metodą na wzrost poparcia w sondażach jest numer „na Kaczafiego”. To znaczy schowanie Ryśka Petru i niepokazywanie go w mediach. Ale znacie Ryśka. Nawet gdyby chciał wywinąć numer „na Kaczafiego”, to musiałby pójść opowiedzieć o tym do jakiejś telewizji.

Ajeszcze bardziej na serio – Nowoczesne Kropki dostały nowe dyrektywy. Mają zawsze i wszędzie dystansować się od PeŁo oraz piętnować jej błędy i wypaczenia, gdyż nadmierne klejenie się do PeŁo sprawiło, że elektorat doszedł do wniosku: skoro Rysiek i PeŁo to jedno zło, lepiej stawiać na zło stare i sprawdzone.

Oprócz komisji od wałków pracuje nieustannie komisja od Amber Gold. Bardzo podoba nam się w związku z tym narracja PeŁo: że Marcin P. nic, tylko kłamie i jest w ogóle fałszywym krętaczem. Oznacza to bowiem, że zdaniem PeŁo Marcin P. kłamał, mówiąc, że zatrudnienie Michasia Tuska nie miało nic wspólnego z próbą załatwienia sobie parasola jego taty, złego Donalda.

Nikt nie rozumie Romana zwanego Koniem tak jak my – bo też lubimy sobie zjeść i wypić, a przy okazji pośpiewać. Nie martwi nas więc wizyta policji na imprezie w Giertychów. No risk, no fun! Jednak zabawniej było w polskojęzycznej gazecie kolorowej, która imprezę opisywała. No bo pomyślcie sami – żeby spotkanie Konia, Kazia Marcinkiewicza, Rycha Kalisza, Tomka Nałęcza, Borysława Budki, Bronka Komorowskiego i Madzi Gessler określić terminem „przyjechała elita”, to trzeba mieć poczucie humoru równie wielkie jak ambicje Marcina P. z Amber Gold.

Ąpropos imprezowania. Faszyści z Najwyższej Izby Kontroli stwierdzili, że wydawanie pieniędzy z budżetu Trybunału Konstytucyjnego na uroczyste imprezy pożegnalne sędziów TK jest – jak by tu powiedzieć – trochę mało zgodne z prawem. Na miejscu Andrzeja Rzeplińskiego skojarzylibyśmy tę informację z inną – że są możliwe postępo-

wania dyscyplinarne wobec sędziów TK w stanie spoczynku. Jednak może nie jest mocny w skojarzeniach.

Zeby nie było wątpliwości, pożegnanie sędziego Biernata z TK było ostentacyjnie skromne i na wszelki wypadek krótkie. Zapewne wiecie z mediów, że dostał jedynie kwiaty i książkę Bronisława Wildsteina. Nikt nie ujawnił natomiast, o którą książkę chodzi. Niniejszym więc ujawniamy: „Demokracja limitowana, czyli dlaczego nie lubię III RP”.

Ponieważ spieszyłem się do Krakowa, książka została w Warszawie – napisał do Julii Przyłębskiej w rewanżu sędzia Biernat, zaznaczając, że nie pamięta tytułu książki ani treści dedykacji. Tytuł już ujawniliśmy, a zamiast dedykacji mamy dla Biernata jej fragment: „W Polsce, nawet wygrywając wybory, opozycja (PiS – przyp. G.G.) będzie musiała stawić czoło niechętniej sobie korporacji sędziowskiej czy europejskim elitom powiązanym z obecnym rządem nie tylko politycznymi postawami i towarzyskimi więziami, ale także siecią interesów” pisał w 2013 r. Wildstein. Prorok czy co?



Książka dla sędziego Biernata to nie pierwsza próba tortur Wildsteinem przygotowana przez prezes Przyłębską. Kilka tygodni temu Wildsteina użyto do tortury zbiorowej, kiedy to w siedzibie Trybunału wygłosił dla sędziów TK i grona zaproszonych gości wykład pt. „Porewolucyjna Europa i prawo”. Na tym nie koniec. 7 lipca w Trybunale będzie torturował prof. Zybortowicz wykładem „Technologiczny strzał w demokrację i państwo prawa”.

Wracając do koni. Zaniepokojony wydarzeniami w Radomiu były prezydent Bronisław Maria chce bronić demokracji i ogłosił, że „jak zagrają hejnał, to jak stary koń ułański pójdzie do ataku”. Trochę się więc boimy. Bronisław Maria ogłosił też, że jest

emerytem. Chcielibyśmy zauważyć, że ponieważ ma lat 65, to jest emerytem tylko według państwa PiS, bo według Peło zostały mu do emerytury jeszcze całe dwa lata.

Czy Bronisław Maria wesprze TW „Bolka” i Władka, króla dolnośląskich szos, w najbliższą miesięcznicę u boku UB-wateli RP? Bardzo chcielibyśmy zobaczyć, jak policja wynosi całą trójkę. Jest tylko jeden problem. Byłym prezydentom przysługuje ochrona Biura Ochrony Rządu. PiS-owscy BOR-owcy bijący się z PiS-owskimi policjantami wokół Wałęsy na Krakowskim Przedmieściu – przyznacie, że to widok wart każdego pieniędzy.

Skoro o UB-watelach, to i o KOD-uchach. Pamiętacie, jak przez chwilę wydawało się, że festiwal opolski będzie w Kielcach? Miejscowy KOD zorganizował wtedy pięcioosobową akcję „STOP dla Opola w Kielcach”. Minęło trochę czasu i co? I Opola w Kielcach nie będzie! Wspominamy, bo to pierwsza w dziejach KOD akcja zakończona spektakularnym sukcesem. I pomyślcie tylko: dzięki Kurze! © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

poleca

Nieznana twarz tyrana przedstawiona w całkiem nowy sposób. Rozmowa wciąga od pierwszych stron. Józef Stalin zdradza największe sekrety. Zabiera nas do swojej sypialni, zdradza pikantne szczegóły swoich stosunków z kobietami, daje nam posmakować swojego ulubionego wina i pokazuje, jaki jest naprawdę. Tak mocnej pozycji jeszcze nie było!

książka dostępna również jako:

BOOK





Z prezydentem Andrzejem Dudą
rozmawiają Kamila Baranowska i Piotr Gabryel

Chcę zrobić z Trumpem dobry biznes dla Polski

„DO RZECZY”: Panie prezydencie, długo trzeba było namawiać prezydenta Donalda Trumpa na wizytę w Polsce?

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA: Zaprosiłem prezydenta Trumpa do Polski już podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej, kiedy gratulowałem mu wyboru na urząd prezydenta. Później, podczas szczytu NATO w Brukseli, wraz z panią prezydent Chorwacji zaprosiliśmy prezydenta Trumpa konkretnie na szczyt państw Trójmorza, argumentując, że także z punktu widzenia interesów USA – i to zarówno kwestii związanych z bezpieczeństwem, jak i biznesowych – ten przyjazd jest bardzo pożądanym. I nie ma ku temu lepszej okazji niż spotkanie przywódców 12 państw Europy Centralnej, podczas którego będą się toczyć rozmowy głównie gospodarcze, bo założeniem inicjatywy Trójmorza jest przecież rozwój infrastruktury, który ma służyć wzmocnieniu relacji ekonomicznych. Prezydent Trump bardzo się wtedy podczas naszej rozmowy tym zainteresował i widać po konsultacji ze swoim otoczeniem uznał, że rzeczywiście taka wizyta ma sens. Bardzo się z tego cieszę, bo wiem, że w kręgach dyplomatycznych zrobiło to wrażenie – że druga duża wizyta zagraniczna prezydenta USA to wizyta m.in. w Polsce i spotkanie z Europą Środkową.

A jakie znaczenie ma to, że prezydent Trump wygłosi przemówienie na warszawskim pl. Krasińskich, gdzie znajduje się pomnik Powstania Warszawskiego, a także siedziba Sądu Najwyższego?

Było rozważanych kilka lokalizacji, wybrano pl. Krasińskich. Administracja amerykańska zwróciła uwagę na to, że jest to miejsce, gdzie oddało życie wielu powstańców i cywilnych mieszkańców Warszawy, że jest to miejsce uświęcone

krwią Polaków walczących o swoją wolność. Przy czym nie wiem, jaka będzie treść wystąpienia pana prezydenta Trumpa, ale z mojego punktu widzenia istotne jest, że swoje ważne, duże wystąpienie na terenie Europy prezydent Stanów Zjednoczonych wygłosi właśnie w Warszawie. To pokazuje, jak ważnym krajem w Europie jest Polska oraz jak ważna i perspektywiczna jest cała inicjatywa Trójmorza.

To, że Donald Trump przyjeżdża najpierw do Warszawy i tu będzie miał ważne wystąpienie, niektórzy odbierają jako demonstrację wobec Paryża i Berlina. Zwłaszcza że politycy Europy Zachodniej nie kryją sceptycyzmu wobec nowego prezydenta USA.

Tuż po wizycie w Polsce prezydent Trump jedzie na drugie wielkie spotkanie gospodarcze – na szczyt G20 w Niemczech – więc nie sądzę, by był to jakiś wielki afront. Chociaż nie ukrywam, bardzo cieszy mnie fakt, że najpierw prezydent USA będzie w Warszawie, bo będzie miał już wyrobiony pogląd na to, jak wygląda sytuacja w Europie Środkowej, jakie jest nastawienie i jak pewne kwestie wyglądają z naszej perspektywy. Faktem jest, że prezydent Trump jako człowiek, który całe życie spędził w biznesie i znalazł się w polityce, ma na nią inne spojrzenie niż zawodowi politycy. On wnosi też do niej swoje dotychczasowe doświadczenie. Na sprawy polityczne patrzy bardziej biznesowo, co jest ciekawe i ożywcze. Może prezydent Trump wprowadzi nową jakość także w niektórych kwestiach europejskich?

Na przykład w kwestii przyjmowania imigrantów? Amerykański Sąd Najwyższy właśnie przyznał mu częściowo rację i zezwolił tymczasowo na wejście w życie antyimigranckiego dekretu. Czy to kierunek, w którym powinna podążać Europa?

To wewnętrzna sprawa USA, więc nie będę się nad nią szeroko rozwodził. Powiem tyle: pokazuje ona, że nawet w tak dojrzałej demokracji, jaką są Stany Zjednoczone, zdarzają się napięcia między władzą wykonawczą i sądowniczą, ale ostatecznie osiąga się kompromis, a państwo funkcjonuje i jest demokratyczne, dając wybranej w wyborach władzy możliwość działania zgodnym z wolą społeczeństwa.

Czy w kontekście sporu z Komisją Europejską oraz dość chłodnych relacji z Niemcami i Francją Stany Zjednoczone pod wodzą Donalda Trumpa stają się najważniejszym partnerem Polski w polityce zagranicznej?

Stany Zjednoczone są strategicznym partnerem w polityce międzynarodowej Polski i praktycznie przez ostatnie dziesięciolecie, od 1989 r., zawsze tak było. Nie mam wrażenia, by coś się w tej sprawie zmieniło. Nie zmieniło się też to, że jesteśmy i będziemy członkiem Unii Europejskiej.

Pierwszy z brzegu przykład – administracja Obamy komentowała stan demokracji w Polsce, administracja Trumpa uznała natomiast, że nie będzie się mieszać. Naprawdę nie ma znaczenia, czy prezydentem USA jest Obama czy Trump?

Nasze relacje od lat są stabilne bez względu na to, kto sprawuje władzę za oceanem. Za czasów prezydentury Baracka Obamy miałem wiele spotkań z przedstawicielami wielkich amerykańskich firm, które zainwestowały w Polsce i które bardzo chwaliły Polskę jako dobre miejsce do inwestowania. To były bardzo dobre relacje i bardzo owocne spotkania. Oczywiście liczę na to, że za prezydentury Donalda Trumpa ta współpraca na wielu płaszczyznach – i biznesowej, i politycznej



– będzie się jeszcze bardziej zacieśniać, bo widać wyraźnie, że obu stronom na tym bardzo zależy. Trzeba to dobrze wykorzystać.

Nie obawia się pan prezydent, że to zacieśnianie współpracy ze Stanami Zjednoczonymi będzie się odbywało kosztem relacji z Berlinem i Paryżem?

Absolutnie tak nie uważam. Podczas ostatniego szczytu NATO w Brukseli tak samo ważne jak spotkanie z prezydentem Trumpem było dla mnie spotkanie z kanclerz Angelą Merkel i z prezydentem Emmanuelem Macronem, z którym miałem rozmowę dwustronną. Potem we troje rozmawialiśmy o przyszłości Trójkąta Weimarskiego i nie mam wrażenia, że te relacje są zaniedbane czy niedopilnowane.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ten sam prezydent Macron w wywiadzie zarzuca wschodnioeuropejskim politykom „podwójną zdradę”, porzucenie zasad i wartości europejskich w kontekście m.in. oporu przed przyjęciem imigrantów.

Cóż, jakoś nie widzę, by zachodnie kraje Unii Europejskiej ochoczo przyjmowały uchodźców i realizowały w tym zakresie swoje zobowiązania, więc nie rozumiem, dlaczego tylko my mamy być z tego rozliczani. Inna sprawa, że nie wyobrażam sobie, by przywożono na siłę ludzi do Polski, gdy imigranci wybierają kraje Europy Zachodniej. Mamy ich tu siłą przetrzymywać? Unia Europejska, która tak się szczyci swoimi zasadami i wartościami, nigdy nie może sobie na coś takiego pozwolić. Polska od samego początku zachowuje się jak najbardziej odpowiedzialne państwo Unii, bo powtarzamy, że pomagać trzeba tam, gdzie jest źródło problemu, czyli na miejscu. Na tym polega rzeczywisty humanitaryzm, by zabezpieczyć tych ludzi tak, by mogli wrócić do swoich domów, gdy tylko konflikt zbrojny się zakończy, nie wywozić ich na drugi koniec świata. A jeśli ktoś przyjedzie do Polski, bo taka będzie jego wola, i zgodnie z obowiązującymi przepisami zostanie status uchodźcy, to tę pomoc w Polsce otrzyma.

Niektórzy mówią, że Polska powinna zachować się bardziej pragmatycznie: zgodzić się na przyjęcie grupy imigrantów, a później, tak jak inni, nie dotrzymywać słowa. Może czasem cynizm w polityce popłaca?

Nie lubię cynizmu i chciałbym, żeby w polityce triumfowała uczciwość, a nie cynizm i draństwo, jak to ujął kiedyś prezydent Lech Kaczyński.

Czym ostatecznie strona polska przekonała administrację prezydenta Trumpa, żeby odwiedził Polskę?

Rzeczywiście była to, jak spekulują media, obietnica entuzjastycznego przyjęcia przez Polaków?

Polska to poważny oraz ważny sojusznik i partner USA. To wystarczy za argument. Oczywiście myślę, że prezydent Trump zostanie w Polsce dobrze przyjęty, bo Polacy mają sympatię do Stanów Zjednoczonych i są ku temu podstawy. USA są naszym naprawdę bardzo solidnym sojusznikiem. Jeśli obiecali, że będzie w Polsce stacjonowała armia amerykańska, to tak się stało. Bardzo doceniam fakt, że podczas planowanego spotkania w cztery oczy z prezydentem Trumpem będziemy rozmawiali o konkretnych – właśnie o obecności wojsk amerykańskich w Polsce, ale też o budowie elementu tarczy antyrakietowej w Redzikowie czy o dostawach gazu LNG do Polski, gdzie już przecież pierwsza testowa dostawa nastąpiła. Z tej perspektywy inicjatywa Trójmorza ma ogromne znaczenie, bo jednym z łączących nas tematów jest dywersyfikacja dostaw gazu do Europy, czyli planowany przez Chorwatów terminal LNG na wyspie Krk i nasz terminal LNG w Świnoujściu jako zabezpieczenie Europy Środkowej z dwóch stron w gaz skroplony, stworzenie korytarza energetycznego północ-południe. Interesy USA, które są dostarczycielem tego gazu, są chyba oczywiste. Niedługo Polska wejdzie w skład Rady Bezpieczeństwa ONZ. Będzie więc o czym z prezydentem Trumpem rozmawiać.

Na ile amerykański gaz może pomóc w przełamaniu niedobrego scenariusza, czyli uzależnienia od rosyjskiego gazu? Na ile rozbudowa terminala w Świnoujściu może w tym pomóc, a na ile bezpieczniej i pewniej byłoby stawiać na Baltic Pipe?

Jedno nie wyklucza drugiego. Rzeczywiście jest tak, że można podzielić nasze zapotrzebowanie gazowe na trzy części. Jedna trzecia potrzebnych nam dostaw w skali roku jest zaspokajana z naszych własnych źródeł, jedną trzecią przynosi nam w tej chwili gazoport i nadal jedną trzecią naszych potrzeb gazowych musimy czerpać z Rosji. Widać więc, jakim przełomem w kierunku dywersyfikacji było już samo zbudowanie gazoportu, a na tym nie poprzestajemy. Kwestia dywersyfikacji dotyczy tego, od kogo bierzemy gaz w ogóle, ale także tego, od kogo bierzemy gaz skroplony. Mamy gaz z Kataru, ale mamy też gaz ze Stanów Zjednoczonych, to jest kwestia konkurencji cenowej również – gdzie nam się będzie bardziej opłacało, kto nam da lepsze warunki. Dobrze, że ta furтка nam się otwiera, i dlatego chcemy zwiększyć możliwości przepustowe gazoportu. Niezależnie od tego chcemy zbudować gazociąg z szelfu norweskiego do Danii i Baltic Pipe, bo to są dwa odrębne gazociągi. Chodzi o to, by gaz z Norwegii był dostarczany do systemu duńskiego, a następnie by mógł być dostarczany do Polski. Dzięki tym strategicznym możliwościom, które stworzymy, możemy nie tylko sami zapewnić sobie bezpieczeństwo gazowe, lecz także możemy być dostarczycielem tego bezpieczeństwa. Możemy dać możliwość dywersyfikacji także innym krajom partnerskim. I o to także chodzi w projekcie Trójmorza.

Czy ostatnie znaczące pogorszenie jakości gazu przesyłanego gazociągiem jamalskim do tego stopnia, że Polska nie była w stanie go używać, można

interpretować jako reakcję Rosji na nasze próby budowania suwerenności gazowej?

Wszystkie działania mające na celu naszą całkowitą niezależność energetyczną prowadzimy właśnie po to, by zabezpieczyć się przed tego typu sytuacjami.

Przedmiotem rozmów z prezydentem Trumpem będzie też kwestia bezpieczeństwa. W kampanii prezydenckiej Donald Trump mówił, że NATO jest organizacją przestarzałą. Jak jest teraz?

Z trudem przyjmuję taką retorykę, bo oczywiście wiele mediów przekręcało i wyrywało z kontekstu słowa Donalda Trumpa po to, by mu zaszkodzić jeszcze na etapie kampanii. Popatrzmy na konkretne działania Donalda Trumpa, gdy został już prezydentem. Prezydent Trump przeznaczył dodatkowe pieniądze z budżetu swojego państwa na wzmocnienie bezpieczeństwa Europy. Czy to jest dowód na to, że kwestia bezpieczeństwa i zobowiązania w ramach NATO nie mają dla niego znaczenia? Przeciwnie. To jest najlepszy dowód na to, jakie są rzeczywiste intencje prezydenta Trumpa, a nie te medialne. Zupełnie inną sprawą jest zaś to, że prezydent Trump słusznie wytyka, że skoro wszyscy umówiliśmy się, że płacimy 2 proc. PKB rocznie na obronność, a mało kto się z tego wywiązuje, to coś jest nie tak. To naturalna reakcja człowieka, który dba o interesy swoich podatników i swojego kraju, który z zobowiązań wobec innych się wywiązuje. Ja patrzę na to ze spokojem, bo akurat Polska jest jednym z nielicznych krajów, które się ze swoich zobowiązań wywiązują.

Czy niezależnie od tego, na co umawiamy się z sojusznikami, nie powinniśmy sami więcej inwestować w obronność? Szef MON mówi o 2,5 proc. PKB, Jarosław Kaczyński nawet o 3 proc. Czy to jest realne?

Polska potrzebuje nowoczesnej, dobrze wyposażonej armii, wyszkolonych żołnierzy, by w podstawowym zakresie zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom. Oczywiście liczymy na to, że w sytuacji zagrożenia zobowiązania sojusznicze zostaną zrealizowane, natomiast chciałbym, abyśmy mieli armię, która będzie w stanie nas bronić. A tego się nie da zrobić za darmo. Nie mam wątpliwości co do tego, że bezpieczeństwo wymaga ponoszenia odpowiednich nakładów, ale pieniądze dobrze wydane na armię są wydatkiem słusznym.

A czy z perspektywy czasu słuszny był pomysł referendum w sprawie konstytucji? Referendum jest

przesądzone? Z PiS płyną bowiem różne sygnały w tej sprawie...

Sprawa tego, że wystąpię do Senatu o zgodę na zarządzenie referendum konsultacyjnego w sprawie kierunków ustrojowych przyszłej konstytucji, jest przesądzona, bo to zależy ode mnie. Nie wyobrażam sobie sytuacji, by to referendum się nie odbyło, bo Polacy tego oczekują i są zainteresowani przyszłością swojego kraju. Jest czas na nową konstytucję, bo ta, którą mamy, jest konstytucją okresu przejściowego. Ona ma dzisiaj 20 lat i wiemy, jakie ma niedostatki – choćby fakt, że można było podnieść Polakom wiek emerytalny zwykłą większością głosów, bo konstytucja tego prawa obywateli nie zabezpieczyła.

Do jakiego modelu ustrojowego jest panu prezydentowi bliżej – kanderskiego na wzór niemiecki czy prezydenckiego na wzór francuski? Bo to jest kluczowa sprawa do rozstrzygnięcia w nowej konstytucji.

Ja mam swój pogląd w tej sprawie, ale chcę najpierw przedyskutować wszystkie pomysły z reprezentatywnymi organizacjami, ze środowiskami i z Polakami, z którymi będę się spotykał. W tych debatach będą się kształtowały pytania referendalne i model, do którego powinniśmy dążyć.

Nie tylko my mamy wrażenie, że unika pan jednoznacznej odpowiedzi.

Osobiście uważam, że rola prezydenta powinna zostać w nowej konstytucji wzmocniona, ale chcę o to zapytać

Donald Trump, który trzeźwo patrzy na otaczającą rzeczywistość, przywiązuje dużą wagę do Europy Środkowo-Wschodniej

Polaków, czy oni też tak uważają. Dzisiaj mamy sytuację, że prezydent jest wybierany w wyborach powszechnych przez naród, jest to jedyny tak silny mandat. A tak naprawdę konstytucyjna pozycja prezydenta nie jest wcale mocna. Nazwą są mocne, bo mowa jest o „najwyższym zwierzchniku sił zbrojnych”. Jednak ten najwyższy zwierzchnik może coś zrobić tylko wtedy, kiedy ma wniosek ze strony szefa MON albo premiera. Jeżeli wybieramy prezydenta w wyborach powszechnych, to powinien on mieć sil-

niejszą pozycję niż dzisiaj. Jeżeli chcemy prezydenta wyłącznie ceremonialnego, o ograniczonych kompetencjach, tak jak jest w Niemczech, to wybierajmy go poprzez Zgromadzenie Narodowe.

Ten pogląd ukształtowało w panu doświadczenie własnej prezydentury?

Raczej czas kohabitacji, gdy prezydentem był śp. prof. Lech Kaczyński, gdy widziałem, jak trudno mu było wykonywać swoją służbę prezydencką przez to, że właśnie na polu obronności czy spraw zagranicznych przeszkadzał mu ówczesny rząd Donalda Tuska.

Dzisiaj, choć rządził pan obóz polityczny, też bywa, że iskrzy na linii Pałac Prezydencki – MON czy ostatnio między panem prezydentem a szefem MSZ o nominacje ambasadorskie.

To ostatnie jest elementem pewnej niewiedzy czy może chaosu komunikacyjnego MSZ, bo pan minister dokumenty przeze mnie podpisane otrzymał jeszcze w maju. Jedyne, przy czym się upierałem, to by najpierw został powołany ambasador przy NATO, bo jadąc na szczyt NATO w Brukseli, chciałem, by sytuacja była uregulowana. Zaraz po powrocie ze szczytu NATO, na którym ambasador mi już towarzyszył, podpisałem wszystkie nominacje ambasadorskie, które czekały. Nie wiem, czy minister Waszczykowski nie dostał tej informacji, czy może są jakieś problemy komunikacyjne w ministerstwie?

Wracając do wizyty Donalda Trumpa w Warszawie. Jaki biznes chce pan prezydent w imieniu Polski zrobić z amerykańskim przywódcą?

Chcę zrobić dobry biznes dla Polski. Taki, który da efekt „win-win”, jak mawiają Amerykanie, czyli, że obie strony na tej wizycie wygrają. Amerykanie będą mieli poczucie, że zrobili interes, ale będzie to zarazem bardzo dobry interes dla Polski.

Na przykład?

Wierzę w to, że w interesie Stanów Zjednoczonych leży to, by w Europie było bezpiecznie. Pamiętajmy, że wtedy, gdy w Europie Środkowej zaczynały się wojny – i I, i II wojna światowa – to na koniec ginęli w nich także Amerykanie, bo Stany Zjednoczone musiały się angażować w zażegnywanie tych konfliktów. Patrząc więc na historię, wcale się nie dziwię, że prezydent Trump, który trzeźwo patrzy na otaczającą rzeczywistość, przywiązuje dużą wagę do Europy Środkowo-Wschodniej.



Marcin Makowski

Prezydent USA przylatuje do Warszawy z konkretną misją. Europa Północna, Środkowa i Wschodnia stają przed historyczną szansą

Srodze pomyli się ten, kto wizytę Donalda Trumpa w Warszawie oceni jedynie przez pryzmat długości jej trwania oraz medialnych pogłosek o obietnicy „dowiezienia” wiwatujących tłumów. Przylot prezydenta USA na szczyt Trójmorza to efekt wielu miesięcy intensywnych zabiegów, których pozytywne skutki Polska będzie odczuwać przez najbliższe lata. Oto kulisy operacji „Trump”.

NOWA POLITYCZNA SIŁA

Jeśli wizyta prezydenta USA w naszym kraju, która rozpocznie się 5, a zakończy 6 lipca, ma jakąś spajającą wszystko klamrę, to jest nią bez wątpienia koncepcja Trójmorza. Jak twierdzi Sławomir Dębski, to dzisiaj coś znacznie więcej niż tylko publicystyczna otoczka pomagająca załatwiać interesy Warszawy. – Idea współpracy Europy Północnej, Centralnej i Południowej przekształca się w realny projekt, który nie jest mglistym Międzymorzem, ale próbą zakopania podziału pomiędzy nierównomiernie rozwiniętymi krajami Unii, w kontrze do Unii dwóch prędkości – przekonuje dyrektor Polskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych. W tym samym tonie wypowiada się również wicemarszałek Senatu z PiS Adam Bielan: – Olbrzymia waga tej wizyty polega na tym, że Trump przyjeżdża nie tylko na rozmowy bilateralne, lecz także na szczyt Trójmorza, przez to wspiera wielką ideę, którą zapoczątkował śp. Lech Kaczyński, a którą teraz kontynuuje Andrzej Duda.

W Trójmorzu, skupiającym się na pogłębieniu relacji cywilizacyjno-gospodarczych pomiędzy 12 krajami regionu, administracja Białego Domu odnalazła partnera do stanowczego przeorientowania swojej polityki zagranicznej. – Wydaje się, że Trump zdecydował się zanegować trwający przez dwie kadencje Baracka Obamy paradygmat, w myśl którego to Niemcy stanowiły most pomiędzy Europą a Ameryką –

uważa wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego, Ryszard Czarnecki (PiS). Jego intuicje potwierdza Jonny Daniels, założyciel fundacji From The Depths i znajomy Donalda Trumpa. – Spotkania w Warszawie to nie tylko kontekst Polski, lecz także budowanie nowej politycznej siły w regionie – przekonuje Daniels. – Niedługo wiceprezydent Mike Pence odwiedzi m.in. Macedonię oraz państwa byłego bloku sowieckiego, niektóre po raz pierwszy. Udział w szczycie Trójmorza wpisuje się w strategię otwarcia na nową Europę. Wojska amerykańskie na wschodniej flance i otwarcie gospodarcze to nie przypadek – podkreśla.

Chociaż dzisiaj dostrzeżenie koncepcji zapomnianego w geopolityce regionu uważa się za oczywistość, to droga do tego celu była wyboista również w Polsce. Jak twierdzi dobrze poinformowany rozmówca zbliżony do Pałacu Prezydenckiego, przez prawie dwa lata pracowano nad konstruowaniem i wdrażaniem do

komunikacji innych resortów idei Trójmorza, która często była mylona z Międzymorzem – niekorzystnym dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej ze względu na dominację Polski. – Na początku Witold Waszczykowski i MSZ podchodzili z nieufnością do Trójmorza, bo to pomysł Pałacu Prezydenckiego, a nie ich. Dzisiaj już chyba każdy rozumie, że było warto. Wspólna praca się opłaciła – twierdzi informator „Do Rzeczy”.

BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE

Obraz wizyty Donalda Trumpa w Polsce nie będzie pełny, jeśli zapomni się o jej wymiarze gospodarczym, a przede wszystkim energetycznym. Moi rozmówcy przekonują, że właśnie to zagadnienie było jednym z najważniejszych czynników decyzyjnych dla Waszyngtonu. Podczas trzygodzinnej dyskusji Jarosława Kaczyńskiego z Rudolfem Giulianiem w Warszawie w grudniu ubiegłego roku, podczas której prezes PiS





FOU GETTY IMAGES

przekonywał byłego burmistrza Nowego Jorku do zwrócenia uwagi Trumpa na Polskę, bezpieczeństwo energetyczne Europy Środkowo-Wschodniej stanowiło temat przewodni. Szczególnie w kontekście budowy interkonektorów pomiędzy Świnoujściem a planowanym przez Chorwatów gazoportem na wyspie Krk, co otworzy wielki rynek całego Trójmorza na amerykański gaz. – Szczyt Trójmorza ma być przypieczętowaniem współpracy z państwami regionu, co zbiega się w czasie ze znoszeniem restrykcji eksportowych amerykańskiego LNG, który docelowo powinien popłynąć w rurach zamiast dostaw z Rosji – mówi Adam Bielan, który był obecny na spotkaniu z Giulianim.

Na zbliżenie gospodarcze, które idzie w parze z politycznym, zwraca uwagę wicepremier Mateusz Morawiecki. – Rozpoczęcie dostaw LNG z USA jest polską odpowiedzią na ostatnie doniesienia o koncepcji dofinansowania Gazpromu przez europejskich partnerów w celu

obejścia przepisów antymonopolowych utrudniających budowę Nord Stream 2 – mówi „Do Rzeczy”. – Rynek gazu na świecie ulega teraz wielkim przeobrażeniom. Próba budowy Nord Stream 2 to łabędzi śpiew Gazpromu, który powinien pożegnać się z dominacją w Europie. Przyszłość należy do rynku LNG, który w swoim wymiarze geograficznym jest globalny. Wizyta prezydenta Trumpa w Polsce niewątpliwie może wzmocnić współpracę polsko-amerykańską w obszarze energetycznym. Moje rozmowy z sekretarzem energii USA Rickiem Perrym podczas ostatniej wizyty w Stanach Zjednoczonych oraz działania Ministerstwa Energii wypełniły się w ten sposób treścią na poziomie firm – dodaje.

OJCOWIE SUKCESU

O ile kontekst wizyty Donalda Trumpa wydaje się dzisiaj jasny, o tyle im bliżej lądowania Air Force One, tym w sposób wykładniczy rośnie liczba „ojców” mającego dopiero nastąpić sukcesu. – Ogromnym

uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że do wizyty Donalda Trumpa przyczyniło się jedno konkretne spotkanie – mówi Matthew Tyrmand. – Wybór Warszawy to efekt chwilowego, choć niezwykle efektywnego sojuszu pomiędzy wszystkimi resortami i instytucjami państwa. Swoją rolę odegrało MSZ, ogromną pracę w Waszyngtonie zrobił ambasador Piotr Wilczek, Mateusz Morawiecki spotykający się z przedstawicielami amerykańskiej gospodarki i Krzysztof Szczerski, lobbujący za ideą Trójmorza. Ważna była również kwietniowa wizyta doradców Trumpa, Kena Blackwella i Ralpha Reeda – wymienia. I podkreśla, że według niego Biały Dom podjął decyzję o wpisaniu Polski na trasę podróży przed szczytem G20 w Hamburgu również za sprawą spotkania Kaczyńskiego z Giulianim. Swoją cegiełkę dołożyło także Ministerstwo Obrony Narodowej za sprawą dobrych relacji wiceministra Tomasza Szatkowskiego m.in. z doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego gen. H.R. McMasterem.

– Zawsze gdy jest sukces, jest wielu ojców, ale fakty są takie, że prezydent Trump przylatuje na zaproszenie prezydenta Dudy, które było złożone dwukrotnie. Raz pisemnie (w Waszyngtonie przekazał je minister Krzysztof Szczerski), drugi raz podczas rozmowy w trakcie szczytu NATO w Brukseli, i to już przez samego prezydenta – podkreśla z kolei Krzysztof Łapiński, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP.

Nie da się ukryć, że właśnie na linii Pałac Prezydencki – MSZ dochodziło do zakulisowych spieków. – Witold Waszczykowski swoimi wypowiedziami o zorganizowaniu wizyty Trumpa ewidentnie wyszedł ze swojej roli. Może nie wytrzymał presji przed konwencją partii 1 lipca? – mówi jeden z ważnych polityków PiS. Na pytanie o formalne zabiegi dyplomatyczne szefa MSZ Biuro Rzecznika Prasowego odpowiada dyplomatycznym komunikatem: „Minister Waszczykowski podnosi kwestię zaproszenia dla prezydenta Trumpa w rozmowie z sekretarzem stanu Rexem Tillersonem. Była ona także przedmiotem: rozmów ministra z innymi urzędnikami amerykańskimi (m.in. ambasador Paul Jones) oraz podobnych działań ze strony aparatu MSZ (ambasada RP w Waszyngtonie, Centrala)”.

Nieco inny element do „mozaiki sukcesu” dorzucił Adam Bielan. – Przy organizacji wizyty Donalda Trumpa w Warszawie kluczową rolę pod względem formalnym odegrał prezydent Andrzej Duda, który



■ jest gospodarzem szczytu państw Trójmorza i który wysłał oficjalne zaproszenie do Białego Domu. Natomiast jeśli chodzi o przekonanie Donalda Trumpa do przyjazdu, to najważniejszy był Jarosław Kaczyński – twierdzi wicemarszałek Senatu, dodając, że rozmowy z Departamentem Stanu, który nie ma dominującego wpływu na politykę Białego Domu, nie były kluczowe. – Ten kanał był stosunkowo mało skuteczny, dlatego kilka tygodni temu wróciliśmy do działania na płaszczyźnie politycznej, co przyniosło rezultaty – przekonyuje Bielan.

– Ważne, że w ogóle doszło do tej wizyty, bo sytuacja wokół niej zmieniała się dynamicznie. To, że teraz wiele osób podkreśla swój udział w akcji „Trump”, to normalna rzecz w polityce, ale z punktu widzenia polskiego interesu dobrze, że udało się zjednoczyć przy jej organizacji. Kto się to tego faktycznie przyczynił, a kto blefuje dobrą miną, jest mniej ważne – tonuje emocje Ryszard Czarnecki. Sławomir Dębski zauważa, co najistotniejsze: „Wyścig o uznanie ojcostwa sukcesu rozpoczął się dopiero po ogłoszeniu decyzji o wizycie Donalda Trumpa w Warszawie”.

CO, GDZIE, Z KIM?

Potwierdzenie wizyty prezydenta USA zainicjowało również falę medialnych spekulacji oraz giełdę nazwisk w kolejce do rozmów z Donaldem Trumpem. Podczas wizyty na pewno dojdzie do obustronnego spotkania prezydentów, następnie do plenarnego spotkania delegacji Polski i USA, na czele których również stoją prezydenci. – Ze strony kancelarii udział wezmą jej szefowa i szef gabinetu, czyli minister Szymańska oraz minister Szczerski, a także szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Paweł Soloch. Dodatkowo członkowie rządu, których Kancelaria Prezydenta zaprosi do składu delegacji – tłumaczy Krzysztof Łapiński. Według informacji, do których dotarło „Do Rzeczy”, ową trójką zaproszonych mają być ministrowie Antoni Macierewicz, Witold Waszczykowski oraz Mateusz Morawiecki. W oficjalnym planie spotkania nie ma miejsca na rozmowy Donald Trump – Beata Szydło, jak również najpierw ogłaszanej, a później błyskawicznie dementowanej przez część mediów dyskusji w kulisach z Jarosławem Kaczyńskim. – Kancelaria Prezydenta w żaden sposób i na żadnym etapie wizyty nie była proszona o umawianie spotkań innych niż oficjalne – zapewnia Łapiński.

– Każdy, kto zna Jarosława Kaczyńskiego, wie, że jest ostatnim politykiem, który

chciałby się z kimś spotkać tylko po to, aby podać rękę – mówi „Do Rzeczy” jeden z ważnych polityków PiS. – Kaczyński nie jest zainteresowany takimi rzeczami. On się czuje w swoim żywiole na zakulisowych spotkaniach, takich jak np. trzygodzinna narada z Angelą Merkel w Berlinie czy dyskusja z Theresą May w Londynie. Nikt nie chce kraść show prezydentowi Dudzie, to on jest główną postacią tego wydarzenia, ważną dla naszego obozu w sensie politycznym i wizerunkowym.

Zdaniem moich rozmówców pl. Kasińskich zdeterminuje treść przemówienia Trumpa. Wybrano go z kilku propozycji, kierując się zarówno obecnością pomnika Powstania Warszawskiego oraz kwestiami bezpieczeństwa. – Według mnie Trump podczas swojego przemówienia podkreśli wagę art. 5 paktu północnoatlantyckiego, zaangażowanie Polski w budowę NATO

W przemówieniu Donalda Trumpa na pl. Kasińskich mogą się znaleźć odniesienia do heroizmu powstańców warszawskich

i konsekwentne przeznaczanie 2 proc. PKB na zbrojenia, w kontrze do członków sojuszu, którzy się z tego obowiązku nie wywiązują – twierdzi Jonny Daniels. A Adam Bielan zauważa, że Polsce zależy przede wszystkim na kwestii bezpieczeństwa oraz dywersyfikacji dostaw energii. – I w tej drugiej sprawie 6 lipca zostaną ogłoszone bardzo ważne inicjatywy – zapowiada marszałek Senatu. Zaznacza też, że w przemówieniu Trumpa można liczyć na podkreślenie heroizmu powstańców warszawskich, co z perspektywy polskiej polityki historycznej jest promocją, „na którą przy organizowaniu profesjonalnej kampanii medialnej musielibyśmy wydać kilkadziesiąt milionów dolarów”. – Prezydent Trump przesunął swoje przemówienie z polskich godzin porannych na przedpołudniowe, aby jego słowa mogły być obejrzone w amerykańskim informacyjnym prime time, w zależności od rejonu Stanów pomiędzy godzinami 6 a 7 rano, co informacyjnie ustawi cały dzień i dotrze do milionów Amerykanów – mówi Bielan.

– Donald Trump na pewno nie będzie pouczać Polski, jak ma funkcjonować w obszarze demokracji, praworządności

i Trybunału Konstytucyjnego. Prezydent USA nie będzie naszym prokuratorem i nie będzie rozliczać Polski za praworządności oraz nie będzie bredził o „polskich obozach śmierci”, jak to się zdarzyło prezydentowi Obamie – uważa Ryszard Czarnecki.

CO ZOSTANIE PO 6 LIPCA?

– To, że prezydent USA przylatuje do Polski przed wizytami w Berlinie, Rzymie, Paryżu czy krajach skandynawskich, jest bezprecedensowe. To ogromny przykład konserwatywnego sojuszu, który rodzi się pomiędzy naszymi krajami – mówi Matthew Tyrmand, oceniając możliwe owoce szczytu Trójmorza.

Rozmówcy „Do Rzeczy” zgodnie podkreślają, że 6 lipca będzie pierwszym krokiem w kierunku zacieśnienia nie tylko relacji tej części Europy z USA, lecz także przede wszystkim – z samą sobą. Europa Środkowo-Wschodnia jest obszarem o wielu wspólnych interesach, ale też takim, gdzie istnieją wieloletnie zaniedbania, które np. w sferze połączeń drogowych czy kolejowych sprawiły, że podróż z północy regionu na południe, nie jest tak łatwa jak w kierunku zachodnim. To z kolei przekłada się na nierównomierne rozłożenie relacji dwustronnych.

– W tych warunkach strategię obliczone na szybkie efekty będą miały ograniczoną skuteczność. Nie oczekujemy więc gwałtownych, spektakularnych skutków dyplomatycznych. Zamierzamy zatem w sposób przemyślany koncentrować się na celach długofalowych. Kluczem do sukcesu będzie rozwój relacji gospodarczych i budowa trwałych więzi gwarantujących zrównoważony rozwój przynoszący korzyści wszystkim partnerom inicjatywy. Szczyt ma wspierać realizację konkretnych, wymiernych, a przede wszystkim cieszących się szerokim poparciem projektów gospodarczych i infrastrukturalnych – odpowiada MSZ.

– Pamiętajmy również o stacjonowaniu wojsk amerykańskich na terenie Polski, co może być punktem odniesienia dla Donalda Trumpa wysyłającego sygnał dla Rosji, że nie może traktować rejonu Trójmorza jako swojej strefy wpływów – zauważa Sławomir Dębski.

Wizyta Donalda Trumpa, choć krótka pod względem czasowym, będzie jedną z najważniejszych wizyt prezydentów USA pod względem konsekwencji polityczno-gospodarczych w historii III RP. Tej szansy Polska nie może zmarnować.



Atlantic Council



PISM

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH
THE POLISH INSTITUTE OF INTERNATIONAL AFFAIRS

GLOBAL FORUM

WARSZAWA, 6-7 LIPCA
#STRONGERWITHALLIES

Atlantic Council - PISM Global Forum w Warszawie to wydarzenie, podczas którego spotkają się czołowi eksperci zajmujący się sprawami transatlantyckimi oraz przedstawiciele biznesu i mediów, aby wspólnie dyskutować o przyszłości relacji Europa-Ameryka w kontekście aktualnych wydarzeń na świecie i zmian porządku międzynarodowego. Ze względu na pierwszą wizytę prezydenta Stanów Zjednoczonych **Donald Trumpa** w Polsce oraz odbywający się równolegle Szczyt Inicjatywy Trójmorza, którego gospodarzami będą prezydenci Polski i Chorwacji, **Andrzej Duda** i **Kolinda Grabar-Kitarović**, Global Forum stanowić może niepowtarzalną okazję do wymiany poglądów na temat najważniejszych wyzwań obecnej dekady. Decydenci z obu stron Atlantyku będą rozmawiać m.in. o strategii dalszego jednoczenia Europy, a także o tworzeniu nowych miejsc pracy dzięki konstruowaniu transgranicznej infrastruktury energetycznej, transportowej i telekomunikacyjnej w Europie Środkowej. W programie Forum znalazły się także takie tematy, jak przyszłość NATO i Rosji oraz wyzwania związane z dezinformacją w erze dynamicznych zmian politycznych.



globalforum2017.org



JACEK PRZYBYLSKI: Donald Trump już w pierwszych miesiącach urzędowania pojawi się w Warszawie. Jak duże znaczenie ma jego wizyta dla bezpieczeństwa Polski i Europy?

FRANCES BURWELL: To będzie ważna wizyta, ponieważ dotychczas ze strony prezydenckiej administracji płynęły nie zawsze jasne sygnały dotyczące europejskiego bezpieczeństwa. Dopiero niedawno Donald Trump oficjalnie zakomunikował swoje pełne przywiązanie do art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Stało się to podczas konferencji prasowej wraz z odwiedzającym Waszyngton prezydentem Rumunii i dość długo musieliśmy na to czekać. Jednakże obecne relacje Stanów Zjednoczonych z Niemcami, które bez wątpienia są liderami w Europie, stały się dużo trudniejsze po tym, jak Donald Trump skrytykował Niemcy za ogromną nadwyżkę, którą mają w handlu zagranicznym ze Stanami Zjednoczonymi. Stosunki między Waszyngtonem a Europą od czasu inauguracji nowej prezydentury z pewnością nie były więc idealne.

Podróż do Warszawy to więc szansa dla Donalda Trumpa, który może dotrzeć do tej części europejskich sojuszników, którzy kwestie bezpieczeństwa traktują wyjątkowo poważnie. Dzięki temu Donald Trump będzie mógł osobiście się przekonać, jak ważny jest sojusz północnoatlantycki.

Kancelaria Prezydenta Andrzeja Dudy i członkowie polskich władz bardzo mądrze wykorzystali to, że przywódca USA wybierał się na lipcowy szczyt G20 w Hamburgu i zapraszając do Polski kilku przywódców regionu, stworzyła dobrą okazję, aby Donald Trump mógł zobaczyć również tę część Europy, która od 1989 r. zrobiła tak ogromne postępy. Jego spotkanie z przywódcami Polski, a także z liderami państw Trójmorza ułatwi mu zrozumienie wagi amerykańskich gwarancji dla bezpieczeństwa tego regionu. Mam więc nadzieję, że powtórzy w Polsce deklarację jasno potwierdzającą znaczenie art. 5.

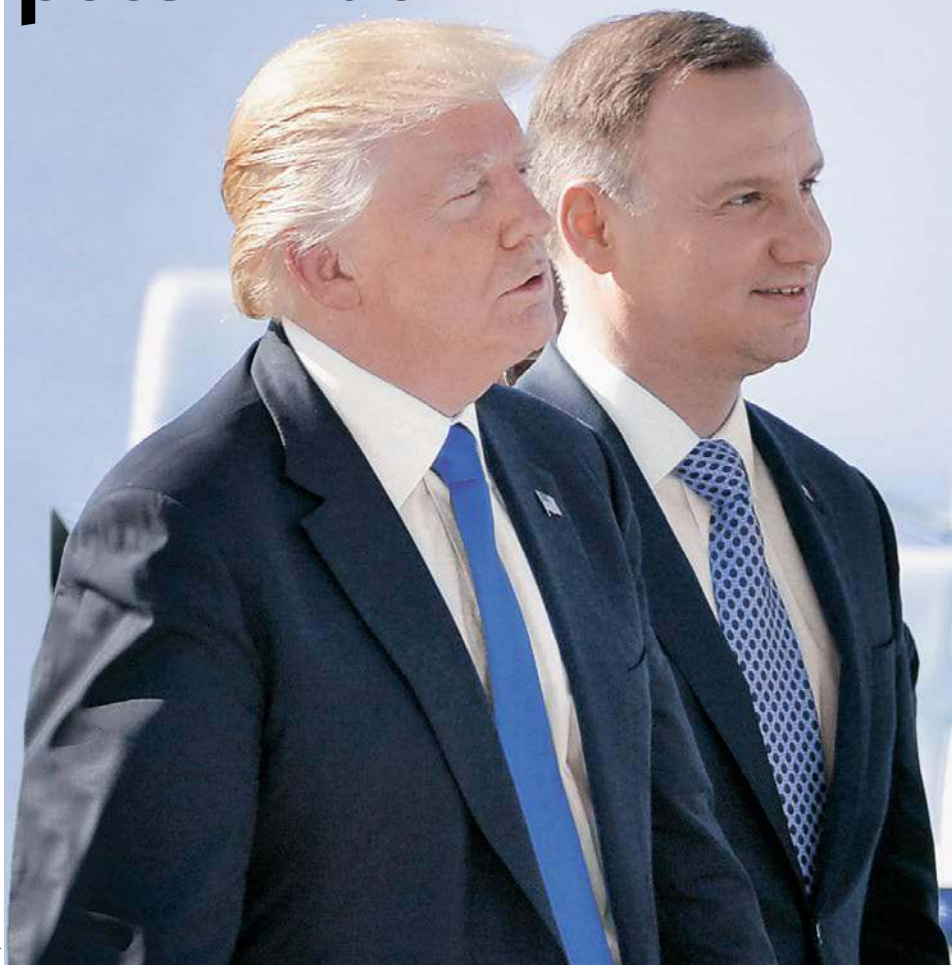
Wizyta w Warszawie to dobra decyzja dla samego Trumpa. To, że amerykański prezydent najpierw odwiedza Polskę, nie oznacza jednak braku poszanowania dla innych sojuszników. Prezydent Trump odwiedził już bowiem Brukselę, jeszcze w lipcu wybiera się do Niemiec na wspomniany szczyt G20 oraz do Francji. Wielka Brytania jest zaś teraz skupiona na kwestiach związanych z brexitem.

Amerykański prezydent ma – według zapowiedzi – wygłosić w Warszawie istotne



Z Frances Burwell, ekspertką wpływowego waszyngtońskiego think tanku Atlantic Council rozmawia Jacek Przybylski

Najpierw Duda, potem Putin



FOT. JACEK TURCZYK/PAP

przemówienie dotyczące spraw zagranicznych. Czy możemy się spodziewać, że zdefiniuje on w Polsce „doktrynę Trumpa”?

Jestem przekonana, że w Warszawie padną istotne zdania dotyczące europejskiego bezpieczeństwa, znaczenia NATO oraz wagi relacji europejsko-amerykańskich. Spodziewam się też, że prezydent USA wspomni o operacji prowadzonej przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu.

Nie oczekiwałabym jednak ogłoszenia istotnego przełomu w założeniach amerykańskiej polityki zagranicznej. Nie sądzę bowiem, aby administracja Donalda Trumpa była już gotowa do sformułowania znaczącej doktryny. To ciągle dopiero początki urzędowania tej ekipy. Jeszcze nie wszystkie miejsca w Białym Domu są obsadzone. Polityka administracji Trumpa ciągle więc jeszcze ewoluuje.

Jak na miejscu polskich władz próbowałaby pani przekonywać prezydenta Trumpa do tego, jak ważne są dla Polski amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa?

Po pierwsze, zabrałabym go do jednej z baz, w których służą razem polscy i amerykańscy żołnierze. Na miejscu polskich władz pokazałabym mu również, jak wielką popularnością cieszą się Amerykanie w Polsce. Pamiętam bowiem, jak serdecznie Polacy witali oddziały amerykańskiej armii, które jako pierwsze przyjechały do waszego kraju. Donald Trump powinien zobaczyć na własne oczy, że za amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa są wdzięczne Stanom Zjednoczonym nie tylko elity polityczne, lecz także opinia publiczna. Zabrałabym też prezydenta Trumpa do takich miejsc jak Auschwitz, które wyraźnie pokazują, jak wysoka jest cena za brak właściwej reakcji na inwazję. Postarałabym się dać mu bardzo osobistą lekcję historii Europy, aby sam doszedłby do wniosku, że takie rzeczy nigdy więcej nie mogą się zdarzyć. Pokazałabym też prezydentowi Trumpowi warszawskie pomniki upamiętniające wydarzenia z czasów II wojny światowej oraz z czasów komunistycznej dyktatury.

Na pewno prezydent Trump zobaczy pomnik Powstania Warszawskiego, bo to przed nim ma wygłosić przemówienie do Polaków.

Świetnie. To bardzo dobre miejsce. Ten pomnik pokazuje dążenie narodu polskiego do wolności i do życia w świecie bez wojen. To odzwierciedlenie wartości, które tak mocno popieramy.

Podczas kampanii prezydenckiej Donald Trump wielokrotnie wspominał, że chce dogadać się z Władimirem Putinem. Jak ocenia pani stosunek Białego Domu do Rosji. Czy wizyta amerykańskiego prezydenta w Warszawie, tuż przed spotkaniem z rosyjskim prezydentem, może być odczytywana jako jasny sygnał wobec Moskwy, że Ameryka stoi z Polską ramię w ramię?

Na razie członkowie administracji Donalda Trumpa są wciąż mocno podzieleni w swym stosunku do Rosji. Wśród zwolenników twardej linii wobec Moskwy są choćby sekretarz obrony i doradca ds. bezpieczeństwa narodowego. Ostro sprzeciwiają się oni temu, by Rosja za bardzo mieszała na europejskim podwórku, a zwłaszcza protestują przeciwko rosyjskim działaniom na Ukrainie. Donald Trump zgodził się też z kanclerz Merkel w sprawie utrzymania sankcji wobec Rosji. Biały Dom nadal wspiera również założe-



Frances Burwell FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nia Europejskiej Inicjatywy Wzmocnienia (inicjatywy wzmocnienia amerykańskiej obecności wojskowej w Europie Środkowo-Wschodniej – dop. red.). Obserwujemy nawet w budżecie pewien wzrost środków na ten cel, choć zapewne był on zaplanowany dużo wcześniej.

Po inauguracji prezydentury Donalda Trumpa nie obserwuję więc istotnej zmiany w stosunkach między Waszyngtonem a Moskwą. Sam prezydent musi zaś teraz stawić czoło wewnętrznym problemom związanym ze śledztwem w sprawie zarzutów mieszania się Rosji w amerykańskie wybory prezydenckie. To poważny problem dla prezydenta, który sprawia, że jego poglądy na kwestie rosyjskie stają się bardziej powściągliwe.

Prosto z Warszawy prezydent Trump poleci do Hamburga, gdzie przy okazji szczytu G20 zaplanowano jego bilateralne spotkanie z prezydentem Władimirem Putinem. To ważne, że Trump najpierw spotka się z Dudą, a dopiero potem z Putinem. Dzięki temu łatwiej mu będzie zrozumieć znaczenie sojuszu dla krajów, które wydostały się spod sowieckiego parasola.

Jak duże zagrożenie stanowi obecnie Rosja? I które państwo po rosyjskiej inwazji na Gruzję oraz aneksji Krymu może być następnym celem Kremla?

Rosja stanowi zagrożenie, ale nie sądzę, by prezydent Putin chciał podbijać kolejne kraje. Na przykładzie Ukrainy Moskwa nauczyła się bowiem, że to wy-

jątkowo droga sprawa, mimo że Rosjanie wykroili sobie tylko Krym, czyli stosunkowo mały obszar. Mniej bałabym się więc rosyjskiej interwencji wojskowej w Europie, a bardziej obawiałabym się infiltrowania europejskich mediów przez Rosję, a także scenariuszy związanych z wojną hybrydową, zwłaszcza w krajach z dużą liczbą rosyjskojęzycznych obywateli. Obawiałabym się też inspirowanej przez Kreml korupcji, a także rozprzestrzeniania się w Europie Środkowo-Wschodniej, nazwijmy to, rosyjskich praktyk biznesowych.

Skoro istnieje ryzyko wojny hybrydowej, to czy cztery batalionowe grupy rozmieszczone przez NATO w Polsce i trzech krajach bałtyckich rzeczywiście wystarczą, aby ochronić Europę Środkowo-Wschodnią?

Sądzę, że tak. Udało nam się przecież przez pół wieku chronić Berlin, mimo że trzymaliśmy tam przecież stosunkowo niewielką liczbę amerykańskich żołnierzy. Wszyscy wiedzieli, że nie daliby oni rady powstrzymać sowieckiej inwazji. Oddziały te pełniły jednak funkcję rozciągniętej nad ziemią linki, wyzwalającej bombę. Rosjanie wiedzieliby bowiem, że jeśli tym żołnierzom cokolwiek się stanie, to ściągną na siebie potężny odwet. Dzisiaj mamy do czynienia z podobną sytuacją. Ważniejszy od liczby rozmieszczonych żołnierzy jest więc sam fakt, że w ogóle tam są.

Wiele mówi się o tym, że za prezydentury Donalda Trumpa doszło do pogorszenia stosunków między Stanami Zjednoczonymi a europejskimi sojusznikami. Czy rzeczywiście powinniśmy martwić się o przyszłość NATO i relacji transatlantycznych?

Paradoksalnie prezydentura Donalda Trumpa sprawiła, że zaczęto bardzo głośno i wyraźnie mówić o znaczeniu sojuszu północnoatlantyckiego, a także o wadze relacji Ameryki z Europą. To, że nagle w takich miejscach jak choćby instytut Atlantic Council musieliśmy zacząć stawać w obronie NATO, jest rzeczą dobrą. Dzięki Trumpowi odnowiliśmy debatę nad przyszłością sojuszu i stworzyliśmy potrzebę dyskusji o niej przez nowe pokolenia. To ważne, gdyż ze sceny schodzi już nie tylko pokolenie, które tworzyło NATO, lecz także to, które ma jeszcze żywo w pamięci zimną wojnę. To jedna z niezamierzonych konsekwencji działań Donalda Trumpa, które mogą okazać się bardzo pozytywne.



Jacek Przybylski

Prezydent USA ma rację: wiele osób atakujących go za związki z Rosją nie ma twardych dowodów i dobrze wie, że rozsiewa fałszywe wiadomości

Wybór Trumpa stanowi ryzyko popsucia stosunków międzykontynentalnych – zarówno jeśli chodzi o ich podstawy, jak i strukturę. Będziemy musieli nauczyć prezydenta elekta, czym jest Europa i jak funkcjonuje – oświadczył po ogłoszeniu wyników listopadowych wyborów prezydenckich przewodniczący Komisji Europejskiej. Jean-Claude Juncker, znany m.in. z pouczania rządzących w Polsce, nazwał również nowego przywódcę Ameryki ignorantem i przekonywał, że 45. prezydent USA najpierw „zmarnuje dwa lata” na „podróże po świecie, o którym nic nie wie”. Jeden z najpotężniejszych unijnych przywódców w mentorskim tonie ostrzegł wówczas również przed „złubnymi” konsekwencjami wypowiedzi Donalda Trumpa dotyczących polityki bezpieczeństwa. Juncker nie był jedynym europejskim politykiem, który pozwolił sobie na bezceremonialny komentarz wobec nowego lidera najpotężniejszego mocarstwa świata.

GORZKIE ŻAŁE

Tuż po wyborze Donalda Trumpa w debacie publicznej pełno było komentarzy przepełnionych lamentami, żałami i frustracją liberalnych elit, w których nowy amerykański prezydent występował niemalże w roli antychrysta. Reżyserka Agnieszka Holland w rozmowie opublikowanej na łamach „Newsweeka” zwierzała się więc Tomaszowi Lisowi, że po ogłoszeniu informacji o zwycięstwie Trumpa „paru moich przyjaciół do dzisiaj jest w stanie żałoby, nie mogą się z tym pogodzić”. Artystka w ciemnych barwach widziała również przyszłe relacje polsko-amerykańskie. „Jak patrzę na polską prawicę, która cieszy się ze zwycięstwa Trumpa, to mam wrażenie, że widzę karpia, który cieszy się, iż nadchodzi Wigilia” – wieszczyła Holland, nie spodziewając się zapewne, że zaledwie kilka miesięcy po tym wywiadzie nowy amerykański prezydent wyląduje w stolicy Polski i że Warszawa w kalendarzu podró-

Nagonka na Trumpa



Wbrew obawom swoich przeciwników prezydent Donald Trump mianował sekretarzem obrony zagorzałego krytyka Rosji gen. Jamesa Mattisa. FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

ży przywódcy Ameryki znajdzie się przed Berlinem, Paryżem czy Londynem.

Również wielu polityków i publicystów prześcigało się, przekonując „dlaczego wygrana Donalda Trumpa jest niebezpieczna dla Polski?”. „@realDonaldTrump jest przeciwnikiem wolnego handlu i sceptykiem co do zaangażowania USA w NATO. Dwa filary sukcesu Polski osłabną” – ostrzegał na Twitterze Radosław Sikorski. Były szef polskiej dyplomacji zdawał się nie pamiętać, że to prezydent Barack Obama wstrzymał uzgodnioną jeszcze za rządów George’a W. Busha budowę tarczy antyrakietowej w Redzikowie pod Słupskiem, a swoją decyzję ogłosił w rocznicę sowieckiej inwazji na Polskę.

Jednocześnie polscy przeciwnicy miliardera pomijali fakt, że Donald Trump był w ostatnich wyborach jedynym kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych, który w kluczowym momencie kampanii zwrócił się bezpośrednio do Polaków, stawiając Polskę za przykład dla innych sojuszników z NATO.

TORT Z PUTINEM?

Politycy i celebryci najczęściej przestrzegali przed domniemanym „tajnym sojuszem” Donalda Trumpa i Władimira Putina, który miał doprowadzić do rychłego podziału świata między Stany Zjednoczone oraz Rosję. – Niebezpieczne jest to, że Donald Trump patrzy na wszystko

w kontekście biznesowym. Może sobie usiąść z Putinem i podzielić tort, bo stwierdzi, że bazy USA w Europie kosztują za dużo amerykańskiego podatnika. To może być taki Silvio Berlusconi USA – mówił w listopadowym programie „Kawa na ławę” poseł PSL Krzysztof Hetman.

W podobnym tonie wypowiadało się też na łamach polskich mediów wielu publicystów, w swych czarnych przepowiedniach zapominając choćby o tym, że gospodarz Białego Domu nie rządzi samodzielnie i że jego decyzje są na bieżąco kontrolowane przez wiele różnych instytucji. Różnego rodzaju teorie spiskowe dotyczące nowego prezydenta USA snuto nawet wtedy, gdy stanowisko sekretarza obrony objął gen. James Mattis, zagorzały krytyk Kremla.

Rzecz jasna, liberalne elity pozwalały sobie na ostrą krytykę Donalda Trumpa nie tylko w naszym kraju. Domniemane tajne związki Kremla z nowym amerykańskim prezydentem stały się ulubionym tematem liberalnych mediów w Stanach Zjednoczonych. Od początku roku zwolennicy szybkiego impeachmentu 45. prezydenta USA spekulowali m.in. o tym, że rosyjskie służby wywiadowcze posiadają materiały kompromitujące Donalda Trumpa, a następnie oskarżali gospodarza Białego Domu o „nielegalne naciski na szefa FBI”.

– Żaden inny polityk w historii, i mówię to z całą pewnością, nie był traktowany bardziej niesprawiedliwie – utyskiwał w maju Donald Trump, gdy był szef FBI Robert Mueller został mianowany specjalnym prokuratorem, którego zadaniem jest prowadzenie śledztwa dotyczącego potencjalnych kontaktów sztabu wyborczego Trumpa z Rosjanami. – To największe polowanie na czarownice wycelowane w polityka w historii Stanów Zjednoczonych – skarżył się 45. prezydent USA, co wywołało nowe sztycherce komentarze jego przeciwników.

Trump, który uwielbia przekazywać wiadomości za pomocą Twittera i z pominięciem tradycyjnych mediów, podkreślał też wielokrotnie, że jest ofiarą kampanii prowadzonej z użyciem „fałszywych wiadomości” (tzw. fake news).

Kilka dni temu okazało się, że żale przywódcy Ameryki były zupełnie uzasadnione. Tajemnicze związki Putina i Trumpa stały się bowiem wśród liberalnych elit tematem tak modnym, że niebezpiecznym dla samych głosicieli różnego rodzaju spiskowych teorii. Przekonało się o tym m.in. trzech dziennikarzy CNN. W zeszłym

tygodniu musieli pożegnać się z pracą w serwisie, gdy okazało się, że wewnętrzna kontrola stwierdziła, iż ich artykuł o styczniowym spotkaniu w Davos doradcy Donalda Trumpa z reprezentantem rosyjskiego państwowego funduszu inwestycyjnego „nie odpowiadał standardom redakcyjnym CNN” i usunęła go z archiwum.

To niejedyny przypadek, gdy przeciwnicy urzędującego prezydenta zapominali o etyce dziennikarskiej. Z nagrania wideo opublikowanego w zeszłym tygodniu przez Project Veritas wynika, że producent CNN John Bonifield otwarcie przyznał, iż stacja cynicznie atakuje Donalda Trumpa, ponieważ sprawa domniemanych powiązań amerykańskiego prezydenta z Władimirem Putinem zapewnia CNN wysoką oglądalność. Zdaniem pracującego w stacji od niemal 15 lat Bonifielda śledztwo federalne dotyczące powiązań nowego gospo-

Domniemane tajne związki Kremla z nowym amerykańskim prezydentem stały się ulubionym tematem liberalnych mediów w USA

darza Białego Domu z Kremllem może się okazać „stakiem bzdur”. Producent CNN przyznaje również, że „jak na razie to głównie bzdury”. – Nie widziałem żadnego wystarczająco mocnego dowodu, który pokazywałby, że prezydent popełnił przestępstwo. Czuję, że oni go tak naprawdę nie mają, ale chcą kopać dalej. Myślę więc, że prezydent prawdopodobnie ma rację, gdy mówi, że stał się celem polowania na czarownicę – stwierdza Bonifield nagrywany ukrytą kamerą. I z ironią dodaje, że „cała ta słodka etyka, o której mówi się w szkole dziennikarskiej, jest uroczą”. – To jednak jest biznes – podkreśla producent CNN, stacji informacyjnej, która – jak podkreślają twórcy Project Veritas – od inauguracji Donalda Trumpa wspominała o potencjalnych związkach Białego Domu z Rosją niemal 16 tys. razy. Taką tematykę mają zaś narzucać producentom szefowie stacji. „Do Rzeczy” nie miało dostępu do oryginalnych nagrań i nie wiemy, czy są prawdziwe lub czy były edytowane. Prezes Project Veritas James O’Keefe zapowiada jednak, że to dopiero pierwsze nagranie

z serii mającej ujawnić, jak naprawdę wygląda proces przygotowywania wiadomości w amerykańskich mediach, zdemaskować twórców fałszywych newsów oraz objawić ich rzeczywiste motywacje.

Wbrew obawom krytyków prezydenta USA po jego inauguracji nie tylko nie wybuchła globalna wojna handlowa, lecz także nie doszło do pogorszenia relacji między Polską a Ameryką ani do nowego podziału świata między Trumpem a Putinem. W złowieszcze prognozy „podziału świata” przez współpracujących potajemnie Trumpa i Putina można też zwątpić, obserwując rozwój relacji między Moskwą a Waszyngtonem przez ostatnie pół roku. Donald Trump nie złagodził sankcji wobec Rosji ani nawet nie gościł w amerykańskiej stolicy Władimira Putina. Wydając rozkaz ataku na bazę syryjskich wojsk rządowych, bezpośrednio uderzył w rosyjskie interesy.

Przedstawiciele Kremla od lutego powtarzają więc, że stosunki między Rosją a Stanami Zjednoczonymi znalazły się w „najniższym punkcie” od czasu zakończenia zimnej wojny. W zeszłym tygodniu grupa polityków z Rosji, USA, Francji i Niemiec podpisała się zaś pod listem otwartym do prezydentów Putina i Trumpa, apelując o zmniejszenie napięcia między oboma państwami.

Ważnym dowodem zaprzeczającym tezie o uzależnieniu gospodarza Białego Domu od Kremla jest wizyta Donalda Trumpa w Warszawie, tuż przed spotkaniem amerykańskiego prezydenta z Władimirem Putinem (do tego spotkania ma dojść podczas szczytu G20 w Hamburgu). Potwierdza ona znaczenie Polski w Europie i wagę, jaką do sojusznicy zobowiązań przykładają Ameryka – supermocarstwo, którego arsenał jądrowy jest najlepszą gwarancją bezpieczeństwa. Amerykański prezydent – nawet jeśli na oficjalnych spotkaniach zapomina czasem o etykiecie – ma jednak rację, zachęcając członków NATO do zwiększania wydatków na obronność. Większy potencjał konwencjonalny może bowiem pozwolić Europie na odbudowanie więzi z Waszyngtonem, gdzie w Białym Domu urzęduje obecnie prezydent, który zgodnie z przedwyborczymi obietnicami dba o interes amerykańskich podatników. To szczególnie ważne w czasach, w których Rosja chętnie stosuje strategię zastraszania i coraz częściej – grożąc – wspomina o swym arsenale nuklearnym.



Z prof. Janem Szyszko, ministrem środowiska
rozmawia Marcin Makowski

Spór o puszcę jest ideologiczny

MARCIN MAKOWSKI: Opozycja bije na alarm, twierdząc, że nasyła pan prokuraturę na UNESCO, które złamało prawo, wpisując Puszcę Białowieską na listę dziedzictwa przyrodniczego nietkniętego ręką człowieka. Z mównicy sejmowej padają słowa: „Szyszko oszalał”. O co toczy się cały ten spór?

PROF. JAN SZYSZKO: W tej sprawie nastąpiło spore przekłamanie. Owszem, zawiadomiłem Prokuraturę Krajową odnośnie do zmniejszenia pozyskania drzewa z lasów gospodarczych Białowieży za poprzedniego rządu, co zaowocowało rozpadem drzewostanów oraz zanikiem siedlisk rzadkich gatunków zwierząt. Prokuratura nie bada natomiast wpisu na listę dziedzictwa UNESCO. Po prostu poinformowaliśmy organizację, że został on dokonany przy złamaniu regulaminu, ponieważ wpisując puszcę na listę dziedzictwa przyrodniczego, nie zasięgnięto opinii miejscowej ludności oraz nie przeprowadzono obligatoryjnych konsultacji. Tymczasem, co powtarzam od dawna, znaczny obszar drzewostanu puszczy od wieków kształtowany jest przez czło-

wieka. Na poparcie tego stwierdzenia posiadamy setki dokumentów. Pierwsze mapy lasów to wiek XVI, prawo ustne dotyczące ich użytkowania to nawet wiek XIII. W archiwach znajdują się wiele fotografii z XIX w. i późniejsze plany zagospodarowania tego obszaru. Pamiętajmy również, że nasza puszcza została potwornie zdewastowana podczas I i II wojny światowej, kiedy okupanci prowadzili rabunkową wycinkę drzew. Właśnie z tego względu – wpływu człowieka na jej kształt – powinno być to jednak dziedzictwo przyrodniczo-kulturowe.

Opozycja i UNESCO tego nie rozumieją? Nie mają dostępu do tych samych danych?

Problem polega na tym, że w dyskusji o puszczy coraz rzadziej używa się argumentów merytorycznych. Wypierają je hasła w stylu: „Szyszko wycina puszcę”, „Chroń puszcę przed leśnikami”, „Człowiek to największy wróg zasobów przyrodniczych, a najwyższą formą ochrony pozostawienie ich samym sobie”. Jak mamy się dogadać, gdy w gruncie rzeczy chodzi

o głęboki spór ideologiczny? Media ogłaszają, że wiele autorytetów światowych protestuje przeciwko wycinie puszczy – i rzeczywiście takie listy do ministerstwa trafiają. Niestety, wielu z ich sygnatariuszy nie tylko nigdy nie odwiedziło Polski, lecz także miałyby problem ze wskazaniem jej palcem na mapie. Przyroda jest bardzo skomplikowaną materią i nie można rozmawiać na jej temat z boku, bez danych i namacalnego kontaktu, ale dla wielu to nie jest oczywiste.

Mówi pan o ideologach, tymczasem członkowie Komitetu Biologii Środowiskowej i Ewolucyjnej Polskiej Akademii Nauk – czyli eksperci – w oświadczeniu otwarcie polemizują z pana stanowiskiem. Twierdzą, że Puszcza Białowieska została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO już w 1979 r. nie jako las dziewiczy, ale ze względu na inne kryteria, np. wyjątkowość procesów ewolucyjnych oraz różnorodność gatunkową.

To prawda, puszcza od lat budziła zachwyt całego świata, tylko dzisiaj coraz mocniej akcentuje się jej rzekomą pierwotność, nie zwracając uwagi na prze-



FOT. ADAM CHESTOWSKI/EFORUM

szłość. Do tego przynajmniej od końca ubiegłego wieku podkreślano, że puszcze trzeba chronić przed leśnikiem, bo ten przyjdzie i wytnie. Całkowicie przy tym ignorując wkład polskiej myśli przyrodniczej, która przyczyniła się do utrzymania bioróżnorodności tych terenów. Niektórzy tak mają, że nie lubią patrzeć w historię i dokumenty. Jeszcze inni zafiksowali się na hasło: „Nietknięte ręką człowieka”. Tym samym robią wielką krzywdę wizerunkowi Polski, przedstawiając nasz kraj jako barbarzyńców, którzy wyrabują prastare drzewostany. Ani słowa o tym, jakie drzewa są usuwane, do jakich celów, z jakiego powodu – słyszy się jedynie wielki lament. Ratujemy puszcze, to jest fakt. Jest ona dziedzictwem kulturowo-przyrodniczym miejscowej ludności. Zarówno jej, jak i leśnikom należy się szacunek, a nie obrażanie i mnożenie nieprawd na ich temat w Polsce, a później powtarzanie ich na świecie.

Niebawem rozpoczyna się 41. sesja Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO w Krakowie.

Oficjalnie temat Puszczy Białowieskiej ma się nie pojawić. Jednak co, jeśli któryś z delegatów zechce o nią zapytać?

O to żeśmy zabiegali na 40. sesji, żeby żadnego sporu wokół puszczy nie było. Polska delegacja w Istambule odkłamywała wiele zarzutów, które wcześniej nam stawiano. Z powodzeniem, bo puszcza na listę obiektów w zagrożeniu nie została wpisana. Minister Gliński zapewnił, że temat Białowieży nie widnieje w agendzie krakowskich obrad, i tego się trzymamy. Oczywiście zawsze może się pojawić jakaś nieplanowana dyskusja, ale my z przyjemnością odpowiemy na wszelkie pytania, a nawet zawieziemy delegację na miejsce, aby sama zapoznała się ze stanem polskich lasów, z ich problemami oraz naszymi propozycjami walki z plagą kornika.

Stefan Niesiołowski, pana kolega po fachu i entomolog, powiedział niedawno w Sejmie: „Komiki są miliony lat na Ziemi, a człowiek homo sapiens, taki jak ja czy pan Szyszko, żyje 200 tys. lat. Puszcze i lasy doskonale sobie radziły bez

naszej pomocy”. Nie przemawiają do pana takie argumenty?

Pamiętam pana Niesiołowskiego ze studiów, gdy pisał doktorat. Zawsze chętnie porozmawiam z nim o owadach i – może pana zaskoczę – zgadzam się z jego stwierdzeniem. Zasoby przyrodnicze poradzą sobie bez człowieka. Gdy leci się nad Syberią, widać, jak przyroda i różnorodność gatunkowa rozkwitają bez ingerencji z zewnątrz. Tyle że lasy Syberii palą się po dwa-trzy lata. Rosjanie twierdzą, że ich nie gaszą, bo nie ma pieniędzy, tymczasem ekosystem chroni swoje zasoby poprzez to, co my nazywamy katastrofami przyrodniczymi. W naszym regionie geograficznym nie możemy sobie pozwolić na takie naturalne cykle pożarów czy powodzi, dlatego zastępujemy ich skutki użytkowaniem lasów. Co jakiś czas zmieniamy warunki, pozwalamy im się odnawiać. To jest nic innego, jak „czyżcie sobie Ziemię poddań”, czyli myślenie o biologii w nurcie filozofii zrównoważonego rozwoju, lansowanego przez Unię Europejską. Jakoś o tym nikt nie przypomina. W Polsce mamy leśnictwo, ■

rolnictwo i łowiectwo, które świetnie ze sobą współpracują, oraz ogromną różnorodność przyrodniczą. Wszystko ze względu na świadome zarządzanie tymi zasobami, w kontraście do wielu krajów Zachodu spoglądających z zazdrością na nasz ekosystem, który nie został tak intensywnie przetrzebiony przy okazji przemysłowej produkcji, np. kukurydzy czy rzepaku. Jednak to nas próbuje się przedstawiać jako technokratów, którzy przykładają siekiere do przastarego dębu...

Czy obrona Puszczy Białowieskiej to sprawa wyłącznie dla „lewaków”? Nie ma innych pozycji, z których można z polityką ministerstwa polemizować?

My jesteśmy zawsze otwarci na dyskusję, natomiast siłą rzeczy dominują w niej zachodnie środowiska lewicowe, które mają za sobą doświadczenia autentycznej dewastacji zasobów przyrody. Nie można także zapomnieć o różnicach kulturowych, wręcz wywodzących się z religii. Protestantyzm trochę inaczej podchodzi do przyrody niż katolicyzm, który ukształtował mentalność Polaków. Być może stąd taka temperatura debaty?

Nazwał to pan bardzo delikatnie. Dla wielu ekologów, polityków i działaczy społecznych jest pan czarnym charakterem, który przypomina adwersarzy animowanego „Kapitana Planety”. Zła sława nie ciąży na barkach?

Nie wiem, co pan redaktor czyta, ale...

Wystarczy wpisać pana nazwisko w internetową wyszukiwarke.

Rozumiem, natomiast te media, do których ja mam dostęp, podchodzą do pracy Ministerstwa Środowiska bardzo pozytywnie. Z podobnymi opiniami spotykam się w terenie. Zatem zła sława mi nie ciąży. Raczej odczuwam dużą sympatię ludzi.

Protestantyzm trochę inaczej podchodzi do przyrody niż katolicyzm, który ukształtował mentalność Polaków

W sobotę 24 czerwca przez Warszawę przeszedł „Marsz dla puszczy”, podczas którego wyrazów sympatii w pana kierunku nikt nie wysyłał. Widziałem nawet taki baner: „Posadzić Szyszkę”.

(śmiech) Jeśli krytyka bywa dowcipna, to z przyjemnością się z nią zapoznaje, o ile do mnie dotrze. Natomiast odnośnie do tej manifestacji – wątpię, by osoby protestujące pochodziły z rejonu Puszczy Białowieskiej. My w tym czasie byliśmy

zajęci organizowaniem Ekologicznego Forum Młodzieży, wsłuchiwalismy się w jej postulaty, gdzie w Hajnówce zebrało się ponad 800 osób chętnych do debaty. Każdy ma prawo protestować i wybierać formy protestu, natomiast nie można oczekiwać, że do każdego napisu na transparencie podejść z powagą. Ekologia to bardzo rozbudowana nauka, w skład której wchodzi matematyka i ekonomia. Niedawno wraz z Generalną Dyrekcją Lasów państwowych przeprowadziliśmy inwentaryzację Puszczy Białowieskiej. Pracowało przy niej ponad 200 specjalistów z wielu dziedzin – od archeologów do biologów na 1,4 tys. stanowiskach doświadczalnych. To jedynie wycinek naszej pracy obrazujący, jak ogromną wiedzę trzeba mieć, aby formułować postulaty co do przyszłości całych zasobów leśnych. Dlatego proszę się nie dziwić, że jeśli widzę posłów PO, którzy chcą ustanowienia całego rejonu puszczy rezerwatem ścisłym, to nie jestem w stanie potraktować ich postulatów poważnie.

Działacze Greenpeace'u twierdzą, że Lech Kaczyński dzisiaj nie zgodziłby się z pana działaniami. To w Kancelarii śp. Prezydenta w 2006 r. powstała ustawa o utworzeniu Parku Narodowego Puszczy Białowieskiej, który miał obejmować o wiele większe terytorium niż obecnie.

Obecny dyrektor generalny Lasów Państwowych Konrad Tomaszewski wielokrotnie dementował te informacje.

POLITYCZNA BURZA Z PUSZCZĄ W TLE? NIC Z TYCH RZECZY

W 41. sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO w Krakowie zaplanowano udział ok. 3 tys. gości z ponad 170 państw oraz organizacji pozarządowych. Poza kwestiami związanymi z ochroną dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego może również dojść do sporów natury politycznej, m.in. wokół statusu Wzgórza Świątynnego w Jerozolimie. Chociaż wielu przedstawicieli polskiej opozycji i ekologów liczy na ostrą debatę w sprawie Puszczy Białowieskiej, to temat ten właściwie od początku podgrzewany był bez wiedzy o agendzie „maratonu dziedzictwa” – jak spotkanie przedstawicieli UNESCO określił przewodniczący Komitetu Światowego Dziedzictwa, prof. Jacek Purchla.

W czwartek 22 czerwca podczas przemówienia sejmowego minister Piotr Gliński podkreślił, że „w Krakowie nie pojawi się temat Puszczy Białowieskiej”, a decyzję podjęło samo UNESCO przy okazji finalizacji

porozumienia w sprawie przebiegu 41. sesji komitetu. Spotkanie odbyło się 19 kwietnia w paryskiej siedzibie organizacji. W punktach obrad dotyczących wpisania danego obiektu na listę dziedzictwa w zagrożeniu nie widnieje teren polskiego rezerwatu przyrody. Znajdują się tam natomiast zabytkowe centrum Wiednia (w którym wbrew regulaminowi UNESCO wybudowano kilka biurów), parki narodowe w Brazylii i wyspy Zatoki Kalifornijskiej w Meksyku, kotlina Katmandu czy linia brzegowa Liverpoolu, która ze względu na degradację przyrodniczą i intensywną zabudowę może być nawet wypisana z listy światowego dziedzictwa.

Temat Puszczy Białowieskiej według wielu mediów miał się pojawić w Krakowie w kontekście decyzji o zwiększeniu wycinki drzew, na którą w marcu 2016 r. ze względu na plagę kornika drukarza zdecydowało się Ministerstwo Środowiska. Jak podkreśla pełnomocnik MKiDN

ds. organizacji sesji wiceminister Magdalena Gawin: „Puszcza liczy ponad 50 tys. hektarów, a wycinka toczy się na kilkunastu”. Rozmowy na temat planu ratowania drzewostanów Hajnówki i Białowieży trwają, natomiast „nie ma jeszcze nawet raportu ekspertów UNESCO w sprawie Puszczy Białowieskiej, więc nie tylko nie zniknie ona z listy światowego dziedzictwa, ale najprawdopodobniej nie trafi na listę obiektów w zagrożeniu”.

Zatem politycznych przepychanek z puszcza w tle nie będzie. Za to Polska będzie się starać o 15. wpis na listę światowego dziedzictwa. Chodzi o podziemia w Tarnowskich Górach i znajdujące się tam dawne kopalnie srebra, cynku i łożowiny. Przez 10 dni obrad komisja przeprowadzi również przegląd stanu zachowania 99 obiektów światowego dziedzictwa i 55 obiektów wpisanych na listę światowego dziedzictwa w zagrożeniu. ©

Marcin Makowski

Świętej pamięci Lech Kaczyński to był człowiek, który cenił otwartą debatę, ale nie można postawić tezy, że w oczywisty sposób zgadzał się z ideą powiększenia terytorium parku narodowego, bo tego nie wiemy. Greenpeace stawia takie zarzuty w przestrzeni publicznej, ale nigdy otwarcie nie podjął ze mną dyskusji. Wielokrotnie ich do niej zapraszałem, nawet jak weszli na dach ministerstwa, więc podpieranie się autorytetem tragicznie zmarłego prezydenta uważam za wysoce niestosowne.

Czy żałuje pan dzisiaj być może zbyt pospiesznego uchwalenia ustawy, którą media ochrzciły mianem „Lex Szyszko”? Pospieszna wycinka drzew z działek prywatnych wyszła na rękę głównie branży deweloperskiej.

Projekt, o którym pan mówi, był poselski, ale oczywiście go wspierałem. Czy żałuję? Ta ustawa obnażyła przede wszystkim ogromne niedomaganie samorządów terytorialnych. Niech pan zauważy, że cały system ochrony przyrody, który jest w gestii samorządów, zamiast planów zagospodarowania przestrzennego skupił się na donosicielstwie. Jeden sąsiad o drugim powie: „Ten wyciął sobie drzewo, a nie powinien. Opracowano nawet metodykę, jak dojść do informacji o grubości drzewa, gdy ktoś go nie wyciął, ale wykopał z korzeniami. W tej chwili powinniśmy

przeprowadzić dokładną inwentaryzację teoretycznych strat oraz teoretycznych zysków wynikających z zapisów ustawy.

Jakich zysków?

Ja mam swoją działkę z dziada pradziada i uważam, że mam prawo decydować, jak urządzać sobie ogród, i wiele osób skorzystało z tej możliwości. Niektóre drzewa w pewnym wieku zaczynają szkodzić krajobrazowi, powodują również konflikty sąsiedzkie. O lasy dbajmy systemowo – niech pokrywają jedną trzecią Polski, jak to jest obecnie – to zapewni bezpieczeństwo ekologiczne, a o losie pojedynczych drzew w miastach niech decydują samorządy i właściciele prywatnych działek.

Wróć jednak do deweloperów, którzy korzystali z naginania przepisów poprzedniej wersji ustawy, pozbywając się niewygodnych dla zabudowy drzew, które jednak nie przeszkadzały okolicznym mieszkańcom.

Wracam do moich zastrzeżeń – niech każdy sobie przeanalizuje, gdzie i na jakich zasadach dokonano kontrowersyjnych wycinek. Słynna już ustawa dotyczyła tylko terenów prywatnych, które nie były lasami. Za to, jak dane miasto przeklasyfikowało działkę, nie mogę odpowiadać. Nie jesteśmy jednak głusi na uwagi wyborców, dlatego ustawa została dostosowana w takim stopniu,

aby uniemożliwić nieuczciwe czerpanie zysków z jej zapisów.

Na koniec pytanie, które zadają sobie miliony Polaków: Co było w liście od „córki leśnika”, który przy kamerach mediów na Radzie Ministrów przekazał pan Mariuszowi Błaszczakowi?

Wie pan, ile ja dostaje takich listów? Idę do kościoła, ludzie często proszą mnie o załatwienie jakiś spraw, licząc na pomoc. Może pan też będzie kiedyś postem, to pan zobaczy...

Boże broń!

Nie zaglądałem do koperty dla ministra Błaszczaka i nie spodziewałem się, że to zrobi taką furorę (śmiech).

I gdy ktoś podejdzie do pana ministra na ulicy i poprosi o doręczenie listu albo np. będzie chciał przekazać limeryk dla pani premier, to można liczyć na podobne zrozumienie?

Jeśli poprawnie zaadresuje kopertę, to postaram się pomóc. Cały czas właśnie w takim duchu staram się podchodzić do ludzi. Nie tworzę sztucznych barier.

A opozycja na to: „Przekazał po znajomości”.

Opozycja spotykała się na cmentarzach przy okazji różnych afer. To były ich standardy. Koperta została zwrócona do nadawcy, sprawa jest zamknięta. Naprawdę, nie róbmy z igły widły.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NIC NIE MOŻE SIĘ WYDARZYĆ BEZ DYSKUSJI



**prof. Sławomir Ratajski,
sekretarz generalny
Polskiego Komitetu
ds. UNESCO:**

Jeżeli na 41. sesji Komitetu Światowego UNESCO dojdzie do dyskusji o losach Puszczy Białowieskiej, na pewno będzie to suma bardzo różnych głosów. Być może sprzecznych, ale mamy nadzieję, że do dyskusji w ogóle nie dojdzie. W tej chwili UNESCO oficjalnie sugeruje, aby przyrzeć się procesom przyrodniczym zachodzącym w puszczy, metodom zarządzania, które są stosowane w Polsce, i ich rezultatom. Centrum Światowego Dziedzictwa UNESCO postuluje, aby misja UNESCO przyjechała na miejsce i sama stwierdziła, kto ma rację. Wiadomo, że obiekty wpisane na listę światowego dziedzictwa są zarządzane przez państwo według autorskich koncepcji, które oczywiście muszą być przez

UNESCO przyjęte na poziomie eksperckim i Komitetu Światowego Dziedzictwa. Nic jednak nie może się wydarzyć bez dyskusji – z wpisaniem puszczy na listę obszarów zagrożonych wyłącznie. Trzeba również pamiętać, że samo zaklasyfikowanie Puszczy Białowieskiej jako „zagrożonej” nie jest jej napiętnowaniem. Kopalnia w Wieliczce, gdy przechodziła poważne kłopoty finansowe, również znajdowała się w tym gronie, a świat przez 10 lat pomagał naszej kopalni soli wyjść na prostą. Dzisiaj jest wzorowo zarządzana i jedną z najwspanialszych atrakcji na liście światowego dziedzictwa. Podobnie traktujemy naszą puszcę, z unikatową w Europie skalą bioróżnorodności, i to właśnie ze względu na nią i wiele siedlisk rzadkich gatunków zwierząt dokonano ponownego wpisu w 2014 r. Niestety, zachodzi w nim pewne nieporozumienie, czyli uznawanie przez wielu całego terenu puszczy jako lasu pierwotnego. Tymczasem na jej obszarze występują liczne relikty lasu pierwotne-

go, według przyjętych zapisów, i to prowadzi do nieścisłości w definiowaniu pojęć. Nie zapominał jednak, że Polska jest jednym z państw założycielskich UNESCO i ma istotny wpływ na to, co się w obrębie samej organizacji dzieje. Właśnie z tego względu i kierując się pewną życzliwością, świat wysłał misję badawczą na teren Białowieży, aby ustalić stan faktyczny i pomóc w takim zarządzaniu obiektem, aby spełniał kryterium wpisu. Warto podkreślić, że nie odbywa się to w konflikcie z państwem gospodarzem. W tej chwili trwa spór w kontekście Puszczy Białowieskiej, polegający na odpowiedzi na pytanie: Czy chory organizm, a takim się puszcza stała po inwazji kornika, należy leczyć poprzez wycięcie ogniska zapalnego, czy może zostawić temu organizmowi szansę, żeby sam sobie poradził? Nad tym zagadnieniem nieustannie debatuje eksperci, UNESCO natomiast daje Polsce czas, aby znalazła najlepsze wyjście z całej sytuacji. Tego czasu nie zmarnujemy. © ©

Kukizowisko



Piotr Semka

W jakim punkcie politycznego rozwoju znalazł się ruch, który w 2015 r. wdarł się na polską scenę polityczną?

Na meczu w Kielcach były poseł Kukiz'15 Piotr Liroy-Marzec nagrał filmik, w którym zaatakował wice-marszałka Sejmu Stanisława Tyszkę ze swego dawnego klubu. – Staszek Tyszka, słuchaj, frędzlu! Jak dalej będziesz tak kłamał ws. medycznej marihuany i dalej będziesz gadał takie głupoty, to zobaczysz co, zobaczysz, jak to się dla ciebie skończy – mówił Liroy-Marzec. – Pozdrawiam wszystkich. Pamiętajcie, że Tyszka to zgniół koleś. Nim się będzie trzeba zająć – dodał. A na koniec pokazał środkowy palec.

W odpowiedzi Tyszka odgryza się na Twitterze cytatem z Tuwima. „Próżność repliki się spodziewał / Nie dam ci prztyczka ani klapsa / Nie powiem nawet »Pies cię je*ał« / bo to megalians byłby dla psa”.

Spór dotyczył uchwalonej właśnie w Sejmie ustawy dopuszczającej używanie marihuany do celów medycznych. Tyszka rozreklamował nowe prawo pod hasłem: „Pierwsza ustawa Kukiz'15 uchwalona”. Piotr Liroy-Marzec uznaje, że wygrana batalia o leczniczą marihuanę to wyłącznie jego zasługa.

SCYZORYK I SZARE EMINENCJE

– Ostatni bluzg na Tyszkę połączony z niejasnymi pogrozkami przypomniły, z jakiego środowiska Liroy-Marzec przybył do polityki. Kukiz poatakował się na jego popularność, ale zapomniał, że ludzie nie tracą dawnych znajomości z dnia na dzień – uważa jeden z parlamentarzystów. Inni postrzegają awanturę z raperem jako konflikt, w którym obie strony zawiniły po równo.

– Liroy-Marzec zmarnował ponad półtora roku pracy nad wizerunkiem kogoś rozsądnego w Sejmie, wyróżniającego się rzeczową pracą na tle parlamentu ogarniętego plemienną wojną PO i PiS. Jednak Paweł pozbawił się Liroya-Marcę, bo zaczął w nim widzieć konkurenta budującego własną popularność, która może Kukizowi zagrozić. Między bajki można włożyć opowieści, że Paweł nic nie wiedział wcześniej o koleżkach Liroya-Marcę – mówi jeden z posłów.



FOT. RAPAL GUDZ/PAP

„Piotr Liroy-Marzec w swojej działalności poselskiej otoczył się ludźmi, dla których, ze względu na nasze standardy, nie może być miejsca w ruchu Kukiz'15” – głosiło oświadczenie klubu podpisane przez czworo posłów: Agnieszkę Ścigaj, Grzegorza Długiego, Marka Jakubiaka i Jarosława Porwicha. Posłowie przywołali doniesienia medialne o „uwikłaniu najbliższego otoczenia Piotra Liroya-Marca w procesy tak zwanej dzikiej reprywatyzacji w Warszawie”. „Wielokrotnie prosiłszy Piotra Liroya-Marca, żeby zakończył współpracę z osobami, których przeszłość w żadnym wypadku nie odpowiada standardom Kukiz'15. Niestety bez skutku. Dlatego straciliśmy do Piotra zaufanie i uważamy, że nie jest on obecnie w stanie godnie reprezentować wyborców Kukiz'15” – napisano w oświadczeniu.

Autorzy pisma informują również, że wystąpią do komisji weryfikacyjnej o „zbudowanie procesów zmian własnościowych oraz eksmisji lokatorów nieruchomości położonych, między innymi, przy ulicach Puławskiej 10 i Trawiastej 22”. Przypominają, że „Kukiz'15 powstał po to, by walczyć z tzw. czyścicielami kamienic, a nie z nimi współpracować”.

Dziennik „Rzeczpospolita” podał, że wśród budzących kontrowersje znajomych Liroya-Marca może chodzić m.in. o Pawła Dulskiego – byłego szefa PO na Mokotowie, a prywatnie przyjaciela rapera.

Sam Liroy-Marzec pytany o kontrowersje wokół niektórych jego znajomych nerwowo odpowiada: „Zarzuty klubu nie mają żadnego pokrycia. Znam te osoby i mam o nich dobre zdanie. Jedną z nich to mój kolega Paweł Dulski. Kukiz też dobrze zna tę osobę. Nie będę nagle odcinał się od kolegi, którego znam od wielu lat. Owszem, radzę się go w sprawach prawnych. Został oczyszczony przed sądem z większości zarzutów. Ani ja, ani poseł Jacek Wilk [obrońca Liroya-Marca w klubie – przyp. P.S.] nie usłyszeliśmy żadnego konkretnego, co złego zrobiłem”.

Gdy pytam rapera, czy wie, co było powodem usunięcia go z klubu, ucina: „Staram się niczego nie podejrzewać”. Czy Kukiz zaczął traktować go jako konkurenta? Znowu ucina: „Jaka jest prawda, wie tylko Kukiz”.

14 czerwca br., program „Tak jest” Andrzeja Morozowskiego. Gościem jest Stanisław Tyszcza. Gdy powołał się na standardy, jakich trzyma się klub Pawła Kukiza, Morozowski przywołał nazwisko Dariusza Pitasia, dyrektora sejmowego klubu. Na

pytanie, czy jest prawdą, że Dariusz Pitaś ma na koncie zatarte wyroki skazujące go za pobicie oraz niepłacenie alimentów, Tyszcza unika jasnej odpowiedzi. Zatarcie jest zatarciem, ale w obliczu oskarżeń przeciwko znajomym Liroya-Marca wrażenie podwójnych standardów było silne.

Posłowie, którzy opuścili ugrupowanie Kukiza, twierdzą, że duet Dariusz Pitaś i lekarz Paweł Szczuciński są najbliższymi doradcami Kukiza. Pojawiają się głosy, że Pitaś i Szczuciński w roli szarych eminencji mają coraz ściślej kontrolować dostęp do lidera ruchu. Jeden z byłych posłów klubu Kukiza mówi: „Przed odejściem z klubu na kilku posiedzeniach ja i paru moich kolegów zadawało pytania, skąd wzięli się panowie Pitaś i Szczuciński oraz jaki jest zakres ich władzy. I nigdy nie otrzymaliśmy zadowalającej odpowiedzi”. Po wyjściu na jaw sprawy zatartego wyroku Pitaś złożył dymisję z funkcji szefa biura klubu, ale faktycznie wciąż pełni swoje obowiązki.

Kolejnym konfliktem jest rozejście się dróg Kukiza z Maciejem Staneckim – członkiem zarządu TVP. Stanecki wszedł do władz przy Woronicza jako nieformalny przedstawiciel Kukiza. Dzisiaj są w stanie konfliktu. Niedawno Kukiz zapowiedział złożenie doniesienia do CBA w sprawie podejrzenia o nieprawidłowości w przetargach, które podlegały Staneckiemu.

HUŚTAWKA POGLĄDÓW

Klub Kukiza istnieje już ponad półtora roku, a jedyna ustawa, która była znakiem firmowym ruchu i przeszła w Sejmie, to ustawa o legalizacji leczniczej marihuany. Niewiele, ale taki już los opozycji w tym Sejmie. Ruch Kukiza nie potrafi jednak tak, że wychodzić na ulice. W odróżnieniu od pozostałych partii opozycji przez ostatnie półtora roku nie przeprowadził żadnej własnej dużej demonstracji. Trzyma się też z dala od pochodów KOD. Gdy w styczniu 2016 r. poseł Kukiz'15 z Lublina, Jakub Kulesza, wziął udział w demonstracji Komitetu Obrony Demokracji, spotkał się z krytyką wewnątrz klubu, ale też nie został w żaden sposób ukarany.

Kukizowcy raz obrywają od Platformy, że są „przystawką Kaczyńskiego”, innym razem są atakowani jako „piąta kolumna Platformy”. Słabością ruchu jest sam Kukiz. Niestabilny emocjonalnie, nieprzewidywalny. Teraz krytykowany za coraz większy wpływ dwóch doradców.

Awantury takie jak usunięcie Piotra Liroya-Marca i wcześniej odejście grupy

wolnościowców na czele z Anną Siarkowską źle wróżą pomysłem, by w wyborach parlamentarnych w 2019 r. Kukiz zbudował silną koalicję wolnościowców, antysystemowców i narodowców.

Krzysztof Bosak pytany, czy w 2019 r. Ruch Narodowy może wrócić pod parasol Kukiza, jest sceptyczny. „Autorytet Pawła Kukiza nie jest u nas wysoki. Model silnego, osobistego przywództwa, jaki on proponuje, jest dla nas całkowicie nieatrakcyjny. Na dodatek Paweł Kukiz zdaje się nie mieć żadnych stałych poglądów”.

Co jest walorem byłego rockmana? Na pewno niezmienny od wielu miesięcy poziom wyników sondażowych (od 8 do 11 proc.). To, że wyborcy Kukiza z 2015 r. nie zostali „wyciągnięci” ani przez PO, ani przez PiS, może dawać rockmanowi nadzieje na powtórzenie sukcesu w 2019 r.

Jednocześnie znikł gdzieś efekt oddolnej spontaniczności. Kukiz nie ma już zbyt dużo chwytliwych haseł. Idea jednomandatowych okręgów wyborczych wyraźnie zbladła, a ciągle powtarzanie, że spór PO-PiS jest jałowy i oderwany od realiów życia zwykłych Polaków, nie zawsze się sprawdza. W kwestii np. imigracji nie jest jałowy i miliony Polaków to wiedzą.

U Kukiza zawodzi też zdolność do rozładowywania konfliktów. Jeśli w ciągu półtora roku odeszło z klubu 10 bardzo różnych ludzi i klub stopniał z 42 osób do 32, to winno to być przedmiotem krytycznej refleksji. Jednak ten wciąż wysoki poziom notowań w sondażach skłania też członków klubu do posłuszeństwa wobec szefa. To Kukiz będzie układał listy za dwa lata. Jak wyznaje jeden z cichych krytyków Kukiza, ci, którzy widzą, że w klubie źle się dzieje, na razie nie mają żadnej alternatywy dla odnowienia mandatu.

A PiS? Ten nie ukrywa, że w przyszłym Sejmie może mieć problem z uzyskaniem takiej samej większości i na razie nie chce zadrażniać stosunków z ewentualnym przyszłym koalicjantem. W PiS nikt jednak nie myśli o koalicji z Kukiz'15 jako kuszącej perspektywie. „To partia nieprzewidywalna. Jeśli wokół Liroya-Marca było ileś kłopotliwych osób, to nie ma gwarancji, że podobnych kwiatków może być więcej” – wskazuje jeden z polityków PiS.

Kukiz ma dwa lata na pracę nad tym, by powtórzyć dobry wynik z 2015 r. I na wymyślenie siebie na nowo. Efektu świeżości z kampanii 2015 r. już raczej nie da się powtórzyć.



Z Krzysztofem Śledziewskim, byłym pracownikiem Biura Gospodarki Nieruchomościami m.st. Warszawy i świadkiem komisji weryfikacyjnej rozmawia Wojciech Wybranowski

Akceptacja szła z samej góry

FOT. KRYSZTOF MAJ/FOTUM

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Jak długo pracował pan w stołecznym Biurze Gospodarki Nieruchomościami przy postępowaniach reprivatyzacyjnych?

KRZYSZTOF ŚLEDZIEWSKI: W Urzędzie m.st. Warszawy w Wydziale Spraw Dekretowych pracowałem prawie dziewięć lat, od października 2007 do 29 sierpnia 2016 r. W moim referacie było około tysiąca spraw reprivatyzacyjnych; oczywiście część z nich była zawieszona, część w trakcie postępowania w Samorządowym Kolegium Odwoławczym lub w ministerstwie, ale na pewno kilkaset było aktywnych.

Wśród postępowań, którymi się pan zajmował, były takie, które wzbudziły pańskie wątpliwości?

Było wiele takich spraw, w których istniało domniemanie, że ktoś ubiegający się o zwrot spadkowej nieruchomości dostał już odszkodowanie albo że są wyznaczeni kuratorzy czy że np. – pamiętam jeden taki przypadek – akty notarialne sprawiały wrażenie, delikatnie mówiąc, dziwne. Zawsze w takich przypadkach rozmawiałem z moim bezpośrednim szefostwem,

pytając: „Co robimy?”, i reakcje były różne. Jednak też – podkreślam – moi szefowie działu, podejmując decyzję, musieli mieć akceptację samej góry, kierownictwa magistratu. Niekiedy kierowałem, po poleceniu przełożonych, informację do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jednak nie uczestniczyłem w jakichś cyklicznych spotkaniach z ABW.

Czy zdarzyło się postępowanie reprivatyzacyjne, w którym zgłaszał pan swoje wątpliwości, a przełożeni powiedzieli: „Tym się nie przejmuj, to ma przejeść, prowadzimy dalej”?

Taką sprawą była ta dotycząca nieruchomości przy ul. Chmielnej 70. Mówiłem swoim przełożonym, że dawny współwłaściciel nieruchomości Chmielna 70 mógł się ubiegać o odszkodowanie od rządu duńskiego za wywłaszczenie. Moi przełożeni reagowali, mówiąc: „Napisaaliśmy do ministerstwa, to wystarczy, oni są od przeprowadzenia indemnizacji [procedury odszkodowawczej – przyp. W.W.]”. W tej sprawie kilka osób usłyszało już prokuratorские zarzuty.

Przypomnę, że to jedna z reprivatyzacji, o którą zabiegał mecenas N., a decyzję o zwrocie gruntu wydał Jakub R. Obaj zostali już zatrzymani przez CBA. Czy zetknął się pan ze strony swoich szefów z naciskami, by którąś ze spraw reprivatyzacyjnych załatwić pozytywnie, szybciej itp.?

W pewnym momencie zauważyłem, że moim zwierzchnikom chodzi o to, by maksymalnie wydłużyć sprawę liceum Andrzeja Frycza Modrzewskiego przy ul. Elekoralnej, chodziło o grunt o powierzchni ok. 2,5 tys. mkw. Zagłębiałiśmy się wtedy w tę sprawę i ten grunt udało się uratować. Natomiast takich zapobiegawczych, kontrolnych działań nie było już w przypadku działek przy ul. Twardej, które „odzyskał” pan Maciej M. (tymczasowo aresztowany – przyp. W.W.). Podkreślam – to jedyny znany mi przypadek, kiedy to jeszcze przed decyzją reprivatyzacyjną przeniesiono zajmującą ten teren szkołę. Zastanawiające, prawda? Żadnych nacisków, by konkretną sprawę załatwiać szybciej, nie odczułem, chyba się nie zdarzało, natomiast rzeczywiście bywało, że przełożeni mocno interesowali się niektórymi sprawami, jakie prowadziliśmy.

Hanna Gronkiewicz-Waltz twierdzi, że nigdy nie interesowała się osobiście żadnym postępowaniem reprivatyzacyjnym.

To nieprawda. Z relacji mojej naczelnik, pani Gertrudy J.F., wynika, że dyrektor Jakub R. został wezwany do pani Gronkiewicz-Waltz w celu zreferowania jednej ze spraw. Była w nim wydana decyzja odmowna, natomiast pani prezydent Gronkiewicz-Waltz – według przekazu moich zwierzchników – miała powiedzieć: „Zawiodłam się na pana, panie dyrektorze” i nakazała, żeby zmienić kierunek działań decyzyjnych. To zostało wykonane. Chodzi o nieruchomość niedaleko dawnego Kercełaka, pogranicze Śródmieścia i Woli.

Negatywna decyzja reprivatyzacyjna w sprawie nieruchomości w rejonie ulic Towarowej i Okopowej po rozmowie z Gronkiewicz-Waltz została zmieniona. Jednak słyszałem, że pani prezydent miała też interesować się reprivatyzacją nieruchomości przy ul. Noakowskiego, którą przejęła jej rodzina?

Tak, kamienicą przy ul. Noakowskiego 16. Ta sprawa była w moim referacie, ale została zakończona w 2006 lub w 2007 r. wydaniem kamienicy, jeszcze przed rozpoczęciem mojej pracy w urzędzie. Za to w 2010 r. były referent tej sprawy przyniósł mi akta, bym się nimi zaopiekował i je przechował. W pewnym momencie dostałem polecenie służbowe, by udać się do powielarni, bo pani prezydent chce kopie materiałów związanych z reprivatyzacją „Noakowskiego”. Złożyłem te dokumenty u moich zwierzchników i – jak miemam – przekazali je pani prezydent.

Dlaczego w sprawach, w których w miejsce spadkobierców pojawiali się tajemniczy kuratorzy gotowi odsprzedać prawa do roszczeń spadkowych za symboliczne wręcz kwoty, miasto nie wystąpiło o uznanie za stronę w sprawie? Dlaczego nie kupiło tania sprzedawanych praw do roszczeń, by zachować nieruchomości w gestii miasta?

Na wszystkie czynności zezwalał sąd: na zniesienie prawa własności, na sprzedaż roszczeń. Miasto reprezentowało stanowisko: „Skoro sąd to bada, to wie, jaka jest wartość tych roszczeń, i nam nic do tego”. Taka była praktyka miasta, nie umiem powiedzieć, czy była słuszna. Na pewno zaś w części tych roszczeń lepiej byłoby, gdyby miasto zachowało prawo do nieruchomości w Śródmieściu. Dlaczego o to nie wystąpiono – nie umiem powiedzieć.

Mając upoważnienie do wydawania decyzji reprivatyzacyjnych, urzędnicy musieli informować przełożonych „ustnie”, ci również „ustnie”

informowali „górze” i ustnie decyzja ostateczna była przekazywana odpowiedzialnym urzędnikom? Tak się odbywało akceptowanie decyzji reprivatyzacyjnych – bez parafek, notatek służbowych?

Często niestety tak to wyglądało, że przekazywanie informacji było nieformalne. Wiele ustaleń, decyzji podejmowanych przez najwyższych urzędników w ratuszu przekazywano nam, szeregowym urzędnikom, i w drugą stronę – nieformalnie – bez zgłoszenia wcześniejszego zapotrzebowania, bez pism przewodnich. Często były to rozmowy telefoniczne, spotkania w gabinetach, z których nie powstawały żadne oficjalne notatki służbowe.

Czy pana zdaniem kierownictwo warszawskiego magistratu dochowało zasady należytej kontroli w postępowaniach reprivatyzacyjnych?

Można było zrobić dużo więcej. Mówię to z całą odpowiedzialnością. To nie jest tak, że za błędy winę ponoszą zwykli urzędnicy, a góra o niczym nie wiedziała. Wiedziała doskonale. Przecież nas nadzorowało Wewnętrzne Biuro Kontroli. Nie było żadnych informacji, że robimy coś źle, że ktoś ma jakieś zastrzeżenia do naszej pracy. Panowało przekonanie, że mamy zwracać nieruchomości, że słusznie zwracamy. Nie było natomiast żadnych wytycznych, byśmy jako urzędnicy czynnie bronili praw miasta do zachowania nieruchomości.

Ktoś może powiedzieć, że mści się pan teraz na swoich przełożonych, na Hannie Gronkiewicz-Waltz za dyscyplinarne zwolnienie. Prezydent sugerowała, że ukrył pan przed przełożonymi ważne informacje dotyczące jednej z reprivatyzacji. Chodzi właśnie o Chmielną, o której rozmawialiśmy na początku.

W 2011 r., kiedy płyta z informacjami o Duńczyku, który ubiegał się o zwrot nieruchomości, a który miał dostać już stosowną rekompensatę, przyszła, materiały zostały zeskanowane i 30 pracowników BGN dostało e-mail z wykazem zawartości. Płyta była dostępna dla wszystkich pracowników BNG, materiały z tej słynnej płyty posłużyły miastu do sporządzenia wniosku do prokuratury odnośnie do nieruchomości Smolna 17. Czy więc były ukrywane? Można jeszcze dodać, że pani prezydent myli się, twierdząc, że nie informowałem o możliwym obywatelstwie duńskim dawnego współwłaściciela nieruchomości Chmielna 70 – wystarczy przeczytać protokół z sesji Rady m.st. Warszawy z 12 maja 2016 r.

W ubiegłym tygodniu komisja weryfikacyjna zajęła się sprawą gruntów przy ul. Twardej 7 i 10, które niemal przeszły w ręce Macieja M., jednego z najbardziej znanych warszawskich handlarzy roszczeniami. Zeznania świadków, w tym urzędników Biura Gospodarki Nieruchomościami, wskazują na spore nieprawidłowości w działaniach władz Warszawy. Jakież? Chaotyczna kontrola, brak właściwego nadzoru i procedur, pospiesznie wydawane decyzje. Oczekiwano, że rocznie pracownicy magistratu wydadzą 300 decyzji reprivatyzacyjnych. Świadkowie mówili też, że decyzje reprivatyzacyjne ostatecznie akceptowali nie tyle urzędnicy, którzy je przeprowadzali, ile ich przełożeni, prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz miała zaś co najmniej raz ingerować w proces reprivatyzacji. Według świadków domagała się też przekazania jej informacji o reprivatyzacji, w wyniku której kamienica przy ul. Noakowskiego stała się własnością jej rodziny.

– Nie sprawdzano w sposób należyty dokumentów ani praw osób występujących z roszczeniami spadkowymi do warszawskich nieruchomości, nie starano się ich zachować w zasobie miasta, kontrola przebiegu postępowań reprivatyzacyjnych była mocno niewłaściwa – powiedział tygodnikowi „Do Rzeczy” poseł Paweł Lisiecki, członek komisji weryfikacyjnej.

Choć Hanna Gronkiewicz-Waltz zaprzecza, by miała wpływ i wiedzę o procesach reprivatyzacyjnych w Warszawie, to jednoznacznie wskazują na to kolejni przesłuchiwanie przez komisję miejsca urzędnicy, w tym również i ci z najbliższego otoczenia szefowej stołecznego magistratu. Po Krzysztofie Śledziwskim zeznania złożył Marcin Bajko, do połowy ubiegłego roku dyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami. – Pani prezydent miała pełną wiedzę. Dziwi mnie różnego rodzaju wypowiedzi medialne, że ktoś czegoś nie wiedział. Na spotkaniach był cały przekrój informacji – powiedział Marcin Bajko. – Mam dokument dotyczący ul. Twardej, gdzie figuruje podpis Hanny Gronkiewicz-Waltz – dodał. Znacząca jest również i inna z wypowiedzi byłego szefa BGN: „Pani prezydent powiedziała, że nie potrzeba szkół w Śródmieściu i można oddać działkę na Twardej Maciejowi M.”.

Po niespełna tygodniu prac komisji, Maciej M. (aresztowany w maju), który w bulwersujących okolicznościach stał się właścicielem roszczeń do nieruchomości przy ul. Twardej 8 i 10, złożył oświadczenie, w którym poprosił o uchylenie korzystnych dla siebie decyzji reprivatyzacyjnych. (ww)



Maciej Pieczyński

Według PiS, zamiast odgrywać swoją zawodową rolę bezstronnego arbitra, stanął po jednej ze stron wojny polsko-polskiej. Wcześniej sędziemu Wojciechowi Łączewskiemu zdarzało się bronić prawicy

Przez cały okres kryzysu wokół Trybunału Konstytucyjnego pojawiały się w mediach głosy o niebezpieczeństwie prawnej dwuwładzy w Polsce. Zmiana na stanowisku prezesa TK nie rozwiązała tego problemu. Sędziowie nieprzychylni dobrej zmianie, wcześniej wierni Andrzejowi Rzeplińskiemu, dziś podważają pozycję Julii Przyłębskiej. W ten kontekst wpisał się swoją niedawną decyzją Wojciech Łączewski.

Sędzia warszawskiego sądu rejonowego bezterminowo odroczył proces o odszkodowanie, jaki prywatny przedsiębiorca wytoczył Trybunałowi Konstytucyjnemu. Powód? Jak podał początkowo portal Radia RMF FM, sędzia Łączewski podjął taką decyzję, ponieważ jego zdaniem obecny skład TK, w tym także prezes Julia Przyłębska, mógł zostać wybrany niezgodnie z prawem. Rzeczniczka sądu okręgowego Anna Ptaszek tłumaczyła później, że sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Sędzia Łączewski miał podczas rozprawy zapytać reprezentującą Trybunał Konstytucyjny adwokat, „czy wie, że w sprawie prawidłowości wyboru prezes TK Sąd Najwyższy zbada pytanie prawne”. Chodzi o pytanie o prawne umocowanie sędzi Przyłębskiej jako prezesa TK, jakie do SN skierował jej poprzednik, Andrzej Rzepliński. Sąd Najwyższy ma tę sprawę rozpatrzyć do września.

„Sędzia Łączewski podważył wybór prezesa TK? Cała sprawa to fake news” – autorytatywnie orzekła Ewa Siedlecka na łamach „Polityki”. „Po co rozpocząć proces, skoro nie ma pewności, że jedna strona jest właściwie reprezentowana? Gdyby się po orzeczeniu Sądu Najwyższego okazało, że nie jest – trzeba by proces powtarzać [...]”. Taką decyzję powinien był w tej sytuacji podjąć każdy odpowiedzialny sędzia – twierdzi lewicowa publicystka. Oburzenie prawicy na Łączewskiego tłumaczy tym, że przecież chodzi o „wroga PiS”, który

Sędzia politycznie rozgrzany?



skazał Mariusza Kamińskiego. Sam sędzia nie może komentować sprawy, w której orzeka, dlatego w rozmowie z „Do Rzeczy” odnosi się do sprawy pośrednio: – Zawsze mówię studentom, że nie chodzi o to, aby wydać jakiś wyrok, ale żeby wydać wyrok sprawiedliwy, taki, co do którego nie będzie potem wątpliwości w postępowaniu odwoławczym.

POLITYKA PRZED SĄDEM

– Prezydent, na podstawie praw przyznanych mu przez konstytucję, wyznaczył prezesa TK. Sędzia sądu rejonowego nie jest od tego, by oceniać prerogatywy prezydenta i sposób ich wykonania, nie jest też od tego, by wyrokować, czy konkretna ustawa, na podstawie której prezydent dokonuje wyboru prezesa TK, jest prawidłowa czy nie – mówi sędzia Adam Tomczyński. – Jeżeli uznamy, że każdy z 11 tys. sędziów sądów rejonowych w Polsce może stosować konstytucję bezpośrednio, z pominięciem obowiązującej ustawy, nawet w tak błahej sprawie jak kwestia pełno-

mocnictwa, to będziemy mieć do czynienia nawet nie tyle z sędziokracją, ile z anarchią. Nawet jeśli sędzia Łączewski rzeczywiście czeka na rozstrzygnięcie SN, to nie zmienia to faktu, że na ten moment Julia Przyłębska jest prezesem TK na podstawie decyzji podjętej zgodnie z obowiązującą ustawą. Jest mnóstwo orzeczeń Sądu Najwyższego, Naczelnego Sądu Administracyjnego, potwierdzających prerogatywy prezydenta w tym zakresie. – Prezydent wybierany w wyborach powszechnych przez naród, jak na taką legitymację, ma niewiele uprawnień, więc nie próbujmy mu odbierać prawa do mianowania sędziów – dodaje sędzia Tomczyński.

Gdy sędzia Łączewski skazywał Mariusza Kamińskiego na trzy lata bezwzględnej pozbawienia wolności, z dumą stwierdził wówczas, że nie wpuścił polityki na salę sądową. Bo przecież odważył się wydać surowy wyrok w sprawie ministra! Stwierdził przy tym, że ewentualna pobłażliwość wobec działań Mariusza Kamińskiego byłaby „sygnałem, że pewne osoby,



FOT. TOMASZ CZELIŃSKI

mec. Piotr Andrzejewski, członek Trybunału Stanu.

Sam sędzia Łączewski nie zgadza się z zarzutami o polityczne motywacje orzecznictwa. – Nie sądziliśmy Mariusza Kamińskiego jako polityka, ale jako szefa CBA, a więc szefa instytucji, przynajmniej według ustawy, apolitycznej. Manipulacją jest twierdzenie, że to była kara za ujawnienie korupcji posłanki Sawickiej, bo jej nazwisko w prowadzonej przeze mnie sprawie w ogóle nie występowało – mówi „Do Rzeczy”. I wymienia sprawy, w których orzekał w sposób zdecydowanie bardziej dla prawicy przychylny. – Gdy w składzie jednoosobowym wydawałem postanowienie o uchyleniu postanowienia prokuratora okręgowego Warszawa-Praga, który umorzył śledztwo w sprawie organizacji lotu do Smoleńska, albo gdy skazywałem działacza SLD za pomówienie działacza LPR, to jaka mogła być moja motywacja polityczna?! – oburza się. Sędzia Łączewski ma na swoim koncie także m.in. wyrok wydany na policjanta za pobicie manifestanta podczas Marszu Niepodległości. Zdaniem sędziego Tomczyńskiego ta sprawa nie jest jednak żadnym dowodem na apolityczność orzekającego: „Z takim materiałem dowodowym, jaki był dostępny, po prostu nie było możliwości, żeby podjąć inną decyzję”.

Wojciech Łączewski pochodzi z rodziny prawniczej. Jego matka orzekała w sprawach cywilnych, ojciec w karnych. Zanim poszedł w ślady rodziców, chciał zostać lekarzem. Kiedyś w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną” na pytanie, dlaczego został sędzią, odpowiedział: „Bo taka osoba ma najlepsze miejsce na sali sądowej, zza sędziowskiego stołu jest najlepszy widok!”. A na decyzję, by zostać karnistą, wpłynąć miały emocje, z jakimi oglądał wprowadzenie na salę sądową płatnego mordercy pod eskortą antyterrorystów. Na łamach „DGP” Wojciech Łączewski przyznał, że obok ojca i Józefa Piłsudskiego największym autorytetem jest dla niego Sławomir Peteliński. To właśnie twórca i pierwszy dowódca GROM-u miał pomóc przyszłemu sędziemu w podjęciu decyzji, radząc, by „poszedł tam, gdzie najlepiej przysłuży się ojczyźnie”. Karierę Wojciech Łączewski rozpoczął jako asesor w Sądzie Rejonowym w Janowie Lubelskim. Potem były Sąd Rejonowy w Puławach i wreszcie Warszawa.

„KREATYWNY” SĘDZIA

Oprócz tych najbardziej kontrowersyjnych, podejmowanych w politycznym kontekście, sędzia Łączewski ma na

swoim koncie także dość „oryginalne” decyzje. Cztery lata temu za antyżydowskie hasła głoszone podczas meczu ligowego skazał 17 kiboli na prace społeczne, wpłatę pieniędzy na Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich, a także na obejrzenie filmu „Cud purymowy” w reżyserii Izabelli Cywińskiej. Film opowiada historię antysemitę, który dowiaduje się, że sam ma żydowskie korzenie.

Zdecydowanie cieniem na karierze Łączewskiego kładzie się „afera twitterowa”. Ktoś z komputera sędziego korespondował z fikcyjnym kontem Tomasza Lisa, planując obalenie rządu PiS. Łączewski do winy się nie przyznał. Biegli orzekli jednak, że – wbrew wersji podawanej przez sędziego – nikt się do jego komputera nie włamał. Wciąż toczy się postępowanie dyscyplinarne w tej sprawie. – Nie potrafię zrozumieć, dlaczego wyjaśnianie tej sprawy tak długo trwa, skoro jest tyle dowodów. Albo powinny być już postawione zarzuty, albo należy postępowanie umorzyć, a wówczas minister sprawiedliwości będzie miał możliwość odwołania się od takiej decyzji. Natomiast sama treść rozmów z fikcyjnym kontem Tomasza Lisa jest absolutnie skandaliczna i niegodna sędziego – mówi sędzia Tomczyński.

Mecenas Piotr Andrzejewski nie ma wątpliwości co do politycznego zaangażowania sędziego Łączewskiego. – Podzielał pogląd o kreatywności władzy sądowniczej w trakcie postępowania dowodowego i orzekania w konkretnej sprawie: pod warunkiem jej podległości prawu formalnemu, materialnemu i uniwersalnym zasadom wymiaru sprawiedliwości. Nie podzielał poglądu, że sędzia może dowolnie, według swego uznania, korygować obowiązujący system konstytucyjny i prawny – mówi mec. Andrzejewski w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Sędzia Wojciech Łączewski demonstruje własną, indywidualną wizję treści prawa i stosuje ją, nie licząc się z jego obiektywną wykładnią. Wpisuje się w charakterystykę przydatnych „politycznie rozgrzanych sędziów”, według nomenklatury byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego. Wydaje się być człowiekiem sfrustrowanym, instrumentalnie demonstrującym swoją nadautorytatywność orzeczniczą. Być może przeciwdziałał taką kreatywnością jakiemuś kompleksowi osobistemu, środowiskowemu, politycznemu. Jest to niebezpieczne dla praworządności władzy sądowniczej – dodaje.

ze względu na pełnione przez nie funkcje, mogą działać poza prawem, a to byłoby bardzo niebezpieczne”. Podeszedł więc do sprawy, można rzec, wychowawczo.

Nie uznał już jednak, że skazanie na bezwzględne pozbawienie wolności szefa instytucji, powołanej do walki z korupcją za nadużycia (mówiąc inaczej: za nadgorliwość), w tej walce mogłoby być „sygnałem, że bezkompromisowość jest gorsza od korupcji”. Cóż, taką, a nie inną linię interpretacyjną przyjął Wojciech Łączewski. Inna sprawa, że sądził już wcześniej osądzoną sprawę. – Orzekając powtórnie i drakońsko stronnictwo w sprawie Mariusza Kamińskiego, sprzeniewierzył się zasadzie ne bis in idem (zasada, zgodnie z którą nie można sądzić dwa razy w tej samej sprawie – przyp. red.). Mariusz Kamiński, zanim stanął przed sędzią Łączewskim, został uwolniony od odpowiedzialności karnej przed Trybunałem Stanu przez nieprzychylny mu poprzedni Sejm. Sędzia Łączewski „nie zauważył” albo nie chciał wziąć pod uwagę tego stanowiska – mówi



Wojciech Wybranowski

Zanim służby specjalne w 2012 r. poinformowały premiera Tuska i prezydenta Komorowskiego o Amber Gold, od dawna znali mechanizm piramidy. Dlaczego zadziałały z opóźnieniem i tak nieudolnie?

Wychodzące na jaw kulisy działalności piramidy finansowej Amber Gold coraz wyraźniej wskazują, że sprawa staje się najpoważniejszą – obok FOZZ – aferą III RP. Nie tylko dlatego, że prace komisji śledczej coraz bardziej obnażają słabość funkcjonowania państwa polskiego oraz jego organów w okresie rządów Platformy Obywatelskiej, ale pojawia się też coraz więcej wątpliwości co do działań służb specjalnych mających dbać o bezpieczeństwo Rzeczypospolitej.

Ubiegłotygodniowe przesłuchania Marcina P., formalnego twórcy Amber Gold, który z członkami komisji śledczej zagrał we własną grę, tylko powiększyły liczbę niewiadomych w tej sprawie.

KAMARYLA SŁUŻB I PRZESTĘPCÓW

Amber Gold powstało w styczniu 2009 r. w Gdańsku, a jego założycielem był Marcin P., kilkakrotnie wcześniej karany za oszustwa finansowe i gospodarcze. Firma funkcjonująca – jak się później okazało – na zasadzie piramidy finansowej, oferowała klientom lokaty w złoto, platynę i srebro. Jednocześnie z przedsiębiorstwa wyprowadzano pieniądze, które miały P. posłużyć do sfinansowania działalności firmy lotniczej OLT Express, rywalizującej z państwowym przewoźnikiem PLL LOT. Amber Gold upadło w 2012 r., a jego klienci stracili pieniądze – w sumie co najmniej 851 mln zł.

– Im dłużej badamy sposób funkcjonowania tego przedsięwzięcia, przyglądamy się brakowi działań organów państwa w tej aferze, pewnie kumulacji zdarzeń, które sprawiły, że Marcin P., prowadząc swój proceder, mógł się czuć bezkarny, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że za funkcjonowaniem tej piramidy stały albo służby specjalne,

albo ludzie ze służb – mówi „Do Rzeczy” poseł Tomasz Rzymkowski (Kukiz’15), wiceprzewodniczący sejmowej komisji śledczej badającej aferę Amber Gold. – To jest jedyne logiczne wytłumaczenie, nie ma bowiem możliwości, by Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i inne służby były aż tak głupie i słabe.

Michał Majewski, który w 2012 r. jako dziennikarz opisywał kulisy funkcjonowania i upadku Amber Gold, mówi, że wśród wielu hipotez była i taka, iż firma Marcina P. była „kamarylą tajnych służb i przestępców”. – W całej sprawie

– dodaje. Jego zdaniem śledczy powinni się przyjrzeć m.in. osobom, które jako pierwsze ułokowały spore środki finansowe w Amber Gold.

AGENCJA BEZRADNA WYBITNIE?

Jak wynika z informacji medialnych i wypowiedzi prasowych byłego premiera Donalda Tuska – szef rządu miał się dowiedzieć o całej sprawie dopiero z informacji Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego przesłanej mu z datą 24 maja 2012 r. Dokument, wystosowany na podstawie art. 18 ustawy o ABW



przeplatają się wątki osób powiązanych w jakiś sposób ze światem przestępczym Gdańska i ludźmi mającymi związki ze służbami – mówi „Do Rzeczy” Majewski. – Jestem przekonany, że ludzie, którzy dziś publicznie odpowiadają, są kojarzeni z aferą Amber Gold, byli tylko słupami. To w mojej ocenie nie są ludzie, którzy samodzielnie, bez wsparcia z „zewnątrz” rozkręciliby tak gigantyczną operację. Ktoś przeznaczył olbrzymie pieniądze na to, by to ruszyło

i AW – stosowanego wtedy, gdy w grę wchodzi istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego lub międzynarodowej pozycji Polski – skierowany także m.in. do ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego nadal ma klauzulę „poufne”. Opierając się na nieoficjalnych danych, media informowały, że zawiera on informację o przestępczej działalności Marcina P., a także o tym, że Amber Gold działa na zasadzie mechanizmu piramidy finansowej.

Jednak według naszych informatorów pismo ABW do Tuska zawiera również inne dane. Mowa w nim ma być m.in. o „zagrożeniu dla stabilności finansowej państwa”, a także określone ma być w nim krótko ostrzeżenie – schemat wyprowadzania pieniędzy z Amber Gold do OLT Express.

To ważne informacje, bo oficjalnie śledztwo w sprawie Amber Gold ABW wszczęła dopiero 2 lipca 2012 r., prowadząc pod nadzorem gdańskiej prokuratury dochodzenie w sprawie wprowadzania w błąd klientów firmy oraz prania

jedyna informacja, którą kierowała ABW, mniej lub bardziej oficjalnie, do różnych osób, ostrzegając przed Amber Gold. Jest jeszcze kilka dokumentów ABW, z których wynika, że służba ta wiedziała o sposobie wyprowadzania pieniędzy z Amber Gold, ale nie towarzyszyły temu działania zapobiegające i chroniące interes obywateli – mówi jeden z naszych rozmówców związanych ze śledztwem w sprawie Amber Gold.

Nasi rozmówcy wskazują m.in. na słowa Marka Belki, byłego szefa NBP, który zeznając w lutym tego roku przed komisją śledczą, mówił, że nie miał wątpliwości, iż Amber Gold to operacja przestępcza. Były szef NBP powiedział wówczas, że w pewnym momencie alarmował Donalda Tuska o całej sprawie: – Rozmawiałem z premierem Tuskiem przez telefon, kiedy powziąłem informacje, że Amber Gold inwestuje w tanie linie lotnicze OLT Express. Poruszony byłem tym dlatego, że wtedy się okazało, iż jest to „palenie pieniędzy”. Nikt na świecie nie zrobił pieniędzy na tanich liniach lotniczych, nie inwestując najpierw horrendalnych pieniędzy i nie rozwijając działalności globalnej. Wtedy było dla mnie oczywiste, że to jest właściwie oszustwo – mówił Belka, przyznając, że do takiej rozmowy mogło dojść w sierpniu 2011 r.

Zdaniem naszych informatorów nie można wykluczyć, że ową informację o wyprowadzaniu pieniędzy z Amber Gold do OLT Express Belka powziął właśnie z kręgów ABW.

A skoro służba specjalna wiedziała o przestępczej działalności Marcina P. co najmniej rok przed wybuchem afery, jeżeli takie ostrzeżenia różnymi drogami trafiały do kluczowych osób w państwie, to znów pojawia się pytanie o to, czy Michał Tusk zatrudniony w OLT nie miał odegrać ochronnej roli. – Jako przekaz dla służb: „Jest przekręt, ale skoro jest w nim zatrudniony syn premiera, to ma to autoryzację ważnych ludzi” – zastanawia się nasz rozmówca.

GRZECH ZANIECHANIA

Brak działań ABW w tej sprawie zastanawia członków sejmowej komisji śledczej. – Służby zawiodły. Ten zawód to nie tylko brak zainteresowania ze strony służb spółkami Marcina P., to również nieudolne zabezpieczenie materiału dowodowego w kluczowym momencie – mówił poseł Witold Zembaczyński

(Nowoczesna) w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim w programie „Jeden na jeden” w TVN24. Parlamentarzysta dodał też, że „grzech zaniechań służb specjalnych w sprawie Amber Gold jest potężny”.

Wcześniej Zembaczyński w rozmowie z „Do Rzeczy” przyznał, że według informacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego ok. 60 osób, które ułożyły po kilkaset tysięcy złotych w Amber Gold, w rzeczywistości nie miało – zgodnie ze składanymi przez nie oświadczeniami majątkowymi – możliwości posiadania takich pieniędzy. Komisja śledcza na wniosek Zembaczyńskiego wystąpiła do CBA o przekazanie danych osób, które do Amber Gold wpłaciły więcej niż milion złotych.

Jeszcze ostrzej sytuację i działanie służb specjalnych ocenia przewodnicząca sejmowej komisji śledczej poseł Małgorzata Wassermann. – Pojawia się pytanie: Dlaczego służby specjalne przesłuchiwały świadków, a nie było na początku podsłuchu, obserwacji, zabezpieczenia billingów, blokowania kont ani zabezpieczania majątku? To była prowizorka – mówiła w programie „Mienęła dwudziestą”. Wassermann wskazała m.in., że brakuje stenogramów z części rozmów podsłuchiowanych przez ABW, a w wyniku błędów tej służby utracono też bazy danych, z których można byłoby ustalić wszystkich klientów piramidy finansowej.

Marcin P. przyznał przed komisją, że był informowany o działaniach ABW. Miał też znać plan śledztwa. Sugerował, że marazm organów państwa i tajnych służb nie był przypadkowy.

Czy jego zeznania można traktować jako wiarygodne? Nie ulega wątpliwości, że P. podczas przesłuchania przed komisją grał i kluczył, świetnie wykorzystując nieprzygotowanie części członków komisji. Można było odnieść wrażenie, że przynajmniej w niektórych przypadkach mówił to, co członkowie komisji chcieliby usłyszeć, ale też zacierał ślady, rzucał wątpliwe oskarżenia i mataczył, gdy pytania stawały się dla niego niewygodne. Jednak część jego twierdzeń, m.in. dotyczących rywalizacji OLT Express z PLL LOT, znajduje odzwierciedlenie w wyjaśnieniach innych świadków występujących przed komisją i w pozyskanym przez nią materiale dowodowym.



Marcin P. w ubiegłym tygodniu zeznawał przed sejmową komisją śledczą. FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

brudnych pieniędzy. Zdaniem naszych informatorów z kręgów zbliżonych do śledztwa informacje pochodzące z ABW, do których dotarli śledczy (część tych danych miała też trafić do sejmowej komisji), wskazują, że Agencja miała Amber Gold „na widelcu” co najmniej kilka miesięcy przed skierowaniem notki do ówczesnego szefa rządu i nie podjęła żadnych działań.

– Głośna notatka ABW z 24 maja 2012 r. do premiera Tuska to nie jest



Katarzyna Pinkosz

„Dzielenie pacjentów na lepszych i gorszych”, „koniec bezpłatnej służby zdrowia” – nowy projekt Ministerstwa Zdrowia wywołał burzę w mediach. Będziemy płacić z własnej kieszeni dodatkowo za leczenie?

Absurdem jest to, że szpital publiczny może wynajmować powierzchnię pod sklepik i z tego mieć pieniądze, a nie może zarabiać w dziedzinie, w której jest wyspecjalizowany, czyli w leczeniu” – mówił w kwietniu minister Konstanty Radziwiłł w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy”. Jednak próba wyeliminowania tego absurdu, jaką było przedstawienie kilka dni temu projektu nowelizacji ustawy o działalności leczniczej, wywołała jeszcze większą burzę niż wprowadzenie sieci szpitali. Pewnie dlatego, że jej skutkami łatwo pacjenta postraszyć: w szpitalu publicznym będzie wisiał cennik za konsultacje czy zabiegi.

„Wróci wolna amerykanka: jak masz pieniądze, to będziesz leczony”, „Dopłacimy miliardy do publicznego leczenia”, „Wypuszczenie dzina z butelki” – pisały media. Jedna z gazet podała nawet przykładowy cennik: 2 tys. zł za operację zaćmy, 4,5 tys. za operację tarczycy, 450 zł za kolonoskopię. Niektóre artykuły straszyły wręcz, że pacjent, który trafi na Szpitalny Oddział Ratunkowy, będzie na początku pytany, czy chce być „obsłużony” w ramach NFZ, czy komercyjnie.

ZA CO OPŁATY

Minister Radziwiłł starał się uspokajać, że projekt nie jest skierowany przeciw pacjentom, lecz wręcz przeciwnie: może skrócić kolejki do specjalisty, badań i zabiegów. Jednak atmosfera wokół kwestii płacenia za bezpłatną służbę zdrowia stała się tak gorąca, że po spotkaniu ministra zdrowia z premier Beatą Szydło projekt został wycofany z konsultacji publicznych i wrócił do analiz w ministerstwie. Utknie tam na zawsze czy jednak wróci? A jeśli to drugie, to co to rzeczywiście oznacza dla szpitali i pacjentów?

Według zapewnień ministerstwa projekt był korzystny zarówno dla pacjentów,

jak i dla szpitali publicznych. Założenia były proste: na wizytę do neurologa, ortopedy, okulisty, kardiologa, endokrynologa czeka się wiele miesięcy, można więc stworzyć pacjentowi możliwość dostania się w tej samej przychodni do specjalisty wcześniej, ale odpłatnie. Oczywiście po godzinach pracy lekarza w ramach kontraktu z NFZ. To samo dotyczyłoby badań diagnostycznych, np. gastrokopii, kolonoskopii,

tomografii komputerowej, rezonansu (na które teraz czeka się miesiącami) i niektórych operacji. Obecnie pacjent na wyznaczoną planową operację zaćmy czeka kilkanaście miesięcy lub nawet dłużej, by wykonać zabieg w ramach NFZ, albo idzie do prywatnego szpitala. Po wprowadzeniu zmian miałby jeszcze trzecie wyjście: mógłby mieć wykonaną operację w szpitalu publicznym, ale musiałby za to zapłacić.

Rachunek za szpital



FOT. FOTOLIA

Ministerstwo Zdrowia tłumaczyło, że takie rozwiązanie niosłoby jeszcze jedną korzyść dla pacjentów, bo osoby, które zdecydowałyby się na płatną wizytę, badanie czy operację, automatycznie wypadłyby z kolejki. Skoro to rozwiązanie wydaje się tak dobre, to dlaczego wzbudziło tyle negatywnych emocji?

– Nie zostało określone, za co dokładnie pacjenci mieliby płacić. W projekcie zmian zabrakło szczegółów – mówi Monika Zien-tek, prezes Stowarzyszenia „3majmy się razem”. – Wiele rzeczy było niedopracowanych, a przy braku szczegółów pojawiały się w mediach różne scenariusze, np. że gdy pacjent trafi na SOR, najpierw zapytają go, czy jest ubezpieczony. Oczywiście nie było to zamysłem ministerstwa, ale takie scenariusze wprowadziły niepotrzebną panikę – dodaje dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, wiceprzewodnicząca rady NFZ i dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łązarskiego.

Krytykujący propozycje ministerstwa wskazywali, że ich wprowadzenie mogłoby spowodować dzielenie pacjentów na gorszych, czyli NFZ-owskich, i lepszych, którzy zapłacą za leczenie. – Jeśli w tej samej placówce będą obsługiwani pacjenci na NFZ i komercyjni, to istnieje obawa, że mogą być w inny sposób traktowani przez personel medyczny. W niektórych placówkach może pojawiać się pokusa, by w różny sposób „skłaniać” pacjentów do wyboru leczenia komercyjnego – mówi dr Jerzy Gryglewicz, ekspert w zakresie ochrony zdrowia z Uczelni Łązarskiego. Obawia się, że tak mogłoby się zdarzać zwłaszcza wówczas, gdyby pacjenci mieli płacić szpitalowi czy przychodni więcej, niż za to samo płaci NFZ. Takie sytuacje nie byłyby wykluczone, zwłaszcza że to dyrektor danej placówki miałby ustalać cennik.

Już po wycofaniu projektu ustawy i przekazaniu go do dalszych analiz Ministerstwo Zdrowia zaprosiło na spotkanie przedstawicieli organizacji pacjentów. – Szkoda, że zaproszono nas, gdy już był kryzys, a nie wtedy, gdy opracowywano założenia do ustawy – dodaje Monika Zien-tek, która dość sceptycznie podchodzi do proponowanych zmian. Dostrzega w nich jedynie szansę na uporządkowanie sytuacji pacjentów, którzy sami zbierają dla siebie pieniądze na bardzo drogie, nierefundowane terapie. Obecnie nie mogą przekazać tych pieniędzy bezpośrednio szpitalowi na zakup leku, tylko muszą to robić przez fundacje, które nieraz zabierają dla siebie nawet 10 proc. środków ze zbiórki.

Jednak to właśnie po spotkaniu pacjentów z ministerstwem pojawiły się pierwsze pozytywne głosy dotyczące proponowanych zmian. – Jeśli szpitale publiczne przyjmowałyby pacjentów dodatkowo, poza godzinami, to byłoby to korzystne, gdyż chorzy będą mieć możliwość wybrania placówki, która ma duże doświadczenie. To też korzyść dla szpitala, gdyż często specjalistyczny sprzęt „po godzinach” stoi niewykorzystany, niewykorzystane są też sale operacyjne – mówi Beata Ambroziewicz, wiceprezes Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych. Podkreśla, że ta propozycja wychodzi naprzeciw oczekiwaniom pacjentów i szpitali, jednak przede wszystkim musi zostać zagwarantowane, że pula wizyt, badań diagnostycznych i operacji wykonywanych w ramach NFZ nie zostanie przez to zmniejszona.

KTO ZYSKA, KTO STRACI

Z proponowanych zmian pewnie ucieszyłyby się szpitale i przychodnie publiczne, które często mają większe moce przerobowe, niż wykorzystują je w ramach kontraktu z NFZ. – Minister w projekcie ustawy oszacował, że wpływy od pacjentów do publicznych placówek wyniosą ponad 2 mld zł rocznie. Poprawiłoby to sytuację szpitala, a także personelu, bo jeśli będą większe wpływy, to jest szansa na wyższe wynagrodzenia dla lekarzy i pielęgniarek – mówi dr Gryglewicz. Dlatego szpitale publiczne pozytywnie podeszły do pomysłów.

– Jako dyrektor szpitala publicznego nie dostrzegam ryzyka w możliwości wprowadzenia odpłatności dla pacjentów, którzy chcieliby zapłacić za konkretne świadczenia. Jestem zwolenniczką rozwiązania polegającego na tym, żeby pacjent, który chce zapłacić, mógł to zrobić, jeśli szpital dysponuje wolnym potencjałem ludzkim i infrastrukturalnym. Oczywiście przy założeniu, że nie wpłynie to na organizację udzielania świadczeń pacjentom, którzy są przyjmowani bezpłatnie w ramach powszechnego systemu ubezpieczeń – mówi Barbara Bulanowska, dyrektor Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, jednego z najlepszych szpitali w Polsce.

Na pewno przez takie rozwiązania mogłyby stracić przychodnie i szpitale prywatne. Część pacjentów, gdyby miała wybór, czy zapłacić w prywatnej, czy państwowej placówce, wybrałaby tę drugą. – W mojej opinii szum medialny w tej sprawie jest formą walki niepublicznych placówek o pacjentów i rynek, gdyż może się okazać, że publiczne podmioty będą

bardziej konkurencyjne – przyznaje dyrektor Bulanowska.

KONIEC MITU BEZPŁATNOŚCI

Pomysł wprowadzenia pewnego rodzaju odpłatności dla pacjentów popiera wielu ekspertów zajmujących się ochroną zdrowia, uważając, że to konieczne. – Państwo powinno stworzyć warunki, by można było najbardziej efektywnie wykorzystać sprzęt szpitalny, łóżka, ludzi. Jednak państwa nie stać, żeby to zrobić. Jak widać, na razie nie ma większych pieniędzy na zdrowie – mówi dr Gałązka-Sobotka. Podkreśla, że jeśli większe pieniądze nie zostaną przeznaczone z budżetu państwa na ochronę zdrowia, to jedynym wyjściem będzie sięgnięcie do kieszeni pacjentów. – Z roku na rok kolejki do specjalistów i na zabiegi się wydłużają. Dochodzimy do ściany i nie będzie lepiej, jeśli nie dodamy pieniędzy – dodaje Gałązka-Sobotka.

Pomysł płacenia za szybszą wizytę czy operację nie jest jedyny. Często postuluje się też stworzenie możliwości dopłacania pacjentów do usług ponadstandardowych, np. do nowocześniejszych soczewek w przypadku operacji zaćmy. Obecnie pacjent musi skorzystać z takiej, którą kupi szpital. Jeśli chce mieć „lepszą”, to musi zdecydować się na operację w prywatnej placówce, bo w państwowej nie ma możliwości dopłaty. Powraca też pomysł ubezpieczeń zdrowotnych, a także wprowadzenia opłat w szpitalu: za nocleg i żywienie. Do tej pory jednak żadna ekipa w Ministerstwie Zdrowia nie odważyła się na zaproponowanie dopłat pacjentom.

– Jesteśmy jednym z ostatnich państw w Europie, w których nie ma dopłat do leczenia w publicznych placówkach. Trzeba docenić odwagę ministerstwa, że przyznało się, iż publiczny sektor ochrony zdrowia bez wsparcia pacjentów nie da sobie rady – ocenia dr Gryglewicz. Dziwi go jednak, że ta najbardziej fundamentalna reforma ministra Radziwiłła, jak ją ocenia, nie została dobrze przygotowana.

Zarówno eksperci, jak i organizacje pacjentów są jednak przekonane, że współpłacenie nie rozwiąże problemów ochrony zdrowia. Konieczne jest zwiększenie ilości pieniędzy: przynajmniej do 6 proc. PKB, jak było to wcześniej zapowiadane. – Mam nadzieję, że dojdzie do kompromisu między Ministerstwem Finansów a Ministerstwem Zdrowia i dodatkowe pieniądze się znajdą, gdyż bez tego nie da się uzdrowić ochrony zdrowia – dodaje dr Gałązka-Sobotka.



Z prof. Magdaleną Gawin,
wiceminister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
rozmawia Łukasz Warzecha

Austriacka niepamięć

ŁUKASZ WARZECHA: Czy muzeum dokumentujące niemiecką zbrodnię w Auschwitz-Birkenau jest w jakiś sposób szczególne? Czy wyróżnia się na tle innych podobnych?

PROF. MAGDALENA GAWIN: Ten obóz jest symbolem nazistowskiego ludobójstwa dokonanego na narodzie żydowskim i jest symbolem Holokaustu. Jednak też był częścią większego systemu obozów, którego centrum zarządzania mieściło się w Sachsenhausen. To na Auschwitz-Birkenau skupia się uwaga świata, wobec czego często się zapomina, że nie był to jedyny niemiecki obóz koncentracyjny i że w pozostałych miejscach kaźni powinny dzisiaj obowiązywać podobne standardy dbania o pamięć, jakie obowiązują w Muzeum Auschwitz. Poza tym spośród

byłych obozów koncentracyjnych i zagłady jedynie obóz w Auschwitz jest wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Jak to się stało, że innych byłych obozów na niej nie ma?

Auschwitz wpisano na listę UNESCO w 1979 r. dzięki polskim staraniom. We wpisie jest mowa o tym, że to jedyny tego typu obiekt, symbolizujący wszystkie inne. W przypadku Auschwitz UNESCO zrobiło wyjątek, ponieważ na liście umieszcza się co do zasady jedynie obiekty czy miejsca, mające pozytywną wartość dla ludzkości. Tutaj zaś mamy wyjątkowo negatywne przesłanie, esencję zła. Dlatego UNESCO zdecydowało, że więcej takich obiektów na liście nie

będzie. Ten jeden potraktowano w szczególny sposób.

Czy to oznacza, że nawet gdyby inne państwo chciało powtórzyć polskie działania i wpisać na listę UNESCO pozostałości obozu na własnym terytorium, nie będzie mogło tego zrobić?

W zasadzie tak – osobnego kolejnego wpisu tego rodzaju już nie będzie. Natomiast można sobie wyobrazić poszerzenie „naszego” wpisu w taki właśnie sposób. Gdyby Niemcy i Austria zgłosiły po jednym z byłych obozów, jakich ślady zostały na ich terenie, udałoby się je zapewne dopisać. Taka propozycja jednak nigdy nie padła.

Czym się dzisiaj różni był obóz w Auschwitz od tych w innych krajach?



Budynek bramy obozu Gusen Jourhaus został przekształcony na dom mieszkalny FOT. WIKIPEDIA

przetrwało ich bardzo mało. W Austrii do 2016 r. prawodawstwo pozwalało na całkowitą zabudowę terenu byłych obozów koncentracyjnych, podczas gdy w Polsce przepisy zakazujące zabudowy poobozowych terenów zostały uchwalone wiele lat temu. Skutek jest taki, że spośród 47 austriackich obozów koncentracyjnych i pracy zachował się jeden – właśnie Mauthausen. Pozostałe zostały zabudowane. Dotyczy to także drugiej części tego obozu, czyli Gusen. Tamtejsze krematorium zostało ocalone tylko dzięki osobistemu wysiłkowi Władysława Bartoszewskiego, czego mu zresztą w Austrii nigdy nie zapomniano. Przy krematorium jest miejsce pamięci, ale otoczone murem, tak żeby nie zakłócać spokoju mieszkającym obok. Skutek jest taki, że czasami, gdy składa się tam kwiaty, ktoś obok robi sobie grilla w ogródku, roznosi się zapach kielbasy albo dochodzi hałas kosiarki do trawy. Nie ma tam żadnej strefy buforowej. Brama obozu Gusen Jourhaus została przekształcona na dom mieszkalny. W innych autentycznych zabudowaniach obozowych są zakłady usługowe. Jeśli przyjedzie pan do Gusen, to nie pozna pan, że osiedle powstało na terenie obozu.

Śladów po innych obozach usytuowanych w Austrii nie ma?

Jeśli coś się zachowało, to właśnie krematoria, nieduże domki, dziś nieznane. Nie bardzo nawet wiadomo, jak je znaleźć. Trzeba naprawdę wiedzieć, czego się szuka, by na nie trafić. Kolejna różnica to brak pamiętek po więźniach, które w Auschwitz są jednym z najważniejszych elementów: buty, walizki, torby, okulary, różnego rodzaju przedmioty osobiste, liczone w tysiącach.

Jak to możliwe? Przecież w momencie wyzwalania obozów w Austrii czy Niemczech te przedmioty tam były. Co się z nimi stało?

Możemy założyć, że były. Pojawia się wytłumaczenie, że wszystko zostało po wyzwoleniu spalone lub rozkradzione przez Rosjan, ale przecież Rosjanie wyzwalałi także obóz w Auschwitz, a tu przedmioty ofiar zostały. Byłaby szansa, żeby przynajmniej w Niemczech artefakty po ofiarach trafiły do byłych obozów, ale niestety Międzynarodowa Służba Poszukiwań zamierza zwracać te przedmioty, dziś pozostające w jej magazynach, rodzinom byłych więźniów. To bardzo zły pomysł – te pamiętki powinny wrócić do obozów, z których pochodzą,

bo tylko tam, zgromadzone w swojej masie, pokazują skalę ludobójstwa.

Czy jest szansa, żeby zmienić tę decyzję Niemców, skoro ona już zapadła?

Uważam, że tak. Takie postanowienia nigdy nie są niezmiennie. Powinniśmy z Niemcami o tym rozmawiać.

Czy jest różnica między podejściem do takich miejsc Niemców i Austriaków?

Tak – bardzo wyraźna. W Niemczech jest pod tym względem wyraźnie lepiej i to pokazuje, że denazyfikacja, której nie było w Austrii, ale była w Niemczech, nawet jeśli nie była całkowita, to miała bardzo głęboki sens. Spowodowała, że zaczęto się rozliczać z przeszłością i wzbudziła poczucie winy. W Austrii natomiast temat nazistowskiej przeszłości jest tak mocno spychany na margines przez polityków, naukowców, intelektualistów, przez uniwersytety i zwykłych ludzi, że właściwie nie istnieje jako temat debat publicznych. Wciąż obowiązuje mit Austrii jako pierwszej ofiary Hitlera i chociaż dziś jest może nieco słabszy niż kiedyś, to wciąż na tyle mocny, że nie pozwala uznać tamtejszym elitom, a także zwykłym Austriakom, że podczas wojny byli – najłagodniej mówiąc – po stronie sprawców.

Wspomniała pani o innych niemieckich obozach w Polsce. Na czym polega projekt realizowany w Sobiborze?

Tam do współpracy pozyskaliśmy Słowenię, Holandię, Izrael, w jakimś stopniu Niemcy. Przekopano sto arów ziemi, która – mimo niemieckich wysiłków, aby zatrzeć pod koniec wojny wszystkie ślady ludobójstwa – zachowała materialną pamięć po ofiarach. Udało się odnaleźć i zabezpieczyć tysiące artefaktów, w tym tabliczki, które troskliwe matki wieszały dzieciom na szyjach, żeby się nie zgubiły, okulary, fragmenty zabawek itd. Traktujemy te przedmioty jak relikwie, są one zabezpieczane przez konserwatorów. Jednak to praktyka poza Polską właściwie nieznana. W Austrii nigdy tego typu badań nie prowadzono. Dopiero po naszej interwencji udało się zabezpieczyć plac apelowy obozu w Gusen, który mimo wszystko się zachował, choć był przysypyany żwirem i ziemią. Dzięki Polsce został uprzątnięty i wpisany do rejestru zabytków. Jednak nasze apele, aby wykupić ten teren z rąk prywatnych, zbadać go i uporządkować w ramach współpracy międzynarodowej, na razie pozostały bez odzewu.

Jest najlepiej zachowany i jako jedyny dysponuje pracownią konserwatorską. A trzeba przy tym pamiętać, że Polska zachowuje i dba również o te obozy, które zniszczyli pod koniec wojny sami Niemcy i z których w zasadzie nic się nie zachowało, takie jak Treblinka czy Sobibór. Obóz w Auschwitz jako jeden z nielicznych byłych obozów ma na miejscu archiwa. Jeśli chce się uzyskać informacje np. o jedynym zachowanym w Austrii byłym obozie, Mauthausen, to trzeba pojechać do tamtejszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bo archiwa znajdują się tam. Stopień zachowania obozów w Niemczech czy Austrii jest dużo gorszy niż obozu w Auschwitz. Tam często nie przetrwały żadne budynki obozowe albo

Co więcej, Austriacy pouczają nas, że to miejsce międzynarodowe, a my próbujemy je „nacionalizować”, podczas gdy jest dokładnie odwrotnie: to my najlepiej zabezpieczyliśmy były obóz Auschwitz-Birkenau właśnie jako miejsce kaźni przedstawicieli różnych narodów i wiemy doskonale, co to znaczy dbać o wrażliwość innych nacji. Na tym tle zresztą dochodzi do kolejnego sporu. Po upadku komunizmu zawarliśmy z Izraelem porozumienie, że będziemy informowali o osobach pomordowanych i przetrzymywanych w obozach na naszym terytorium z podziałem na obywatelstwo i narodowość. To element pokazywania prawdy o niemieckim ludobójstwie. Tymczasem w austriackim Mauthausen jest odwrotnie: wychodzi się z założenia, że skoro jest to miejsce „międzynarodowe”, to Polacy nie mają prawa do szczególnego upamiętnienia ofiar naszej narodowości. I to mimo że w Gusen w 1942 r. Polaków było 97 proc., w tym największy odsetek osób z wyższym wykształceniem. Gusen to miejsce zaplanowanej likwidacji polskiej inteligencji. Liczba pomordowanych tam ofiar z tej grupy przewyższa tę z Katynia. W ten sposób Austria podważa polsko-żydowskie porozumienie z lat 90. oraz tworzy wrażenie, że liczba ofiar pochodzących z danego narodu nie jest istotna. Na takie stawianie sprawy nie możemy się godzić, bo prowadzi to do zafałszowania natury ludobójstwa, którego dokonali naziści w czasie wojny. Na dodatek niesłusznie się nas oskarża, że jeśli walczyliśmy o godny status innych byłych obozów, to robimy to na pewno ze złą wolą, aby podważyć miejsce Auschwitz.

Czemu by to miało służyć?

Niektórzy uważają, że skoro ten obóz ma symboliczne znaczenie, to powinien istnieć właściwie tylko on i cała pamięć o nazizmie powinna być skumulowana w Polsce. W trakcie naszych negocjacji ze stroną austriacką ministrowie edukacji z różnych krajów złożyli zobowiązanie o pamięci o ofiarach Holokaustu i pomordowanych Romach, wspólnie wzięli udział w Marszu Żywych. „Otoczymy szacunkiem ocalałych, którzy wciąż są z nami, i będziemy honorowali tych, którzy sprzeciwiali się złu nazistowskiej tyranii” – taką deklarację odczytała szefowa austriackiego resortu edukacji w Auschwitz. Kiedy to czytałam, miałam przed oczami więźniów w pasiakach, którzy od dekad nie mogli doprosić się

w Austrii, by zapewniono elementarne standardy opieki nad Gusen i innymi miejscami.

Austriacy nie mogą takich deklaracji złożyć u siebie?

Mogliby, ale takie deklaracje pociągają konkretne zobowiązania. Prowadziliśmy zatem rozmowy z naszymi partnerami, w tym ze stroną żydowską, dowodząc, że nasze starania nie mają nic wspólnego z podważaniem wyjątkowego miejsca byłego obozu Auschwitz-Birkenau. Przeciwnie: wychodzimy z założenia, że pamięć, również materialna, o niemieckich zbrodniach powinna być w Europie bardziej równomiernie rozłożona, ponieważ sami jej nie utrzymamy. Jeżeli zabraknie w Europie materialnych śladów, to nie będzie pamięci. To oczywiste. Ona zresztą już się zmienia. Niedaw-

Wychodzimy z założenia, że pamięć, również materialna, o niemieckich zbrodniach powinna być w Europie bardziej równomiernie rozłożona

no prof. Andrzej Nowak opublikował swoje krytyczne spostrzeżenia z wizyty w Domu Historii Europejskiej w Brukseli, pokazując, jakim ulega ona manipulacjom. Widać więc, że byłe obozy są jedynie elementem większego sporu o historię – o to, jak się rozlicza winy, jak potępiamy nazizm i jak szanujemy ofiary – nie na politycznych wiecach, ale w rzeczywistości. Aby zweryfikować gładkie słowa polityków, wystarczy pojechać na miejsce pamięci w danym kraju i zobaczyć, w jakim jest stanie. Termin „totalitaryzm” z narracji europejskiej wypada, jest wypierany przez bardziej neutralny „reżim”. Podobnie jak podział na wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe, obronne i napastnicze.

Dlaczego Austriacy tak się zachowują? Czy można to odczytywać jako chęć wybielenia się?

Tak właśnie moim zdaniem jest. A jeśli już pamięć o nazistowskim okresie musi być, to niech trwa tylko w jednym miejscu – w byłym obozie Mauthausen. Więcej nie trzeba. Taka postawa powo-

duje, że społeczeństwo nie jest przygotowane ani do upamiętnienia własnej przeszłości ani do rozliczenia się z nią. W tym roku pojechaliśmy z delegacją Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego do Mauthausen w rocznicę wyzwolenia obozu. Zszokowało nas, że podczas składania wieńców obecna na miejscu orkiestra wygrywała wesołe, skoczne melodie. Na przykład gdy kwiaty składała delegacja rosyjska, grano „Oczy czornyje”. To było, przy naszej wrażliwości, nie do pomyslenia.

Czy jako Polska mamy jakieś możliwości działania? Przecież w obozach usytuowanych zarówno w Niemczech, jak i w Austrii zginęło mnóstwo polskich obywateli.

Działać możemy przede wszystkim poprzez struktury międzynarodowe, które mają największą siłę przekonywania. Z tym że intensywne działania trzeba było podjąć wiele lat temu. Jednak tu ciekawa sprawa: sami mieszkańcy Gusen – ci, którzy osiedlili się na miejscu byłego obozu, nie wiedząc często, co to za miejsce – walczyli przez lata z austriackim rządem o należyte zabezpieczenie terenu. Zaczęli działać, gdy zorientowali się, że żyją w miejscu naznaczonym męczeństwem innych ludzi. Mogę wyrazić tylko swój podziw dla nich – nie jest łatwo ścierać się w takiej dziedzinie z własnym rządem.

Jak wyglądają nasze stosunki w tych kwestiach ze stroną żydowską?

Instytut Yad Vashem zareagował bardzo pozytywnie na nasze działania w sprawie zachowania miejsc pamięci materialnej. Podczas obrad forum eksperckiego w Wannsee – nieprzypadkowo odbywającego się w miejscu, gdzie zapadła decyzja o eksterminacji narodu żydowskiego – podjęliśmy jednogłośnie uchwałę, że były obóz w Auschwitz jest miejscem wyjątkowym dla pamięci o Holokauście i niemieckim ludobójstwie, a także, że powinien być wzorem dla innych podobnych miejsc, a stosowane tam praktyki powinny być wdrażane gdzie indziej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**dr hab. prof. IH PAN
Magdalena Gawin** – historyk i eseistka. Od 26 listopada 2015 r. pełni funkcję generalnego konserwatora zabytków. Autorka książek, opracowań, artykułów i wywiadów.

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

**polski
produkt**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

PARTNERZY:



eprasa.pl fbea422e6c

PARTNER MERYTORYCZNY:



ORGANIZATOR:





Agnieszka Niewińska

Od Niezależnej do Pudelka. Huczne przyjęcie u Romana Giertycha zelektryzowało zarówno tabloidy, jak i poważniejsze media. Czy były szef LPR to już klasyczny celebryta?

Policja przerwała balangę u Giertycha, „Morze alkoholu u Giertycha” – donosił w ubiegłym tygodniu „Super Express”, który weekendowemu przyjęciu w willi Romana Giertycha i jego żony Barbary w podwarszawskim Józefowie poświęcił bogato ilustrowaną rozkładówkę. Paparazzi przed posesją adwokackiej pary wypatrzyli wielu gości ze świecznika. Na imprezie stawili się m.in. politycy PO Borys Budka, Bogdan Zdrojewski, Bartłomiej Sienkiewicz, a także Tomasz Nałęcz, doradca byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego, Ryszard Kalisz, były polityk SLD, były premier Kazimierz Marcinkiewicz, a także restauratorka i gwiazda TVN Magda Gessler, która na swoim profilu na Facebooku chwaliła się serią zdjęć z pokładu helikoptera, informując fanów, że tymże środkiem transportu zmierza z Krakowa do Warszawy „do Basi na urodziny”.

WILLA BEZ ŁĄDOWISKA

Kolorowe media donosiły o wykwintnych potrawach z najlepszych restauracji i saksofoniście, który przygrywał gościom. Zamieszczały też zdjęcia tych, którzy przed domem Giertychów wysiadali z aut z butelkami wykwintnych alkoholi w prezencie dla gospodarzy przyjęcia. „Trudno znaleźć bardziej kochające się małżeństwo” – pisał o Giertychach Pudelek. I przypominał, że para poznała się za studenckich czasów, na spotkaniu Młodzieży Wszechpolskiej. „Z czasem jednak oboje doszli do wniosku, że skrajnie prawicowe pomysły, zwłaszcza dotyczące zamykania kobiet w domach, nie sprawdzają się w praktyce” – objaśniał Pudelek.

Największe zainteresowanie wzbudziła jednak interwencja policji. Impreza miała być tak głośna, że sąsiedzi dwukrotnie alarmowali komisariat. Fakt, że w domu państwa Giertychów zjawili się funkcjonariusze policji, potwierdzili mediom zarówno dyżurny z komisariatu w Józefo-



FOT. MARCIN DĄMCOWSKI/FOFUM

Balanga u mecenasa

wie, jak i Anna Kędzierzawska z Komendy Stołecznej Policji. Relacjonowała ona, że najpierw patrol pojawił się u Giertychów po godz. 22 i tylko pouczył imprezowiczów. Po raz kolejny policjanci zaalarmowani przez sąsiadów przyjechali do willi Giertychów po północy, ale gdy przybyli na miejsce, goście już opuszczali posesję.

Większość uczestników imprezy nie chciała komentować sprawy. Bardziej rozmowny okazał się polityk PO Borys Budka. – Byliśmy z żoną na kulturalnym spotkaniu, a dziś czytamy w sieci, że była

to jakaś studencka impreza. Po prostu nas to bawi – mówił Wp.pl. Zapewniał, że u Giertychów nie ma lądowiska, na którym mógłby wylądować helikopter Magdy Gessler.

Poziom decybeli na przyjęciu w podwarszawskim Józefowie okazał się tak ważnym tematem, że nawet telewizyjny „Teleexpress” poświęcił mu kilka sekund, pokazując nagrania sprzed willi Giertychów. – Była superimpreza – zachwalał przyjęcie na antenie Radia Zet Roman Giertych pytany o zamieszanie wokół

spotkania. – Myślę, że to raczej paparazzi przerwali balangę, wzywając policję, bo było im za głośno – stwierdził, dodając, że żadnego mandatu od policjantów nie dostał.

Na swoim profilu na Facebooku nie był już jednak tak powściągliwy w słowach jak na radiowej antenie. „Tak, przyznaję, że w dniu 23 czerwca roku bieżącego dopuściłem się zorganizowania imprezy w moim ogrodzie. Impreza odbyła się w przededniu wigilii połówek pomiędzy miesięcznicami. Podczas przyjęcia zamiast marszów patriotycznych, żałobnych oraz pieśni wojskowych grano piosenki płochę, trzpiotne i cudzoziemskie” – napisał. I wyzłościł się wobec sąsiadów: „Podczas przyjęcia serwowano... alkohol. Nikt go wprawdzie nie nadużył, ale zdaje sobie sprawę ze złego przykładu, który rozsiał się wobec okolicznej ludności znanej z tego, że o podobnych używkach dowiaduje się jedynie z reklam w TVP”. Giertych stwierdził również, że zainteresowanie telewizji publicznej jego przyjęciem wynika z tego, że nie zaprosił na nie Jacka Kurskiego.

OD FRANKENSTEINA DO AUTORYTETU

Chociaż opinia publiczna zdążyła się przyzwyczaić do tego, że Roman Giertych od czasów, kiedy w 2007 r. razem z Ligą Polskich Rodzin przegrał wybory i został na politycznym aucie, przeszedł znaczącą metamorfozę, to jednak wielu jeszcze pamięta, że wśród establishmentu był jednym z najbardziej nienawidzonych polityków prawicy. Kiedy w rządzie PiS został wicepremierem i ministrem edukacji, przed jego resortem często odbywały się protesty. Manifestanci przychodzili z kukłą Frankenstein'a stylizowaną na Giertycha. „Gazeta Wyborcza” zamieszczała relacje z pikiet, podczas których manifestanci na sztandarach wypisywali hasła w rodzaju: „Precz z faszyzującym wicepremierem”, „Znajdzie się łycha na Giertycha”, „Raz, dwa, trzy, cztery odejdź Giertych do cholery”. Opozycja z oburzeniem komentowała jego pomysły na temat walki z agresją w szkole, wychowania patriotycznego, wprowadzania mundurków czy nowej listy lektur. Janusz Palikot, wówczas poseł PO, zorganizował specjalny happening w obronie „Ferdynurke” Witolda Gombrowicza, które Giertych wycofał z listy lektur.

– Roman Giertych zyskał na atrakcyjności wśród elit, kiedy przestał być politykiem. Jako poseł, szef partii i minister

był rzeczywiście niepopularny – przypomina Joanna Gepfert, specjalistka w dziedzinie wizerunku. Jak mówi, recepta na popularność Giertycha na salonach jest prosta. – Wystarczyło przestać być politykiem, postawić się w opozycji do Jarosława Kaczyńskiego i krytykować go w mediach. Dzięki temu zapomniane zostało mu to, że ubierał uczniów w mundurki i przyjaźnił się z Młodzieżą Wszechpolską. Nie pamiętają mu tego nawet ci, którzy dawniej publicznie go za to krytykowali.

Giertych dokonał swego rodzaju ekspiacji, tłumacząc w wywiadach dla „Gazety Wyborczej”, że popełnił w polityce wiele błędów, żałuje niektórych wypowiedzi, a teraz dojrzał. Zapytany przez „GW” w 2012 r. o to, że w 2005 r. chciał przyznać Order Orła Białego o. Tadeuszowi Rydzykowi, powiedział: „To jedna z tych wypowiedzi, których szczerze żałuję”. Wychwalał też Donalda Tuska: „Osiem lat takiej ciężkiej pracy to jest naprawdę bardzo ciężkie, choć jak na ciamciaramcie radzi sobie na piątkę z plusem”. Z łatwością przychodzi mu odcinanie się od Młodzieży Wszechpolskiej, którą reaktywował i którą kierował. „Pan Robert Winnicki jest beznadziejnie durnym prezesem Młodzieży Wszechpolskiej. Nie biorę żadnej odpowiedzialności za to, co on mówi. Nie miałem żadnego wpływu na jego ukształtowanie ani na jego wybór” – tłumaczył w „GW” w tym samym 2012 r. „Kiedy ja w 1994 r. przestałem być prezesem MW, dzisiejsi demonstranci chodzili jeszcze w pieluchach” – dodał.

Jako były polityk Giertych powrócił do zawodu adwokata. I wcale nie rzadziej pojawia się w mediach. Występuje w głośnych sprawach. Reprezentuje ludzi ze świecznika. Został adwokatem byłej żony Janusza Palikota – Marii Nowińskiej, reprezentował Jana Krzysztofa Bieleckiego, Radosława Sikorskiego. Ostatnio pojawił się w prokuraturze z Donaldem Tuskiem i na posiedzeniu komisji śledczej ds. Amber Gold z jego synem Michałem Tuskiem. Często zapraszany jest do TVN w roli komentatora politycznego. Nie stroni od politycznych konferencji z politykami, z którymi wcześniej nie było mu po drodze. Ostatnio chwalił się wspólnym

występem z Bartoszem Arłukowiczem. Na Facebooku chętnie atakuje obóz rządzący. Daje tam popis zdolności epistolograficznych, publikując ironiczne listy i telegramy do niepopularnych polityków. „Całym moim umysłem wspieram dobrą zmianę pomny na naszą długotrwałą znajomość (ach, gdzie te czasy, gdy bawiliśmy się: Pan w polowanie na mnie, a ja w bieg po polu minowym!)” – pisze w poście skierowanym do Jarosława Kaczyńskiego. „Drogi panie Mariuszu! Z informacji polskojęzycznych mediów, które nie zostały jeszcze poddane błogosławieństwu resocjalizacji przez prezesa Kurskiego, dowiedziałem się, że ma pan nowe kłopoty, gdyż pańscy podwładni rozrzucali z helikoptera po polach granaty na Podhalu” – czytamy w poście adresowanym do szefa MSWiA Mariusza

Błaszczaka. „Drogi panie Bartusiu! Na wstępie przepaszam za tak familiarny ton, ale czuję się z Panem, Panie Ministrze, związany. Doniesiono mi bowiem, że w czasach, gdy byłem szefem MEN, to Pan najgorliwiej w swojej szkole odziewał się

w mundurku” – pisze z kolei do Bartłomieja Misiewicza.

NIEUDANY START

Czy przy swoim politycznym zacięciu Giertych może liczyć na coś więcej niż przyjęcia z udziałem polityków i rola naczelnego krytyka PiS? Próbował swoich sił w ostatnich wyborach do Senatu w okręgu podwarszawskim. Tłumaczył, że zrobi wszystko, żeby odsunąć partię Jarosława Kaczyńskiego od władzy, bo – jak powiedział – „PiS to marksizm czystej wody”. Do Senatu się nie dostał. Przegrał z Konstantym Radziwiłłem, dziś ministrem zdrowia.

Zdaniem Gepfert Giertycha będziemy coraz częściej widywać w tabloidach i na plotkarskich portalach, a nie w polityce. – Bycie celebrytą mu się opłaca i jest przydatne w jego działalności adwokackiej – mówi. – Aktywność Giertycha w mediach społecznościowych, podskoki na marszach KOD, a także to, że jako adwokat reprezentuje ludzi ze świecznika, tylko dodają mu atrakcyjności w oczach redaktorów tabloidów i plotkarskich portali – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. FOTOLIA



Piotr Gociek

Historia narodzin imperium McDonald's to aktorski popis Michaela Keatona i ciekawa przypowieść o naturze kapitalizmu

Mclmperium" – tytuł średnio zachęcający. Film właśnie pojawił się w Polsce na płytach DVD. Gdyby nie Michael Keaton, nigdy bym po niego nie sięgnął. Jednak „Birdman” (2014) pokazał, że choć Keaton wchodzi w wiek emerytalny, to nie chce zadowolić się drugoplanowymi rolami w filmach nieistotnych (takich jak „RoboCop” i „Policja zastępcza”) czy dubbingiem w animacjach i chciałby jeszcze grać serio. Występ u Alejandra Iñárritu okazał się dla Keatona rolą życia, po niej jeszcze była przyzwoita kreacja w przecenionym dramacie „Spotlight” (2015). Od tej pory wiadomo było, że złoty chłopak przełomu lat 80. i 90. (dwa „Batmany”, „Sok z żuka”) to znowu ktoś, kogo karierę warto śledzić uważnie.

No i gdyby nie Keaton, wyłączyłbym odtwarzacz po 20 minutach, bo główne pytanie, które pojawiło się w mojej głowie, brzmiało: „Co to jest, do cholery?! Bardzo rozbudowana reklamówka sieci McDonald's?”. Zresztą taka akcja byłaby całkiem zrozumiała, biorąc pod uwagę to, ile hałasu narobił film „Super Size Me”, którego bohater przez miesiąc odżywiał się wyłącznie fast foodem – z opłakanym skutkiem.

ODKRYCIE KOMIWOJAZERA

Na szczęście Keaton pojawił się już w pierwszej scenie filmu i ucapił uwagę widza. Oto starzejący się z wolna komiwojażer Ray Kroc, który wędruje od restauracji do restauracji, próbując sprzedać właścicielom mikser pozwalający na przygotowanie pięciu shake'ów jednocześnie. Idzie mu słabo, a właściwie wcale. Nie jest to pierwszy wynalazek, którego promowaniu poświęca czas (i własne pieniądze). Ray to człowiek głęboko wierzący w amerykański sen (kiedy wątpi, słucha płyt z pogadankami motywacyjnymi) – że jeśli będzie odpowiednio ciężko pracował i odpowiednio cierpliwie szukał właściwego pomysłu, to drzwi do bogactwa otworzą się przed nim na oścież.



Przyszłość jest hamburgerem

Kiedy pewnego dnia jeden z klientów nieoczekiwanie zamawia sześć cudownych mikserów, Kroc nie może oprzeć się ciekawości i rusza do San Bernardino zobaczyć na własne oczy biznes tego dziwaka. Dziwaków jest dwóch, to bracia Richard i Maurice McDonald. A ich restauracja w niczym nie przypomina odwiedzanych dotąd przez Raya, gdzie karmiono fatalnie, obsługa była kiepska, a czas oczekiwania beznadziejnie długi. W owych czasach bowiem – warto przypomnieć – czyli przed wynalezieniem fast foodów, przydrożny biznes nie różnił się od tradycyjnego, restauracyjnego, niczym oprócz dużych parkingów. Kierowca parkował, czekał w aucie na kelnerkę, ta przynosiła menu. Kierowca składał zamówienie, a po 20 czy 30 minutach dostawał obiad.

W restauracji braci McDonaldów sytuacja wyglądała inaczej – czas przygotowania burgera wynosił 30 sekund, wszystkie (poza jedzeniem) elementy posiłku można było wyrzucić – kubek po napoju, papierową torebkę, serwetki. Żadnych tradycyjnych sztuczków, talerzy do zmywania, żadnej dodatkowej obsługi – podchodzisz do okienka, zamawiasz, dostajesz, zjadasz, odchodzisz. Dzisiaj to rzecz oczywista, wtedy był to przewrót iście kopernikański.

Ray Kroc zafascynowany był tym pomysłem i natychmiast zaczął zastanawiać się, w jaki sposób ten biznes rozszerzyć na inne miasta oraz stany. Jako człowiek przedsiębiorczy wziął się do roboty osobiście, podpisując bardzo restrykcyjną umowę, wedle której nie wolno było mu wprowadzać żadnych zmian do sposobu



FOT. DANIEL MCARDEN

działania, menu czy wyglądu restauracji, i godził się na bardzo niewielki procent zysków. Co oczywiście doprowadziło do katastrofy: Kroc stanął na skraju bankructwa, a perspektywy biznesowe wyglądały czarno. Co z tego, że miał chętnych na otwieranie kolejnych restauracji, jeśli powiększanie sieci oznaczało tak naprawdę powiększanie strat?

PODWAŁINNY POTĘGI

Tutaj wypada przerwać opowieść, bo dochodzimy do tych zaskoczeń, których ujawnienie zepsułoby widzowi seans. Zwróćmy za to uwagę na samego Raya Kroca. Jego cudowne pomysły na zarobek od lat coraz bardziej martwią żonę, a jego chamska wręcz ekspansywność irytuje braci McDonaldów, którzy wymarzyli sobie rodzinny biznes z duszą, oparty na niezmiennych zasadach. W roli żony pojawia się świetna Laura Dern, która im dojralsza, im dalsza od wizerunku trzpiotowatej Luli z „Dzikości serca”, tym lepszą jest aktorką.

Biznes słabo miksuje się z miłością czy choćby małżeństwem (choćby mieszać pięcioma mieszadełkami), więc Kroc i żona oddalają się od siebie. To przy okazji podpatrywania tej relacji odkrywamy drugą twarz bohatera – jest nie tylko tytanem pracy, lecz także hazardzistą, gotowym zaryzykować wszystko dla

biznesu. Niekoniecznie musi być to cecha sprzyjająca budowie ciepłego rodzinnego gniazdko. Im bardziej opętany swoimi pomysłami, tym bardziej nieczuły jest Ray.

To, co najważniejsze, dzieje się pod koniec filmu, kiedy wreszcie dowiadujemy się, jak położono podwaliny pod współczesne imperium sieci McDonald's i dlaczego na plakacie filmu to właśnie Ray występuje jako postać tytułowa (w oryginale film nosi tytuł „The Founder” – „Założyciel”).

Ostateczna rozgrywka z braćmi McDonald będzie ostra, ale równie ciekawa jak prawnicze kruczki okaże się tu przemiana Raya. Człowiek, który na początku opowieści robił wrażenie nieudacznika, który z uporem godnym lepszej sprawy łąduje się w sprawy beznadziejne, naraz błyska morderczym uśmiechem nieczułego rekina biznesu. Ale zaraz, zaraz, czy to rzeczywiście przemiana? Czy Ray właśnie taki był od samego początku, a my, widzowie, daliśmy się zwieść?

Niedawno w filmie Davida O. Russella „Joy” (2015) oglądaliśmy narodziny innego śmieciowego wynalazku – rewolucyjnego mopa wymyślonego przez Joy Mangano

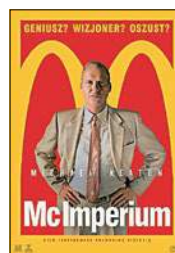
(grała ją Jennifer Lawrence). Zarówno tam, jak i w filmie „McImperium” irytuje trochę to, że historia głównych bohaterów opowiadana jest w sposób podobny do tego, w jaki Hollywood prezentuje nam biografie genialnych naukowców czy wybitnych pisarzy albo reżyserów. A przecież obserwujemy tylko – hmm, jak by to powiedzieć, aby nikogo nie urazić – przełomy nieco niższego rzędu – w „Joy” to kawałek kija ze sznurkami na końcu, w „McImperium” bułka z dwoma piklami w papierowej torebce. Jednakże czyż nie są to właśnie bohaterowie naszej współczesności? Takie przełomy, jakie czasy – brak współczesnych Leonardów da Vinci.

SIŁA PIENIĄDZA I... IDEI

Jednak druga połowa „McImperium” kieruje nas w stronę nieco innych przemysłów i sytuuje tę historię wśród filmów, które bezpośrednio reagowały na ostatni wielki kryzys finansowy. Było tych propozycji kilka, większość bardzo ciekawa – „Chciwość”, „Big Short”, „Wilk z Wall Street”. We wszystkich pojawia się kwestia podstawowa dla zrozumienia wydarzeń roku 2008 (krach banki kredytowej w USA). To znaczy na ile mieliśmy do czynienia z efektem zwykłych, ludzkich grzechów, a na ile taki obrót wydarzeń wywołany był felerem w samej konstrukcji kapitalizmu. Czy może – precyzując – pewnej specyficznej wersji kapitalizmu, która panowała przez ostatnie dekady. Dyskusja o bezduszości korporacji, klęsce firm

rodzinnych, o tym, czy w czasach globalizacji pewne zmiany są nieuniknione, czy może to my daliśmy sobie wmówić, że uniknąć ich się nie da, i tym samym sami stworzyliśmy drogę do zjawisk niepożądanych.

Jest także „McImperium” filmem o władzy, o niepowstrzymanym pędzie do sukcesu, który da się odnieść tylko wtedy, gdy jesteśmy wystarczająco bezlitośni i wystarczająco uparci. Oczywiście naga siła nie wystarczy, trzeba jeszcze zaślonić ją chwytliwą ideą. Wiedzą o tym politycy, wodzowie, przywódcy rewolucji – wiedział o tym i Ray Kroc, sprzedając swoją wizję lepszej Ameryki. Czasem przyszłość ma kształt hamburgera.



★★★★★
REŻ. JOHN LEE HANCOCK
„MCIMPERIUM”
 („THE FOUNDER”)
USA 2016,
MONOLITH

wyst. Michael Keaton, Laura Dern, Nick Offerman, John Carroll Lynch

PIOTR WŁOCZYK: Do stycznia w Muzeum Narodowym w Krakowie będzie wyjątkowa wystawa...

ANDRZEJ SZCZERSKI:

Ekspozycja „#Dziedzictwo” to największa od lat wystawa w muzeum, na której zobaczyć można ponad 600 najcenniejszych eksponatów z kolekcji MNK, największego pod względem liczby zbiorów i najstarszego muzeum narodowego w Polsce. To także wprowadzenie w obchody setnej rocznicy odzyskania niepodległości.

Pewnie niejedyni odwiedzający będzie się zastanawiał: Co ma hasztag do naszego dziedzictwa narodowego?

Hasztag to w Internecie symbol toczącej się dyskusji. „#Dziedzictwo” ma właśnie odzwierciedlać dyskusję o dziedzictwie toczoną przez dekadę i przedstawiać proces powstawania naszego skarbcza narodowej pamięci. Mimo że na wystawie nie brakuje naprawdę wiekowych eksponatów, to za pomocą hasztagu chcę podkreślić, że o dziedzictwie należy mówić w sposób jak najbardziej współczesny.

O jak bardzo wiekowych eksponatach mówimy?

Nasz najstarszy eksponat ma ponad tysiąc lat. To denar pochodzący z okresu tuż po roku tysięcznym. Widać na nim świadectwo najwcześniejszego w naszej historii użycia nazwy „Polska” – Bolesław Chrobry jest tu nazwany po łacinie „Princes Polonie” („Władca Polski”).

Denar ma olbrzymią wartość, ale napisy na nim są niemal mikroskopijnej wielkości (denar odpowiada średnicy pięćdziesięciogroszówki), dlatego zwiedzający będą mogli skorzystać ze specjalnej gabloty ze szkłem powiększającym, aby je dokładnie obejrzeć.

Jak w uporządkowany sposób przedstawić na jednej wystawie tak



pojemne zagadnienie jak dziedzictwo narodowe?

Wystawę podzieliłem na cztery kategorie. Zaczynamy od geografii. Pokazuję w tym dziele zarówno historyczne mapy Rzeczypospolitej, jak i dowody obecności Polaków w świecie, o których często nie pamiętamy. Na przykład o odkryciach badacza Afryki Stefana Szolc-Rogozińskiego w Kamerunie w XIX w., kiedy na mapie tego kraju wciąż było wiele białych plam, a także o osiągnięciach budowniczego Kolei Transandyskiej w Peru i Ekwadorze Ernesta Malinowskim.

Drugim działem wystawy jest język w naszej historii.

Czyli – wbrew pozorom – to bardzo różnorodny temat.

Tak, ponieważ w Rzeczypospolitej na przestrzeni wieków mówiło się wielo-

ma językami. W tej części najwięcej miejsca zajmują zabytki języka polskiego, od Kochanowskiego do autografów Norwida, Wyspiańskiego i wieku XX. Są także m.in. komentarze do Biblii w języku litewskim, przedmioty kultu religijnego opisane po hebrajsku i statut Wielkiego Księstwa Litewskiego napisany po białorusku. Ciekawostką będzie z pewnością fragment wystawy poświęcony esperanto. To w końcu również – dzięki dokonaniom Ludwika Zamenhofs z Białegostoku – element naszego dziedzictwa narodowego. Na wystawie pokazuję efektowny plakat reklamujący bal esperantystów, który odbył się w Krakowie w 1911 r.

Trzecia kategoria to obywatele. Pokazujemy obywateli Polski z różnych epok

poprzez ich portrety. Nie tylko malarskie, lecz także m.in. rysunkowe i fotograficzne. Opowiadamy o nich, także pokazując ich wyjątkowy dorobek. Wyróżnić tu można Jana Heweliusza, gdańszczyzanina, obywatela Rzeczypospolitej, którego badania astronomiczne finansował osobiście Jan III Sobieski. W naszej kolekcji mamy dzieło jego życia: mapę Księżycy z lat 40. XVII w.

Co zamyka wystawę?

Ostatnią kategorią jest obyczaj, czyli polska „potęga smaku”, wygląd naszych mieszkań, strojów, a także takich detali jak nakrycia stołowe i zegarki. Rarytasem w muzealnej kolekcji są zegarki Antoniego Patka, twórcy słynnej szwajcarskiej firmy zegarmistrzowskiej. Nie każdy wie, że to nasz rodak, który po powstaniu listopadowym wyemigrował do Szwajcarii. Na wystawie pokazujemy dwa zegarki związane wprost z Polską: jeden z podobizną Kościuszki, a drugi z Rejtanem.

Na który eksponat – poza denarem Chrobrego – zwiedzający powinni zwrócić pańskim zdaniem szczególną uwagę?

Najcenniejszy pod względem historycznym jest z pewnością egzemplarz „O obrotach sfer niebieskich” Mikołaja Kopernika, pochodzący z biblioteki Zygmunta Augusta. To dzieło absolutnie bezcenne.

Jeśli chodzi o wartości emocjonalne, szczególnie polecam uwagę mapę przedrozbiorowej Rzeczypospolitej wykonaną w 1858 r. przez Ewelinę Pełczyńską z Szymbarku z jej własnych... włosów. W tamtych czasach przechowywanie włosów np. bliskiej osoby było wyrazem pamięci i uczuć wobec niej. W tym przypadku autorka chciała pokazać swoją miłość do utraconej Polski.

© 2018 Wszelkie prawa zastrzeżone

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/
epraśa.pl fbea422e6c





FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Tęsknię za tobą, Serbie



★★★★★

REŻ. GORAN
RADOVANOVIĆ
„ENKLAWA”
(„ENKLAVA”)
SERBIA/NIEMCY
2015

wyst. Filip Šubarić,
Denis Murić,
Nebojša Glogovac

Cóż tam panie w polityce? „Albańczyki trzymają się mocno”. Tak mógłby brzmieć typowy dialog na współczesnym weselu. Kto by pomyślał, że rodacy Matki Teresy okażą się największymi beneficjentami politycznego trzęsienia ziemi na Bałkanach? A na przeciwnym biegunie znajdują się Serbowie – najliczniejszy i najbardziej bitny z narodów południowo-włosłowiańskich. Mieli i oni swoje szanse, lecz popisowo je zaprzepaścili. Nie umieli oprzeć się pokusie zdominowania sąsiadów, przemoc wróciła jednak bumerangiem, zaś Wielka Serbia okazała się fatamorganą. Dzisiaj liżą rany, pielęgnują mit niewinnej ofiary i produkują filmy takie jak „Enklawa”.

Akcja rozgrywa się w Kosowie, historycznej koloibce Serbów. Dawny naród panujący został zepchnię-

ty do roli niechcianej mniejszości. Dziesięcioletni Nenad do szkoły musi dojeżdżać transporterem opancerzonym KFOR. Oprócz niego prawosławną społeczność reprezentują tu wiecznie pijany ojciec, dziadek, który uparł się umrzeć na ziemi przodków, i pop koczujący w ruinach zburzonej cerkwi. Wszyscy inni uciekli do Mitrowicy albo Belgradu, gdzie spotykają się z niechęcią lub w najlepszym razie obojętnością rodaków.

Napisy „UČK” na ścianach domów w opustoszałej wiosce nie pozostawiają cienia wątpliwości, kto był sprawcą tego exodusu. „Jak śmiesz wjeżdżać na terytorium Kosowa z rozbitą szybą!” – słyszy kierowca obrzuconego kamieniami autobusu. Państwowa policja rozbraja tylko Serbów. Stacjonujące w republice siły międzynarodowe

udają bezstronność, a w rzeczywistości popierają Albańczyków. Ci ostatni to dzikusy, złodzieje i barbarzyńcy, którzy nawet zmarłych nie chcą zostawić w spokoju. Wojna oficjalnie się skończyła, lecz oba narody tkwią w klinczu, podobnie jak bohaterowie „Ziemi niczyjej” Tanovicia oraz innych filmów nakręconych przez reżyserów urodzonych w Jugosławii. Żadnej nadziei na przerwanie zakłętego kręgu zemsty i odwetu nie widać. Kolejna tragedia wisi w powietrzu.

Serbów pracujących dla nowej władzy Radovanović piętnuje jako kolaborantów. Jasno daje do zrozumienia, że w Kosowie nawet dzieci są zarażone nienawiścią. Nadzieja na pojednanie pojawia się więc trochę na zasadzie deus ex machina. Nenad dobrze się czuje w towarzystwie muzułmańskich rówieśników? Dorośnie, to mu przejdzie. Albańczycy wkrótce zaś odkryją, że wolność ma gorzki smak.

„Enklawa” obejdzła międzynarodowe festiwale, reżyser wyklada w szkole filmowej na Kubie. Bałkański kocioł trochę ostygł, ale nie bądźmy naiwni. Kiedy tylko świat zajmie się innymi sprawami, odwróci wzrok od Belgradu, Prisztiny, Skopje i Sarajewa, historia znowu zerwie się z łańcucha. © ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BABY DRIVER”

Autor świetnych komedii „Wysyp żywych trupów” i „Hot Fuzz – Ostre psy” tym razem opowiada historię młodziśca – mistrza kierowcy – wkręconego w pracę dla króla przestępczego świata Atlanty. Czy wyjściem z zakłętego kręgu okaże się spotkanie z piękną femme fatale?

Uwagę zwraca galeria świetnych aktorów na drugim planie – m.in. Kevin Spacey i Jamie Foxx. © ©

Piotr Gociak

• „Baby Driver”, reż. Edgar Wright,
wyst. Ansel Elgort, Lily James, Kevin
Spacey, Wielka Brytania 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Volta”, reż. Juliusz Machulski,
Polska 2017 (recenzja na str. 53)
- „Darkland” („Underverden”),
reż. Fenar Ahmad,
Dania 2017
- „Enklawa” („Enklava”),
reż. Goran Radovanović,
Serbia/Niemcy 2015 (recenzja powyżej)

W kinie w Lublinie

Juliusz Machulski znów próbuje wrócić do korzeni. Niestety, forma z czasów „Vabanków” uleciała chyba bezpowrotnie.

Reguły gatunku wymagają, by na dudka został wystrychnięty osobnik, który uważa siebie za największego spryciarza, a resztę ludzkości za ćwoków. Taki właśnie jest spin doktor Bruno, planujący posadzić na prezydenckim fotelu prostaka z Partii Socjalistyczno-Narodowej. Korona Kazimierza Wielkiego spada mu jak z nieba, bo „swołeczeństwo” lubi patriotów, a każdy wyborca miał kiedyś w ręku banknot 50-złotowy.

„Vinci” promował Kraków. „Volta” ogrywa atrakcje Lubelszczyzny. Pierwsza stolica

Polski Ludowej świętuje 700-lecie praw miejskich, więc w filmie upchnięto nawet reklamę pięciogwiazdkowego hotelu i lotniska. Zamek w Janowcu robi zaś za hiszpański klasztor. Nic, tylko zapaść się w fotel i kontemplować, akcja

rozgrywa się bowiem w żółtym tempie.

Andrzej Zieliński grający Bruna i Michał Żurawski jako czytany ochroniarz Dycha dają radę. Jacek Braciak tradycyjnie wymiata. Natomiast postaci kobiet zostały fatalnie napisane, co w filmie o skrajnie feministycznej wymowie zakrawa na sabotaż. Potencjalnych widzów ostrzegam: nie oglądajcie zwiastuna! Są w nim najlepsze dowcipy. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. JULIUSZ MACHULSKI
„VOLTA”
POLSKA 2017

wyst. Andrzej Zieliński, Olga Bołądź, Aleksandra Domańska



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOCIE SPRAWY

Nowe idzie. Czy jednak tak bardzo? Książki-gry para-grafowe modne były ćwierć wieku temu (na koniec każdej sceny to czytelnik decydował, którą odnogę fabuły wybiera, i przechodził do wskazanej strony). Teraz to samo rozwiązanie

testuje telewizyjna odnoga studia Spielberga, czyli DreamWorks na zlecenie serwisu Netflix. „Kot w butach: Uwięziony w baśni” to krótki film animowany, w którym o losach głównego bohatera decyduje widz za pomocą pilota. Frajda trwa od 20 do 40 minut, czyli zdecydowanie za krótko, bo rzecz jest zabawna i zrealizowana z takim samym pietyzmem jak serial telewizyjny oraz film kinowy o przygodach zadziornego mruczka, którego poznaliśmy w filmach o Shreku. 14 lipca dzieciaki czeka kolejna „interaktywna” premiera – „Buddy Błyskawica”. „Zaczęliśmy od programów dla dzieci, bo najmłodszy chętnie »bawią się« ze swoimi bohaterami i lubią korzystać z ekranów dotykowych” – tłumaczy Carla Engelbrecht Fisher z Netflixu. ©©



wyst. Eric Bauza, Jayma Mays, Maria Bamford

★★★★★

REŻ. ROY BURDINE, JOHNNY CASTUCIANO
„KOT W BUTACH: UWIEJONNY W BAŚNI” („PUSS IN BOOK: TRAPPED IN AN EPIC TALE”)
USA 2017, NETFLIX

A TO TAKIE KLOCKI

Zabawny film „LEGO: Przygoda” był jedną z niespodzianek roku 2014. „LEGO Batman” jest równie wesoły, utrzymany w zawrotnym tempie, ale przepełniony większą liczbą aluzji do znanych dzieł popkultury. W jakim innym miejscu moglibyście zobaczyć obok Batmana i Jokera także Godzillę, King Konga, Voldemorta, Saurona, agentów Smithów z „Matrixa” itd. Przede wszystkim jest to jednak opowieść z morałem o uczuciach. Samolubny Batman pobiera tu trudną lekcję na temat przyjaźni i rodziny. Podziw budzi zrezygnowanie, z jaką cała ta historia pasuje do emocjonalnych rozterek „prawdziwego” Batmana, a jednocześnie zamienia się w ciepłą komedię rodzinną. Film jest też kapitalną parodią wykiwającą kinową rozrywkę, pokazującą, jak cienka jest linia między tym, co w blockbusterach sprzedawane jest w miarę na poważnie, a czystym absurdem.



wyst. Will Arnett, Michael Cera, Rosario Dawson

★★★★★

REŻ. CHRIS MCKAY
„LEGO BATMAN: FILM” („THE LEGO BATMAN MOVIE”)
USA 2017, GALAPAGOS

©© recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „THE ELDER SCROLLS ONLINE: MORROWIND”

Trzecia część serii „The Elder Scrolls”, czyli „Morrowind”, powszechnie jest uważana za jedną z najlepszych gier RPG. Z tym większą ekscytacją przyjęto zapowiedź powrotu w znane rejony Tamriel w dodatku do popularnej sieciowej odsłony tytułu. Gracz łąduje na wyspie Vvardenfell, nad

którą (dosłownie) wisi widmo zagłady. Boski strażnik Vivec traci moc, dzięki której powstrzymuje meteoryt przed upadkiem. Oczywiście to właśnie my musimy ruszyć z pomocą. Gra oferuje nową klasę bohatera – Strażnika, nowe lokacje oraz sporo nowych questów. Dla fanów podstawki –



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

warto, choć ilość nowej zawartości nie powala. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** MMORPG
- **Platforma:** PC/PS4/Xone
- **Producent, dystrybutor:** ZeniMax Online/Cenega
- **PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Tym gorzej dla faktów

Z dzieciństwa pamiętam, że w domowej bibliotece były dwie książki o Wilnie: wydany w 1958 r. przez oficynę Literatūros Leidykla dwujęzyczny (litewski i rosyjski) album „Vilnius”, w którym niechętnie wspominał II Rzeczpospolitą nazywano Polską burżuazną republiką, a reprezentacyjną ulicą Wilna – dziś Gedymina (dawny Jerek, czyli w skrócie Georgijewskij prospekt, za Polski – Mickiewicza, za późniejszej komuny – Lenina) – była jeszcze prospektem Stalina, oraz kompletnie zaczytane przez ojca „Wilno” Jerzego Remera, ze słynnej serii „Cuda Polski”, jakimś cudem ocalałe sprzed wojny. Dzisiaj tytuły odnoszące się do tej Florencji północy, „miasta – jak pisał Remer – wielkich gestów o wdzięku zmiennego oblicza, miasta silnych skrótów perspektywy we fragmentach z dala z wyniosłości widzianych, miasta śpiewnego w graficznych zarysach i w harmoniach barw naturalnych i przybranych”, nie mieszczą mi się na trzech półkach. Ostatnio przybyła mi jednak pozycja, dla której musiałem znaleźć miejsce, i to honorowe: wydany przez Arkady „Leksykon zabytków architektury Kresów północno-wschodnich”.

Trzy lata temu ci sami autorzy, Magda i Mirek Osip-Pokrywka, w tej samej oficynie opublikowali bliźniaczy „Leksykon zabytków architektury Kresów południowo-wschodnich”, teraz przyszła kolej na Kresy północno-wschodnie. W nowym leksykonie autorzy omówili 550 zabytków znajdujących się obecnie w granicach Białorusi, Litwy, Łotwy oraz Rosji – w granicach obwodu kaliningradzkiego. Z historycznego, jak również geograficznego punktu widzenia usytuowane są one na terenach północnej części Rzeczypospolitej Obojga Narodów z końca XVI w. i terytoriach zależnych, tzw. lennach: obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego, w kształcie



FOT. ARCHIWUM, IM. OSIP-POKRYWKA

po Unii Lubelskiej, Inflanty oraz lenne księstwa Prus Książęcych oraz Księstwa Kurlandii i Semigalii.

Tutaj ciekawostka: samo Wilno jest w leksykonie potraktowane – rzec można z pewną przesadą – po macoszemu. Jak wyjaśniają, nieco się sumitując, twórcy albumu – „przechodząc głównymi ulicami starej części nadwilejskiego grodu, odrębne hasła można dedykować prawie każdej z napotkanych kamienic”. Dość powiedzieć, że w samym Wilnie znajduje się ok. 1,5 tys. zabytkowych obiektów. Jednak oczywiście to wszystko, co decyduje o wyjątkowości Wilna i jego fundamentalnego znaczenia dla polskiej historii i kultury, jest tu obecne. W końcu przez długie lata była to równoprawna stolica państwa i siedziba jego władców, a za sprawą Uniwersytetu Wileńskiego stało się Wilno, do czasów represji po powstaniu styczniowym, najsilniejszym ośrodkiem naszej kultury na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej.

Wielkie Księstwo Litewskie w granicach Litwy przypominają

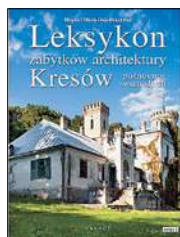
nam ponadto zabytki znajdujące się w Billewiczach i Birzach, Solecznikach i Taurogach, Druskiennikach i Duksztach, Poniewieżu i Rakiszkach. I tak można wymieniać długo, długo jeszcze, aż do drzewnego „rezerwatu pamięci Józefa Piłsudskiego” w Zułowie.

Ozdobą innej części leksykonu, poświęconej Wielkiemu Księstwu Litewskiemu w granicach Białorusi, są – rzecz jasna – zamek w Mirze i zespół pałacowy Radziwiłłów w Nieświeżu, po rekonstrukcji najczęściej odwiedzany obiekt turystyczny na Białorusi. Jednak uważny czytelnik nie przegapi zapewne Starych Wasiliszek z domem rodzinnym Czesława Niemena, mieszczącym obecnie skromne muzeum artysty.

W rozdziale obrazującym Inflanty zwraca uwagę Kirchholm z pomnikiem w miejscu tak chwalebnej dla polskiego oręża bitwy, ale i z informacją, że to tam w czasie wojny zlokalizowany był największy w krajach bałtyckich obóz koncentracyjny (niem. Kurtenhof), gdzie poniosło śmierć 100 tys. ludzi.

Na koniec mamy wreszcie opisane Prusy w granicach Rosji czyli obwód kaliningradzki z Tyłżą, Ragnetą, Alemborkiem i – co się rozumie samo przez się – z Królewcem.

Wielkim atutem leksykonu jest jego aktualność. Ponad 560 kolorowych zdjęć tu pomieszczonych to efekt podróży autorów po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, dokumentacja powstała ledwie trzy lata temu. Fotografie mówią więcej niż słowa, gdyż fatalny stan wielu obiektów nie potrzebuje żadnych komentarzy. Jednak trzeba też przyznać, że np. rekonstrukcje przeprowadzone na Białorusi w pierwszych latach obecnego wieku budzą uzasadnione nadzieje. Cóż, pozostaje cierpliwie czekać, wspomagać i – najważniejsze – nie zapominać. Bo to Polska właśnie, choć fakty temu przeczą. ©



★★★★★
**MAGDA I MIREK
OSIP-POKRYWKA**
**„LEKSYKON
ARCHITEKTURY
KRESÓW
PÓŁNOCNO-
-WSCHODNICH”**
**ARKADY,
WARSZAWA 2017**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Długie łodzie wikingów

Ragnar Lodbrok podbił serca widzów dzięki serialowi Michaela Hirsta „Wikingowie”, ale jego legenda liczy sobie tysiąc lat. Nieważne, czy istniał naprawdę, ważne, co o nim opowiadano i jak kolejne pokolenia wyobrażały sobie chwalebne czyny bitnych wodzów z Północy. „Dotyczące Ragnara sagi – pisze Artur Szrejter – są efektem końcowym długiego procesu kompilacji nie tylko przekazów mitycznych, legendarnych i ludowych o wielu różnych herosach, ale także wspomnień o czynach realnie istniejących wodzów i królów”.

Szrejterowa „Legenda wikingów” (podtytuł: „Opowieści o Ragnarze Lodbroku, jego żonach i synach”) przynosi polski przekład XIII-wiecznej sagi islandzkiej o Ragnarze oraz fragmentów poświęconych tej postaci w kronice „Czyni Duńczyków” Saxona Grammaticusa (XII–XIII w.). Jednak by ułatwić współczesnemu czytelnikowi odbiór archaicznych tekstów, autor po dokonaniu wiernego filologicznego tłumaczenia poddał całość beletryzacji. Efekt jest świetny, bo książkę czyta się dobrze, ale jednocześnie w żadnym momencie nie tracimy poczucia, że obcujemy z autentycznymi tekstami. Jest to więc inna droga niż ta, którą obrali swego czasu Kornelia i Stanisław Dobkiewiczowie,

pisząc powieść „Kruk Odyna” (także godną polecenia), którzy stworzyli barwną powieść przygodową, wykorzystując te same motywy.

Dla miłośników serialu „Wikingowie” przyjemnością będzie odkrywanie, które wydarzenia i w jaki sposób inspirowały jego scenarzystę. Miłośnicy historii z uznaniem powinni powitać kolejną pozycję na półce ze źródłami. Ładnie zbeletryzowaną wersję sagi można też czytać po prostu dla przyjemności. Szrejter wygrywa więc na kilku polach. Zwłaszcza że „ród Lodbroka składał się z bohaterów, których nazwę umownie „totalnymi” – zwraca uwagę Szrejter. Legenda przypisuje im niemal wszystkie czyny słynnych konungów wikingów (podobne dalekie i bliskie, zwycięstwa nad baśniowymi stworami, niezwykłą mądrość i nadzwyczajne umiejętności w boju, miłość najpiękniejszych kobiet, szacunek lub lęk wielkich władców okolicznych krain).

Zauważmy, że anonimowi autorzy dawnych przekazów postąpili jak współcześni scenarzyści, którzy dla urody opowieści skompresowali wszystkie te cuda w jedną historię, a w jej centrum postawili Ragnara. Mitotwórcza rola seriali? Tak właśnie jest, bez wątplenia. Przecież stulecia mijają, a potrzeby odbiorców pozostają niezmiennie. Saga to taki serial mówiony. © ©



★★★★★
ARTUR SZREJTER
„LEGENDA WIKINGÓW”
IW ERICA 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Autorka bestsellerowej biografii Simony Kossak opowiada historię Wandy Rutkiewicz, najsłynniejszej polskiej alpinistki, pierwszej Europejki na szczycie Mount Everestu, która zaginęła w 1992 r., zdobywając Kancenzongę.



ANNA KAMIŃSKA
„WANDA. OPOWIEŚĆ O SILE ŻYCIA I ŚMIERCI”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Przystępne kompendium wiedzy dla mało- i średnio-zaawansowanych miłośników historii. Autorzy skupili się na zamkach i arystokracji w Wielkiej Brytanii, przydałoby się odpowiedzieć dziełom polskich popularyzatorów.



FRANCES GIES, JOSEPH GIES
„ŻYCIE W ŚREDNIO-WIECZNYM ZAMKU”
ZNAK

Bruno Jasiński palił Paryż, Paweł Majka zgotował okrutny los miastu Krakowowi. Stosy ciał na rynku, bezrozumny szal ludzi niszczących wszystko i wszystkich – kolejna propozycja polskiej literatury post-apo, bardzo sprawnie napisana.



PAWEŁ MAJKA
„BERSERK”
FILIA

Jak oderwać dzieci od telewizji i smartfona? Bardziej się postarać. Wspólne wycieczki, malowanie, lepienie, gotowanie. Krok po kroku – podpowiada autorka. Czyli zgodnie z podtytułem „21 przepisów na twórcze popołudnie”. © ©



RENATA KOCHAN
„KREATYWNE DZIECI”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jay Asher „13 powodów” (Rebis)** – śmierć nastolatki objaśniana przez nią na taśmach pozostawionych po samobójstwie. Także serial Netflixa.
2. **Paula Hawkins „Zaplane w wodzie” (Świat Książki)** – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z pociągu”.
3. **Keri Smith „Zniszcz ten dziennik. Nowy” (K.E. Liber)** – kolejna odsłona najgłupszego przedsięwzięcia w dziejach literatury. Niby że darcie książek uczy ich czytania.
4. **Nela „Nela i skarby Karaibów” (Burda NG Polska)** – kolejna podróż małej reporterki – tym razem śladami Kolumba.
5. **Wojciech Miłoszewski „Inwazja” (W.A.B.)** – atak wojsk Rosji na Polskę, czyli jak na zlecenie dużego wydawnictwa przetworzyć to, o czym paru autorów pisało już lepiej, tyle że dla małych oficy.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik między 29 maja a 18 czerwca 2017 r.)



Niech pieśń nie milknie

Niemal od ćwierćwiecza obserwuję Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą i za każdym razem, widząc wykruszające się grono starych artystów, zadaję sobie pytanie, jak długo jeszcze będziemy mogli spotykać się z muzykantami w tym miejscu?

W pierwszych powojennych dekadach, wraz z elektryfikacją i upowszechnieniem radia, muzyka rozrywkowa zaczęła wypierać kapele wiejskie. Pokoleniowa sukcesja w rodzinach muzykantów przestała mieć ekonomiczne uzasadnienie. Synowie ludowych artystów wsiadali do PKS i jechali na wielkie budowy socjalizmu. Dlatego organizatorzy festiwalu, wzmocnieni siecią terenowych współpracow-



Kazimierz Dolny, 2017 r. FOT. WALDEK NOWIŃSKI

ników, zadbali, by wiejscy artyści mieli motywację do grania, żeby mogli pojawić się na ogólnopolskiej scenie. A tutaj od początku było Polskie Radio, z czasem pojawiły się telewizyjne kamery, przyjeżdżają pasjonaci, znawcy i turyści z całej Polski. Tutaj wiejscy muzykanci mogą się pochwalić swoją muzyką i kunsztem wykonania. Wszystko to w rygorach konkursu, z premiami pieniężnymi, medialnym prestiżem, jaki niosą zdobyte nagrody.

Jury festiwalowe to najlepsi eksperci. Są w tym gronie m.in. muzykolog – Aleksandra Bogucka, twórczyni Centrum Kultury Ludowej Polskiego Radia – Maria Baliszewska, prof. Jan Adamowski – antropolog, wybitny badacz gwary, prof. Piotr Dahlig – szef

Katedry Etnomuzykologii UW, ale też pasjonaci jak Remek Hanaj – muzyk i animator kultury, od lat pracujący z ludowymi artystami. W programie koncertu laureatów widać wyraźną pokoleniową zmianę. Często już jako seniorzy przyjeżdżają właśnie ci, którzy zaczęli swoją muzyczną przygodę na festiwalowej scenie pół wieku temu. To dowód, że misja festiwalu jest realizowana, że ciężka praca ludzi zgromadzonych wokół idei ochrony polskiego niematerialnego dziedzictwa kultury przynosi efekty. Tym bardziej pilne się staje, by instytucja festiwalu została wpisana na „listę dobrych praktyk UNESCO”. Marzy mi się tym bardziej, by decydenci TVP docenili ten wielki potencjał. ©©



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

Powrót nu-folkowych hipsterów

Minęły czasy, kiedy debiutancki album wykonawcy ze sceny niezależnej rozchodził się tylko w Wielkiej Brytanii w 600-tysięcznym nakładzie. A taki sukces odniósł zespół Fleet Foxes w 2008 r. Amerykanie podbili serca zarówno krytyków, jak i słuchaczy. Po wydaniu płyty „Helplessness blues” lider, Robin Pecknold, zawiesił działalność grupy i rozpoczął studiowanie literatury na Columbia University. Cztery lata później ukazał się album, którego tytuł nawiązuje do eseju Scotta F. Fitzgeralda, mówiąc o permanentnym niezadowoleniu twórcy z własnych dokonań.

To nie jest album na miarę debiutu, ale jest na tyle dobry, by

zaintrygować wymagających słuchaczy. Pecknold nie adoruje nikogo. Jego teksty są niejednoznaczne, a same kompozycje przypominają miniaturowe symfonie złożone ze ścierających się ze sobą dźwięków i harmonii. To są psychodeliczne, folkowe akwarele. Niestety, bogactwo brzmieniowe i aranżacyjne zaczyna w pewnym momencie nużyć. Wynika to z monotoności śpiewu Pecknolda. Jest on intrygujący, ale emocjonalnie jednowymiarowy.

Album „Crack-up” jest przepełniony znakami zapytania. Dotyczą one zarówno samej muzyki, jak i przyszłości zespołu. Pecknold sam zadaje pytania: „Kto pozbawił cię świata? Kto sprawił, że zwróciłeś się przeciwko sobie?”. ©©



★★★★★
FLEET FOXES
„CRACK-UP”
NONESUCH



★★★★★
CHUCK BERRY
„CHUCK”
DECCA

Najzacieśniej pionier rock'n'rolla nagrał,

po prawie 40-letniej przerwie, album. Zadeedykował go żonie, z którą spędził 68 lat. 90-latek daje czadu, tak jakby był o połowę młodszy. Płyta ukazała się trzy miesiące po śmierci mistrza. ©©



★★★★★
JAMIE SAFT,
STEVE SWALLOW,
BOBBY PREVITE
WITH IGGY POP
„LONELINESS ROAD”
RARE NOISE
RECORDS

Pianista Jamie Saff jest znany ze współpracy z Beastie Boys i Johnem Zornem. Swallow i Previte to jazzowi weterani. Na wspólny drugi album jazzowy zaprosili niepokornego Iggy'ego. Ten pokornie i spokojnie zaśpiewał w trzech kompozycjach. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

Na zgłoszenia kandydatów czekamy do 30 września
pod adresem: **fundacja@gintrowski.pl**

MECENAS WYDARZENIA

PARTNER WYDARZENIA

WSPÓŁORGANIZATOR:

PATRONI MEDIALNI:



NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY
NiNA

wprost





Rafał A. Ziemkiewicz

Pierwotna strategia opozycji na walkę z PiS się nie sprawdziła. Czas na równie zły plan B

Platforma Obywatelska, wraz z politycznymi i medialnymi przyległościami, niepostrzeżenie zaczęła realizować nową strategię. Tę pierwszą, która przez ostatnie dwa lata nie przyniosła jej żadnych sukcesów, streszczaliśmy w słowach „ulica i zagranica”. Wielu komentatorów, w tym także wyżej podpisany, od samego początku wskazywało, że oparta ona została na założeniu krańcowo nierealistycznym – że nowo wybranych prezydenta i rząd można będzie szybko odwołać w drodze ulicznej rewolucji, „majdanu w Warszawie”.

ZWROT KU POBOŻNOŚCI

Nową strategię można streścić równie krótko jak poprzednią: „Murem za aferzystami i imigrantami”. Propagandowy atak „opozycji totalnej” na władzę skupił się na dwóch głównych kierunkach. Pierwszy to dyskredytowanie prób rozliczenia afer, zwłaszcza sejmowej komisji badającej aferę Amber Gold i komisji weryfikacyjnej zajmującej się sprawą grabieży licznych warszawskich nieruchomości pod pozorem ich reprivatyzacji. Opozycja stara się przekonać wyborców, że to „polityczna hucpa”, „polowanie na Tuska”, że gremia, z których wychodzą kolejne informacje o grubych nieprawidłowościach, są „niekonstytucyjne” więc niewiarygodne, a sam fakt, iż stawiają one zarzuty ludziom związanym z poprzednią władzą, powinien budzić oburzenie i solidarność z przesłuchiwanymi.

Atak drugi idzie w bardziej moralne diapazony – zamykanie granic Polski przed „uchodźcami”, którego dopuszcza się obecna władza, to już nie tylko „wyprowadzanie Polski z Unii”, która nam ich przyjmować każe, i „łamanie solidarności europejskiej” z jednoczesnym wypychaniem nas w łapy Putina, ale przede wszystkim podłość. Głównym uzasadniającym tę tezę argumentem jest powołanie się na Ewangelię i na wskazania papieża Franciszka. Przy czym odpowiednio dobrany fragment Ewangelii trafia na pierwszą stronę „Gazety Wyborczej”, a na



FOT. KRZYSZTOF KANEWSKI/REPORTER

Opozycja pilnie potrzebna

stanowisko Kościoła powołują się takie autorytety jak np. Monika Olejnik.

Gdy opinią Kościoła próbują kłuć Polaków w oczy media, które zwalczają i wyszydają jego nauczanie w każdej innej sprawie, nie może to być wiarygodne. W tożsamościowej identyfikacji „elit”, do których odwołuje się „totalna opozycja”, wrogość wobec katolicyzmu jest jednym z głównych wątków. Wystarczy zerknąć na internetowe fora Gazety.pl, TVN24 czy „Newsweeka”, gdzie księża to „sukienkowi zboczeńcy”, wierni – „debile pielgrzymujący do pomalowanej deski”, a słowo „katolik”, podobnie jak „patriota”, funkcjonuje jedynie jako zgryźliwie ironiczna obelga. Oczywiście w głównym przekazie owe media tak nienawistnej retoryki jeszcze nie stosują, ale patronują jej życzliwie, wyśmiewając „obrońców zygot” czy „ratującego komunię Dudę”.

Grzegorz Schetyna, który w kwestii imigrantów nadal wykonuje ruchy dość niezborne, wystąpił z oświadczeniem, które powszechnie odebrano jako zapowiedź, że tam, gdzie PO wygra wybory samorządowe, tam będzie „uchodźców”

przyjmować, nie dbając o stanowisko rządu. Pomijając, że nie jest to możliwe – tylko władze państwa mogą decydować o przyznawaniu paszportów i azylu – w sytuacji, gdy wedle różnych sondaży od 70 do 80 proc. Polaków jest przeciwne otwarciu na imigrantów i zwyczajnie boi się napływu do Polski muzułmanów, taka zapowiedź właściwie kończy kampanię wyborczą przed przyszłorocznymi wyborami samorządowymi, zanim się ona zdążyła zacząć. Władze pozostaje już tylko zadbać, aby słowa Schetyny wybrzmiały w świadomości każdego wyborcy.

SEKUNDANCI JUNKERA

Czynienie hasła tak niepopularnego w społeczeństwie osią przekazu wydaje się niepojęte, ale przyczyny, dla których opozycja w nie zabrnęła, dość łatwo pokazać. Cała polityka opozycji jest oparta na głębokim przekonaniu, że Polacy są jednym z najbardziej prounijnych społeczeństw w całej Europie – poparcie dla członkostwa w UE deklaruje wszak w badaniach prawie cztery piąte obywateli. Wystarczy zatem przekonać ich, że „PiS wyprowadza



je powtarzać głośniejszy i w bardziej dosadnych słowach – można być pewnym, iż nie odstąpią już od tej linii, nawet gdy sondaże zaczęły dawać PiS większość konstytucyjną. Dowodem, jak bardzo antypisowskie salony popadły w moralny obłęd potępienia Polaków za uchylanie się od „ludzkiego, kosmicznego wręcz obowiązku” przyjmowania „uchodźców”, może być sprawa Marcina Meller, felietonisty jadłowicie antyprawicowego „Newsweeka”, który w sposób bardzo delikatny zdystansował się od islamu i – jak wynika z oświadczenia jego żony – natychmiast stał się ze strony „swoich” ofiarą ostracyzmu oraz agresji.

Zwróćmy uwagę, że w efekcie nastąpiło w wojnie PO – PiS całkowite odwrócenie ról. Obecna władza odebrała PO to, co stanowiło o niezatapialności Tuska: odwoływanie się do „zdrowego chłopskiego rozumu” czy wręcz cwaniactwa, ładnie zwanego „pragmatyzmem”. Teraz to opozycja brnie w abstrakty równie wzniosłe i równie „polactwu” obce jak PiS w opozycji, gdy wznosił sztandary Rymkiewiczowskiego patriotyzmu i smoleńskiej martyrologii – podczas gdy PiS obsługuje priorytety, do których sterroryzowany medialnymi pouczeniami Polak niechętnie się otwarcie przyznaje, ale którymi w istocie się w wyborach politycznych kieruje.

Zafiksowanie opozycyjnej narracji na strofowaniu Polaków za wpieranie im rasizmu i ksenofobii oraz na moralnym szantażowaniu powinnościami wobec „uchodźców” samo w sobie musi „totalną opozycję” zniszczyć. Jednak na dodatek dopadają ją jeszcze zaszłości, od których nie odcięła się wtedy, gdy był na to czas. Nie jest przypadkiem, że w krajach dojrzałej demokracji po przegranych wyborach odprawia się rytuał zmiany przywództwa oraz przekonywania wyborców, że partia zrozumiała swoje błędy, odcina się od nich i odsuwa ludzi, którzy zawiedli. PO zaniechała go i w tej chwili, grillowana sprawą Amber Gold, warszawską „reprzywatyzacją” i w obliczu kolejnych śledztw, które będą odsłaniać brudy jej wieloletnich rządów, ma tylko dwa wyjścia – złe i jeszcze gorsze. Złym byłoby „zrzucanie z sań” kolejnych „umoczonych” dopiero teraz – w chwili, gdy zaczynają się do nich „dobierać” prokuratury i komisje śledcze. PO wybrała jednak ten jeszcze gorszy – zaprzeczając faktom, krzycząc, że wszystko to hucpa, PiS-owska nagonka i w ogóle, ujmując to gwarą przestępczą: „iść w zaparte”. Robienie z Tuska juniora męczennika oraz sprowadzanie całego dochodzenia w sprawie Amber Gold

do rzekomego „polowania” na jego ojca w zestawieniu z liczbą i ze skalą zaniedbań, jakie komisja odsłania, jest tylko potwierdzeniem wszelkich zarzutów, także tych, które na razie Polacy stawiają wyłącznie w myślach lub rozmowach w gronie bliskich. A ciągłe wmawianie okradzionym, że sami są sobie winni, bo powinni wiedzieć, że „nie ma takich odsetek”, tylko wzmacnia złość. Podobnie jak arogancja Hanny Gronkiewicz-Waltz, która ewidentnie boi się zaprzeczyć zarzutom stawianym jej przez byłych podwładnych w zeznaniach składanych pod przysięgą.

W ten sposób PO zadaje sobie ciosy śmiertelne, choć sondaże ujawniają ich skutki dopiero za pewien czas. Proces destrukcji antypisowskiego elektoratu został już jednak uruchomiony i trudno sobie wyobrazić, co mogłoby go powstrzymać – na pewno nie codzienna porcja medialnego ujadania na PiS oraz odprawianie pustych rytuałów w rodzaju kolejnych służących jedynie gadaniu wniosków o wotum nieufności dla kolejnych ministrów. Jest tylko kwestią czasu, kiedy „suweren” powie wyraźnie: „Takiej opozycji nie chcę, proszę o inną”.

CO ZAMIAST PO?

Natura próżni nie znosi, a PiS dla pozyskania nieprzekonanych nie robi nic. Przeciwnie – skupia się na obłudzie emocji swych „żelaznych” zwolenników, a ci wciąż chcą upajać się odwetem za lata upokorzeń i rugowania z życia publicznego. Kto wypełni pustkę po tracącej kontakt z rzeczywistością PO? Ostrząsanie na to zęby obie lewice, ta postkomunistyczna od Czarastego i ta „rozporkowa” od Zandberga, Nowoczesna wiele sobie obiecuje po odnowieniu oferty połączenia liberalizmu ekonomicznego z obyczajowym, a trzeba brać pod uwagę i nadzieje Kukiz’15, oparte na sprostowaniu, że stronnicy PO raczej nie przejdą na stronę PiS, ale nietrudno będzie im przyjąć za swój „antysystemowy” przekaz, że i PO, i PiS okazały się siebie warte.

Przebieg opozycyjnego elektoratu zapewne będzie następował po trochu w każdym z tych kierunków, a to czyni raczej pewnym, że do najbliższych wyborów żadna siła opozycyjna nie urośnie na tyle, żeby móc z PiS wygrać. Co wśród innych skutków musi mieć i ten, że zauważalna już demoralizacja w PiS wywołana przekonaniem, że „nie ma z kim przegrać”, będzie się stale nasilała.

nas z Europy”, i na każdym kroku podkreślać oraz podgrzewać konflikt między „państwem PiS” (jak nazywa Polskę „totalną opozycją”) a urzędnikami unijnymi. A skoro sprawa „ochrony praworządności” rozmyśla się i dziś Unia krytykuje Polskę za odmowę przyjmowania relokowanych imigrantów, trzeba jej wiernie sekundować także w tym.

Tymczasem samo ogólne rozpoznanie nastrojów społecznych, na którym bazują PO i jej media, było trafne pięć lat temu – wtedy to Donald Tusk wygrywał wybory prostym przekazem, że Kaczyński skłóca nas z Niemcami i Rosją, a pokorna wobec nich PO będzie jak przysłowiowe ciętle „dwie matki ssać”, uzyskując dla kraju i dotacje z Unii, i mityczne nieograniczone rynki zbytu na Wschodzie. Jednak wiele kryzysów Unii, na czele z migracyjnym, w połączeniu z wojną na Ukrainie zupełnie zmieniło postrzeganie świata przez przeciętnego Polaka. Obecnie nad nadzieją na beztroskie dojenie unijnych funduszy i pakowania ich w aquaparki czy autostrady górę bierze strach.

PO tej zmiany w ogóle nie zauważyła, ogłuszona tokowaniem sprzyjających jej salonów, które oczywiście nie mogły obrony „uchodźców” nie podchwycić z całą mocą. Rzucanie z moralnych wyżyn gromów na ksenofobię, rasizm i nacjonalizm Polaków było zawsze żywiołem salonów, „autorytetów” wspierające „totalną opozycję” w tym właśnie najlepiej się spełniają i znajdują największą satysfakcję. A że od zawsze też żyją one w przekonaniu, iż jeśli rzeczy tak słuszne, jakie mówią, najwyraźniej do społeczeństwa nie docierają, to znaczyć może tylko, że trzeba



Z Włodzimierzem Czarzastym, liderem SLD
rozmawia Marek Migalski

Rondo Gierka ma

MAREK MIGALSKI: Wyprowadza pan sztandar?

WŁODZIMIERZ CZARZASTY: Zaczyna pan od kontrowersyjnej tezy, żeby rozmowa była fajna, ale sondaże z ostatniego roku są jednoznacznie pozytywne dla nas. Rozmawiamy w dniu, w którym SLD dostał 7 proc., Nowoczesna 6 proc., a Partia Razem 2 proc.

Co pan od razu o Razem? Jakiś kompleks?

O Razem mówię dlatego, że nie ma wroga na lewicy.

Patrzę panu głęboko w oczy i nie widzę tam miłości do Razem.

Patrzę na nich absolutnie przyjaźnie. Mamy do tego, co się dzieje w Polsce, podobne podejście, i trzymam za nich kciuki. Bez względu na to, czy ktoś będzie chciał mi uściśnić dłoń czy nie. Ostatnio przejechałem 100 tys. km, byłem w ponad 100 powiatach i zauważyłem, że część ludzi widzi, iż Razem uważa SLD za większego wroga niż PiS.

Taka jest prawda. Oni naprawdę was traktują jak trędowatych.

Mam 57 lat i mnie życie nauczyło, że najrozsądniej w wielu sprawach występować wspólnie.

Oni jednak nie chcą z wami. Pan jest na tyle dorośły, że rozumie, iż jak jedna strona nie chce, to z tego niczego nie będzie.

Moja dorosłość polega na tym, by dawać sygnały, że warto myśleć o pewnych sprawach wspólnie.

Ile pan będzie na kolanach prosił Zandberga o współpracę? Uważają was za starych komunistów i nie chcą się z wami kolegować.

Ja nie proszę. W tej sprawie ktoś musi mieć poziom i rozsądek. Jeżeli w Warszawie będzie wielu lewicowych kandydatów na prezydenta, jeżeli wystartują Zandberg, Nowacka, Guziół, Ikonowicz, Rabiej...

Wasz kandydat.

Nasz kandydat, to...

Każdy dostanie po dumne 2 proc.

... to lewica będzie miała problem, by przejść do drugiej tury. Gdyby był jeden, to nie byłoby tego problemu. Ja z takiego perspektywistycznego myślenia nigdy nie zrezygnuję.

Wszyscy wymienieni przez pana politycy mogą się porozumieć, ale nie z wami, bo was nie lubią.

To pana teza.

Prawdziwa?

Nie, nieprawdziwa.

Pan chce ze wszystkimi, a nikt nie chce z panem.

Jest pan jedynym dziennikarzem, który zadaje więcej pytań, niż dostaje odpowiedzi.

Być może moje pytania są ciekawsze niż pana odpowiedzi.

Kongres Lewicy zorganizowany w zeszłym roku przez nas, we współpracy z 40 innymi podmiotami, zgromadził 3 tys. działaczy. Jakby pan z nimi porozmawiał, toby pan zmienił zdanie o tym, że nikt z nami nie chce współpracować. Włączając w to OPZZ, Unię Pracy, PPS, Dom Wszystkich Polska. Trzeba patrzeć na realne poparcie. Jesteśmy jedynym lewicowym ugrupowaniem pozaparlamentarnym, które systematycznie plasuje się powyżej 5 proc. I jeśli nie zgłupiejemy, nie popełnimy błędów i będziemy ciężko pracować, to wrócimy do Sejmu.

Wy chcecie przetrzymać wszystkich konkurentów na lewicy, upokorzyć ich w wyborach samorządowych i sami pójść do elekcji parlamentarnej rok później.

To jest nieuczciwe pytanie, bo tam jest sformułowana nieprawda. W ciągu ostatniego roku myśmy wciąż chcieli współpracy. Zapraszałem wszystkich na Kongres Lewicy.

Jednak nie wszyscy przyszlizli.

To jest ich sprawa. I ich odpowiedzialność. Formalnie na Kongres zapraszał PES, czyli europejska partia socjalistyczna, i jeśli Zandberg lub Nowacka, współszefowa Twojego Ruchu, nie przyjmują zaproszenia od szefa frakcji parlamentarnej S&D w Parlamencie Europejskim, to trudno. Tak naprawdę pewne rzeczy rozstrzygną się w wyborach samorządowych.

O tym mówię. Że SLD chce wtedy udowodnić, iż jest hegemonem na lewicy i że jedyni to przetrwacie, a innych przeczolgać.

Ależ skąd! My niczego nie chcemy udowadniać i nikogo nie chcę przeczolgać. Po raz pierwszy w historii mamy ciało

koordynujące działania na lewicy. To Rada Dialogu i Porozumienia Lewicy. Ta rada zarekomendowała nazwę „SLD Lewica Razem”. I chcemy pójść do wyborów w jak najszerzej formule.

Myślałem, że to wyście sobie wykombinowali tę nazwę, by ukrącić trochę głosów Partii Razem.

To decyzja rady. Notabene to nazwa, którą mieliśmy w 2014 r. w wyborach samorządowych.

Jednak Zandberg odebrał to jako podszywanie się pod Partię Razem.

Ja nie jestem od szukania szóstego czy siódmego dna. Twierdzę tylko, że dwa i pół roku temu zśliśmy pod tą nazwą do wyborów i że to jest nasz sztyld. Życzę wszystkim środowiskom lewicowym, by zdołały zrobić to, co my zrobimy z naszymi partnerami, czyli by zdołały wystawić 16 tys. kandydatur.

Pan wie, że to jest niemożliwe, bo nikt poza wami nie jest do tego zdolny?

Jednak to miłe życzenia.

Miłe, ale jednocześnie są przejawem pana cwanactwa politycznego.

Trzymamy kciuki za wszystkich na lewicy. Tylko że to jest 350 powiatów razy 40 osób plus 87 okręgów sejmikowych razy 50 osób. Czyli rozmawiamy o 16–17 tys. kandydatów.

I pan wie, że na lewicy tylko SLD jest zdolny do wystawienia takiej armii.

Tego nie wiem. Wiem jednak, że my to zrobimy z naszymi partnerami. Bo wiem, że jako SLD nie mamy struktur tylko w 15 powiatach. Zresztą do czasu wyborów samorządowych nawet tam będziemy mieli swoje koła.

Pan mi imponuje jednym: że pan się tak miło wyraża o innych. Tyle tylko, że inni nie wyrażają się tak miło o panu. Pan wie, co Dariusz Joński w wywiadzie dla mnie powiedział o panu?

Nie za bardzo.

WYWIAD NIEAUTORYZOWANY zostać

Powiedział, że jest pan niepoważny oraz że pan się stanem zdrowia wykpił z kampanii. No i że pan zawsze czmycha, gdy robi się gorąco.

To jest kwestia klasy człowieka. Wiedziałem, że pan o to zapyta...

Jestem jednak przewidywalnym i banalnym wywiadowcą.

Może to ja się dobrze przygotowuję do wywiadów. Pokażę coś panu i zrobię to po raz pierwszy i ostatni. To jest karta wypisowa ze szpitala na Banacha. I tu jest napisane: „Ciężkie uszkodzenie lewej komory z uogólnioną hipokinezą, powiększonym sercem w całości i frakcją wyrzutową lewej komory 23 proc.”.

To znaczy, że wydolność mojego serca wynosiła wtedy 23 proc. Zresztą pan

Dariusz Joński dobrze o tym wiedział. Skwituję to w ten

sposób: wybaczam, trzymam kciuki, ale po tych słowach dotyczących zdrowia, kogośkolwiek zresztą, nie chcę mieć z nim więcej nic wspólnego. Darku, wszystkiego najlepszego, ale musisz prze-myśleć czasami

swoje słowa, bo możesz kogoś do trumny wtrącić. I to by było na tyle w tej sprawie. A panu Zandbergowi gratuluje Jońskiego jako jego kandydata na prezydenta Łodzi w przyszłym roku.

Wracając do SLD. Nie jest tak, że dla was największym zagrożeniem nie są te ruchy robaczkowe na lewicy, lecz zwrot ideowy Nowoczesnej?

Nie dostrzegam tu zagrożenia. Widzę przede wszystkim notowania.

Są mniej więcej takie jak wasze.

Nie urosło im jednak po tym skrócie.

Urosło. W kilku badaniach to się odbiło.

I właśnie w dzisiejszym sondażu spadło. To raz. A druga sprawa. Ważniejsza. Nowoczesna zaproponowała jednolity podatek VAT na poziomie 18 proc. To oznacza, że Nowoczesna zaproponowała wszystkim, zwłaszcza ludziom biednym, wzrost cen żywności z 5 do 18 proc. Nie ma na to zgody.

Mówi to przedstawiciel partii, która obniżała CIT dla przedsiębiorców.

Tak, ale rozmawiamy o czasach dzisiejszych, a nie o tym, co się stało dwie dekady temu.

A pan był wtedy młodym, nic niewiedzącym chłopakiem.

Oczywiście. Do tej pory jestem młodym, trochę więcej wiedzającym chłopakiem. Tak się przynajmniej czuję. To jest prehistoria, czasy dinozaurów. Wtedy kapitalizm się wzmacniał po transformacji.

I akurat partia lewicowa musiała go wzmacniać?

Te odniesienia do sytuacji sprzed 20 lat są jednak śmieszne. Prawica rządzi już 13 lat. Tym się zajmijmy. Oraz Nowoczesną. Podwyższenie VAT to jej pomysł. Mówią też, że zamienią „500+” na odpisy od podatku. A co zrobimy z ludźmi, którzy nie płacą podatków, bo nie mają pracy?

Ja mówię o zwrocie lewicowym u Petru w sferze aksjologii.

Oni robią program dla warszawskiego bogatego 40-latką. Idą niby w lewo w sferze wartości, ale jeśli chodzi o ekonomię, to masz być bogaty i dać sobie radę.

OK, oni są podwójnie liberalni: ekonomicznie i aksjologicznie. I w tym drugim wchodzi wam w szkodę.

Gdyby SLD miał wpływ na rządzenie, to pozostawilibyśmy program socjalny PiS, ale jednocześnie radykanie zmienilibyśmy

sferę wartości, w tym podejście do państwa, prawa i konstytucji. Ostatnie badania pokazały, że najbardziej przychylny związkom partnerskim jest właśnie elektorat SLD. 86 proc.! Nie Razem czy Nowoczesnej. A wiem pan co? Bo to mądrzy ludzie. A wie pan dlaczego?

Widzę, że pan już sam sobie zaczął zadawać pytania.

Bo pana pytania były nieciekawe. 30 proc. dzieci rodzi się poza małżeństwami. Dlatego to jest ważny problem społeczny. A to, że SLD dwa razy skutecznie liberalizował prawo aborcyjne, powoduje, że niektórzy na lewicy tak nas nienawidzą.

Jeśli macie taki fajny i popularny program, to dlaczego od 13 lat rządzi prawica, a nie wy? Ciekawe pytanie?

Bardzo ciekawe. Zrobiliśmy sporo błędów, ale je przeżyliśmy. Na przykład byliśmy niejednoznaczni w sprawach polityki historycznej. A teraz jesteśmy bardzo jednoznaczni.

Czyli?

Nigdy się nie zgodzę na to, by podzielić Polaków na świnię, które były aktywne do 1990 r. i na cudownych bohaterów, aktywnych po tym roku. Będę bronił życiorysów moich dziadków, rodziców, a także swojego.

To znaczy, że rondo im. Gierka nie tylko na zostać, lecz także jeszcze ma być przemianowane na rondo im. Jaruzelskiego?

Rondo Gierka na zostać. W referendum przez nas zorganizowanym ponad 97 proc. sosnowiczanie odpowiedziało się za tym.

No to przemianujcie je na rondo im. Bieruta. Jak bronić przeszłości PRL, to całe.

Ja te sprawy historyczne naprawdę przeżywam. Choć niektórzy mówią, że...

... że jest pan cynikiem.

Czy pan myśli, że gdy ginął żołnierz BCH i AL lub AK, to jego matka myślała o tym, jaki on ze sobą niósł ustrój?

Ja wiem, że historia jest bardziej skomplikowana, niż chcą tego radykałowie z PiS, ale jest też bardziej skomplikowana, niż widzi to pan.

Jestem szefem jedynej partii w Polsce, która o żołnierzach wyklętych powie tak: byli wśród nich świetni i cudowni, walczący o swoją wizję Polski, ale byli też mordercy, gwałciciele oraz złodzieje.



Tomasz P. Terlikowski

Nic nowego pod słońcem! Tak najkrócej można skomentować zwycięstwo Emmanuela Macrona i jego partii En Marche! Nic nowego, bo to zwycięstwo starej francuskiej masońskiej lewicy

Gdyby przyznawać nagrody w kategorii „polityczny montaż sezonu”, to skonstruowanie Emmanuela Macrona i jego społecznego ruchu, a także doprowadzenie ich do podwójnego zwycięstwa (po sprawnym i nie zawsze czystym wyeliminowaniu wszystkich, którzy mogli mu zagrozić) we francuskich wyborach miałyoby spore szanse na zgarnięcie pełnej puli nagród. Oto bowiem udało się przekonać Francuzów, że polityk Partii Socjalistycznej (do 2009 r.), a później zastępca sekretarza generalnego Pałacu Elizejskiego za prezydentury François Hollande’a i minister w socjalistycznym rządzie, nie ma z lewicą niczego wspólnego, a jest... centrystą. Nie mniejszym sukcesem było przekonanie ponad 60 proc. katolików do oddania głosu na człowieka, który prezentuje poglądy skrajnie lewicowe i wrocie wszystkiemu, co jest ważne dla Kościoła. I nie zmienia tego fakt, że Macron chętnie wspomina, iż uczęszczał do jezuickiego kolegium (swoją drogą to tam poznał swoją żonę), a także deklaruje umiarkowane i rzekomo centrowe poglądy. W istocie bowiem Macron może stać się dla Francji tym, kim był dla Hiszpanii Zapatero, a macronizm może zastąpić zapateryzm.

PROMOCJA OD PODSTAWÓWKI

I niech nas nie zwodzi politycznie oraz płciowo (to ostatnio to lekcja innego skrajnie lewicowego polityka, premiera Kanady Justina Trudeau, który właśnie rządem, w którym połowę stanowią kobiety, a poza tym są w nim i homoseksualiści, i osoby niepełnosprawne, zdobył sobie ogromną medialną popularność) zbalansowany rząd. Opinie o tym, że część z jego członków (w tym sam premier, który pochodzi spoza partii zwycięzców, a poza tym był przeciwnikiem małżeństw homoseksualnych) to reprezentanci

Macronizm po zapateryzmie



prawicy, a część lewicy, to zwykła hucpa. We Francji od dawna mocnej prawicy, która chciałaby walczyć o rzeczy ważne ze światopoglądowego punktu widzenia, zwyczajnie nie ma, a wszyscy członkowie rządu Macrona zdecydowali się podpisać pod jego, a nie własnym programem politycznym. A ten ostatni nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek „zbalansowaniem” czy „szukaniem centrum”.

Najlepszym tego przykładem jest podejście do postulatów lobby LGBTQ. Emmanuel Macron ustępuje im we wszystkim. Jeszcze przed wyborami udzielił wywiadu czołowemu magazynowi gejowskiemu „Garçon” i pozwolił sfotografować się bez koszulki, w stylu, jaki uwielbiają homoseksualiści. To właśnie ten wywiad i fotografie pozwoliły rosyjskiej propagandzie przedstawiać Macrona jako kryptogeja, który pod pozorem związku ze starszą kobietą ukrywa własny homoseksualizm. Prezydent odrzucił tego rodzaju oskarżenia, ale też wykorzystał je politycznie do dalszego poszerzania rozumienia lewicowego terminu wytrychu pozwalającego zwalczać wszystkich inaczej myślących, jakim jest homofobia. – Powiedzenie, że mężczyzna, który żyje ze starszą kobietą, jest niczym innym niż homoseksualistą czy żigolakiem, jest mizoginiczne. I to także jest homofobia – oznajmił Macron w jednym z wywiadów. I dodał, że „gdyby był homoseksualistą, toby o tym mówił i żył w zgodzie z tym”.

Do promowania agendy homoseksualnej i rozbijania rodziny Macron wykorzystywał nawet spotkania w szkołach. Podczas jednego z nich, zorganizowanego w szkole podstawowej, Macron opowiadał dzieciom, że jest rzeczą zupełnie normalną, iż nie żyjemy w jednej rodzinie przez całe życie, ponieważ ludzie się rozwodzą. – W obecnym świecie jest wiele różnych modeli życia rodzinnego – mówił Macron do małych dzieci, a chwilę później zadał im pytanie, czy ktoś z nich żyje w rodzinie jednopłciowej. Klasa miała kamienne twarze i tylko jedna, czarnoskóra zresztą dziewczynka, skrzywiła się niemilośnie. W niczym nie przeszkadzało to jednak Macronowi promować homoseksualizm i niewierność małżeńską czy rozwody także w podstawówkach.

HOMOSEKSUALNEJ REWOLUCJI CIĄG DALSZY

Macron i jego polityczny ruch En Marche! jednak nie ogranicza się tylko

do gadania, lecz także zapowiada dalsze zmiany we francuskim prawie oraz surowsze egzekwowanie tego, co jest już w nim zapisane. I tak zapowiada zdecydowaną walkę z homofobią w życiu codziennym, a także w miejscach pracy (co ma się wiązać z większą liczbą kontroli w zakładach pracy i firmach), przepisy dotyczące zmiany znaczeń pewnych słów, które rzekomo mają ranić i obrażać homoseksualistów, a także zapewnią, że nie ustąpi z drogi postępu w kwestii „równości małżeńskiej”, która – jego zdaniem – jest największym osiągnięciem ostatnich pięciu lat we Francji.

Co to ma oznaczać? Odpowiedź jest prosta. Chodzi o to, by całkowicie otworzyć dostęp do procedury in vitro dla samotnych kobiet i par lesbijskich. I chociaż jego partia jest przeciwna legalizacji macierzyństwa zastępczego (co w istocie wyklucza z in vitro pary jednopłciowe męskie), to jednocześnie zapewnia, że jeśli panowie zakupią dziecko poza granicami Francji, to zostanie ono w pełni uznane przez francuskie prawo, a oni zostaną uznani za jego rodziców. – Nie można traktować dzieci jak cudzoziemców we własnym kraju – wyjaśniał Macron. I dodawał, że nie widzi możliwości, by uznawać tylko jeden rodzaj związków za małżeństwo czy rodzinę. Według niego i jego partii każdy układ dwóch osób jest tak samo małżeństwem jak związek kobiety i mężczyzny. Jednym słowem – rzekomy centrysta Macron idzie dokładnie tą samą drogą – co lewicowiec Hollande.

Nie inaczej rzeczy się mają w kwestii aborcji. Macron nie tylko się za nią opowiada (w istocie wszyscy liczący się w wyborach francuscy politycy opowiadali się za nią), lecz także (i w tej kwestii się różni np. od Marine Le Pen) zdecydowanie broni nowego ustawodawstwa, które przewiduje surowe kary dla obrońców życia, którzy chcieliby odwozili kobiety od zabicia własnych dzieci lub choćby przedstawiali aborcję w negatywnym świetle. „Równość kobiet”, której zażarcie ma bronić Macron, oznacza dla niego właśnie walkę z każdym, najsłabszym choćby, sprzeciwem wobec aborcji. I w tej sprawie, tak jak w sprawie walki z „homofobią”, Macron i jego ruch nie przewidują żadnych ustępstw. Nieco ostrożniejszy jest natomiast Macron w kwestii eutanazji, ponieważ – jak na razie – deklaruje jedynie potrzebę

„głębokiej debaty społecznej” na jej temat. I w tej sprawie trudno się u niego dopatrywać sprzeciwu.

SZCZEGÓLNI NIEBEZPIECZNY PIOTRUŚ PAN

Poglądy te, choć Macron specjalnie ich nie ukrywał, nie odegrały większej roli w drugiej turze wyborów. Medialna panika sprawiła, że wielu Francuzów – w tym niestety także katolików – głosowało wyłącznie po to, by zablokować Marine Le Pen. A hasła, pod jakimi szedł do wyborów Macron, wydawały się takie „sympatyczne”. Kto bowiem miałby sprzeciwiać się optymizmowi, przywracaniu nadziei czy prawdziwemu postępowi? Kłopot polega tylko na tym, że ten wybór oznacza bardzo konkretne rzeczy dla Francji, o których – już po wyborach – zaczęli mówić francuscy komentatorzy. I tak Éric Zemmour, francuski pisarz i dziennikarz odwołujący się, jak sam twierdzi, do tradycji bonapartystycznej i gaullistowskiej, podkreśla, że Macron jest „Piotrusiem Panem w Pałacu Elizejskim”. „On cierpi na syndrom wiecznej młodości, która jest bożkiem konsumpcyjnego społeczeństwa” – zaznacza Zemmour. A inny francuski intelektualista François-Xavier Bellamy podkreśla, że wybierając Macrona, „Francja wybrała amnezję” i „kulturę eutanazję”.

I nie jest to przesada. Macron nie tylko bowiem promuje lobby gejowskie, lecz także walczy z tradycyjnymi wartościami, które są bliskie chrześcijaństwu, oraz uznaje, że „francuski naród i francuska kultura w istocie nie istnieją”, a całe nasze myślenie musi zostać poddane dekonstrukcji i reinterpretacji w duchu najbardziej radykalnego postmodernizmu. Filozoficznymi bohaterami Macrona (choć przez jakiś czas pracował on jako sekretarz znakomitego filozofa Paula Ricoeura) są Michel Foucault i Jacques Derrida, którzy od dawna postulują całkowitą destrukcję wszystkiego, co ważne dla cywilizacji łaćcińskiej czy zachodniej. Macron, ze swoimi sympatycznym obliczem i gładkim językiem, jest idealnym narzędziem do przeprowadzenia głębokiej cywilizacyjnej rewolucji. A jego wybory osobiste, znacząco starsza żona, bezdzietność, są świetną medialną bronią dokonującej się, nie tylko we Francji, obyczajowej rewolucji. I tylko Francji żal.



Egzorcyzm nad Polską i pentekostalizacja



ks. Andrzej Kobylński

Masowe egzorcyzmy są efektem uzielonościakowania chrześcijaństwa

Na Jasnej Górze 15 października 2016 r. miał miejsce na egzorcyzm narodowy, w którym uczestniczyło 100 tys. ludzi. To był pierwszy w naszych dziejach egzorcyzm, który dotyczył całej ojczyzny. Dzień później na portalu wPolityce.pl można było przeczytać następujące słowa: „Jasnogórskie błonia wypełniło

narodowe wołanie o przebłaganie za wszystkie popełnione dotąd grzechy: kłamstwa, egoizmu, nieczystości, chciwości, pychy, których dopuścili się ludzie wszystkich stanów. [...] Narodowy egzorcyzm, przecinający wszelkie powiązanie z grzechem, ma otworzyć nowy rozdział w historii Polski”. Co to znaczy? Czy taki egzorcyzm ma podstawy biblijne? Czy uwolnienie całego kraju od demonów można wytłumaczyć w jakikolwiek racjonalny sposób?

MEKSYK 2015

20 maja 2015 r. w bazylice katedralnej w stolicy Meksyku, w głównym kościele tego kraju, miało miejsce spektakularne wydarzenie religijne. Po raz pierwszy w dziejach Kościoła katolickiego doko-

nano egzorcyzmu nad całym państwem, tzn. odprawiono nad Meksykiem wielki egzorcyzm w wersji katolickiej. Jaki był główny cel tego nabożeństwa? Chodziło o wypędzenie demonów, które mieszkają na terenie tego kraju. Wielki egzorcyzm wyrósł z przekonania, że kartele narkotykowe, aborcja czy prostytucja stają się furtkami dla szatana – przez tego rodzaju zachowania złe duchy rzekomo wkraczają w życie ludzi i narodów. W Meksyku uznano, że należy wypędzić demony z całego kraju, aby rozwiązać różnego rodzaju problemy społeczne i polityczne. Skąd wzięły się takie narodowe praktyki religijne?

ZIELONOŚWIĄTKOWCY

Egzorcyzmy odprawiane nad całymi państwami czy narodami nie były znane



Wielka Pokuta za wszystkie grzechy popełnione w Polsce – nabożeństwo na Jasnej Górze, 15 października 2016 r. FOT. HENRYK PRZONÓZIO/FOTUM

w Kościele katolickim przez 2000 lat. Owszem, katolicy odprawiali egzorcyzmy w przypadku konkretnych osób, ale nie w odniesieniu do całych wiosek, miast czy państw. Uwalniano od złych duchów poszczególnych ludzi, a nie zbiorowości. Skąd zatem się wzięły współczesne formy masowych egzorcyzmów? To praktyka typowa dla chrześcijan zielonoświątkowych, którzy czasami kolektywnie uwalniają miasta i całe kraje z mocy złego ducha. W ostatnich latach nowe formy religijności zielonoświątkowej przenikają także do wnętrza Kościoła katolickiego. Potwierdzeniem tego procesu jest m.in. egzorcyzm narodowy na Jasnej Górze. Warto w tym miejscu dodać, że tematy związane z diablem, ze złymi duchami i z egzorcyzmami stały się już w naszym

kraju elementem kultury masowej. Coraz częściej o opętaniu czy walce z szatanem mówią dziennikarze i politycy. Niedawno w Radiu dla Ciebie Rafał A. Ziemkiewicz stwierdził ironicznie, że Tomasz Lis potrzebuje egzorcyzmy... Jak wytłumaczyć swego rodzaju modę na tematy związane z szatanem i egzorcyzmami?

PENTEKOSTALIZACJA

Obecny powrót złych duchów i nowe formy masowych egzorcyzmów są elementem globalnego procesu pentekostalizacji (gr. Pentekoste – Zesłanie Ducha Świętego), czyli uzienonoświątkowania chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo na świecie staje się coraz bardziej zielonoświątkowe. Współcześni chrześcijanie zielonoświątkowi акцен-

tują bardzo mocno działanie szatana w naszym życiu. Ich rozumienie diabła, opętania i egzorcyzmu przenika do innych wyznań chrześcijańskich.

Czym jest pentekostalizacja? To proces tworzenia nowych wspólnot zielonoświątkowych oraz przekształcanie innych Kościołów w jedną synkretyczną odmianę chrześcijaństwa charyzmatycznego w wymiarze globalnym. W wyniku procesu pentekostalizacji – szczególnie w Afryce, Azji czy Ameryce Południowej – rodzą się nowe wspólnoty, związki wyznaniowe lub sekty o charakterze zielonoświątkowym. Proces głębokiej transformacji na poziomie głoszonej doktryny dokonuje się także wewnątrz wielu wyznań tradycyjnych. Pentekostalizacja dotyczy katolików, metodystów, baptystów, anglikanów, chrześcijan ewangelikalnych itp.

AMERYKA ŁACIŃSKA

Rozwój wspólnot pentekostalnych zdumiewa swoją gwałtownością. W wielu krajach parafie katolickie nie wytrzymują „konkurencji” ze wspólnotami pentekostalnymi, które rodzą się jak grzyby po deszczu. Żeby nie tracić wiernych, katolicy przyjmują zielonoświątkowe metody ewangelizacji, które niejednokrotnie okazują się bardzo skuteczne. Niestety, bardzo często prowadzi to do przekształcania parafii katolickich w zbory pentekostalne. Największy dramat Kościoła ma miejsce w Ameryce Łacińskiej, która jeszcze na początku XX w. była prawie w 100 proc. katolicka. Dzisiaj do Kościoła katolickiego należy już tylko połowa mieszkańców tego kontynentu.

HORYZONT 2050

Ruch zielonoświątkowy narodził się w Stanach Zjednoczonych w 1901 r. W 2000 r. wspólnoty zielonoświątkowe na świecie liczyły 100 mln wyznawców. Gwałtowny rozwój nastąpił w ostatnich kilkunastu latach. Obecnie szacuje się, że mamy 600–800 mln chrześcijan zielonoświątkowych, a w 2025 r. będzie to już miliard. Gdy chodzi o rzeczywiste praktykowanie religii, a nie tylko formalną przynależność kościelną, już dzisiaj zielonoświątkowcy są największym wyznaniem chrześcijańskim.

Najbardziej wiarygodnym ośrodkiem badawczym, który monitoruje rozwój wszystkich wyznań chrześcijańskich na świecie, jest amerykańskie Centrum Studiów Chrześcijaństwa Globalnego w South Hamilton w stanie

■ Massachusetts. Badania tego centrum pokazują, że co 10 godzin jest zakładany na świecie przez chrześcijan nowy Kościół, związek wyznaniowy lub sekta. Niestety, religia chrześcijańska w wymiarze globalnym podlega głębokiej dekompozycji – staje się coraz bardziej zielonoświątkowa.

Obecnie mamy na świecie 46 tys. denominacji chrześcijańskich, czyli różnego rodzaju Kościołów, związków wyznaniowych i sekt. W 2025 r. będzie prawdopodobnie aż 55 tys. denominacji chrześcijańskich. Badania pokazują, że w 2030 r. najwięcej chrześcijan będzie mieszkać w Chinach – 250 mln. Będą to w znakomitej większości chrześcijanie zielonoświątkowi. W 2050 r. w Azji, Afryce oraz Ameryce Łacińskiej będzie mieszkać 80 proc. wszystkich chrześcijan świata, podczas gdy w 1900 r. ta grupa stanowiła jedynie 20 proc.

STOLICA APOSTOLSKA

25 stycznia 2017 r. na łamach watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano” ukazał się bardzo ciekawy artykuł na temat przyszłości dialogu ekumenicznego. Autorem tekstu jest Juan Fernando Usma Gómez, szef Biura Sekcji Zachodniej Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan. Ten ważny przedstawiciel Stolicy Apostolskiej stwierdził jednoznacznie w swoim artykule, że „pentekostalizacja chrześcijaństwa jest faktem”. W wielu krajach coraz więcej naukowców poddaje analizie różne aspekty tego procesu, który radykalnie zmienia oblicze globalnego chrześcijaństwa. Na temat pentekostalizacji powstają na świecie ciekawe książki i artykuły. Za granicą poświęca się temu zagadnieniu wiele konferencji naukowych i projektów badawczych.

KOMISJA NAUKI WIARY

Temat pentekostalizacji bardzo powoli przenika także do opinii publicznej w naszym kraju. W ostatnich miesiącach ten problem został podjęty przez Komisję Nauki Wiary Konferencji Episkopatu Polski, której przewodniczy bp prof. Andrzej Czaja z Opola. A już wcześniej, w 2015 r., ukazały się dwa ważne dekryty polskiego Episkopatu, które były konkretną reakcją na przenikanie religijności zielonoświątkowej do Kościoła katolickiego. Dokumenty wprowadziły zakaz praktykowania tzw. spowiedzi furtkowej i uzdrowienia

międzypokoleniowego. Skąd się wzięły te dziwne, trochę szamańskie praktyki religijne w naszym kraju? Są one oczywiście konsekwencją globalnego procesu pentekostalizacji.

„Spowiedź furtkowa” koncentruje się na działaniu złego ducha w naszym życiu. Polega na wskazywaniu tzw. furtek, czyli sposobów, w jaki zły duch wchodzi rzekomo pod nasze strzechy. Podczas przygotowania do „spowiedzi furtkowej” wierni skupiają się na tym, by znaleźć w swoim życiu wszystkie sytuacje, poprzez które złe duchy zamieszkują w ich życiu. Szuka się także takich furtek w życiorysach swoich przodków – to koncepcja grzechów pokoleniowych i uzdrowienia międzypokoleniowego. Istotą tego nauczania – zakorzenionego w antropologii i kosmologii afrykańskiej – jest przekonanie, że złe duchy mogą się dostać do naszego życia z powodu słuchania muzyki rockowej, posiadania tatuaży czy lektury „Harry’ego Pottera”.

Nowe formy religijności zielonoświątkowej wlały się szerokim strumieniem do wnętrza Kościoła katolickiego w Polsce

Nowe formy religijności zielonoświątkowej wlały się szerokim strumieniem do wnętrza Kościoła katolickiego w Polsce. Coraz więcej katolików w naszym kraju pije wodę egzorcyzmowaną, stosuje olejek radości czy sól egzorcyzmowaną, przeżywa podczas nabożeństw tzw. upadki (spoczynek w duchu, hipnoza, trans, autosugestia), przesadnie koncentruje swoją uwagę na działaniu złych duchów, doświadczają podczas spotkań modlitewnych histerycznego śmiechu, nazywanego Błogosławieństwem Toronto itp. Głębokiej zmianie podlega także nauka religii w szkole.

LESZNO 2016

W marcu 2016 r. media ogólnopolskie informowały o rekolekcjach szkolnych w Lesznie. Wzięło w nich udział ok. 700 dzieci. W trakcie nabożeństw niektóre osoby padały na ziemię, trzęsły się, krzyczały. Tym niebezpiecznym praktykom religijnym towarzyszyli księ-

ża i nauczyciele. Do dzisiaj nie spotkałem żadnej publicznej oceny, wyrażonej z perspektywy teologii katolickiej, która zwracałaby uwagę na niewłaściwą formę rekolekcji wielkopostnych w Lesznie. Wprost przeciwnie – w wielu wypowiedziach podkreślano katolicki charakter tego rodzaju nabożeństw. Nowe formy religijności zielonoświątkowej są już stałym elementem naszej polskiej pobożności katolickiej. Rekolekcje podobne do tych w Lesznie organizuje się w setkach polskich szkół i parafii.

RUBIKON 2007

Wydaje się, że proces głębokich zmian naszej religijności bardzo przyspieszył po 2007 r. Dlaczego? Ponieważ wówczas zaczęto zapraszać do Polski z innych kontynentów wielu mówców i ewangelizatorów, którzy na przestrzeni ostatnich 10 lat przemawiali w kościołach, na stadionach, w telewizji, w radiu oraz w Internecie do milionów mieszkańców naszego kraju. Najbardziej znane postaci to Gloria Polo z Kolumbii, James Manjackal i Jose Maniparambil z Indii, Maria Vadia z USA, John Bashobora z Ugandy, Myrna Nazzour z Syrii, włoscy duchowni Antonello Cadeddu i Enrico Porcu, którzy obecnie pracują w Brazylii itd. Jak można określić nauczanie tych osób? Jest to najczęściej synkretyczna religijność chrześcijańska, podlegająca głębokiej pentekostalizacji, która jest przyjmowana w Polsce bezkrytycznie przez wielu księży, kleryków, siostry zakonne czy osoby świeckie.

HEGEL I RELIGIA

Na początku XVIII w. niemiecki filozof Georg Wilhelm Hegel twierdził, że „naród, który posiada złe pojęcie o Bogu, ma także złe państwo, zły rząd, złe prawo”. Przenikliwe słowa Hegla są niezwykle aktualne w kontekście globalnego procesu pentekostalizacji, który bardzo często promuje religijność irracjonalną, subiektywną i emocjonalną. Rozsądne podejście do religii powinno być w naszym kraju przedmiotem troski nie tylko członków różnych wspólnot wyznaniowych, lecz także agnostyków czy ludzi obojętnych religijnie. Dlaczego? Ponieważ religia ma u nas ciągle duży wpływ na życie całego społeczeństwa. Czy nowe formy religijności synkretycznej będą w przyszłości podstawą dobrego państwa, dobrych rządów i dobrego prawa?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Czym żyje wielki świat

Małżeństwa też umawiają się na randki. Tyle że z innymi małżeństwami. Single spotykają się z innymi singlami, a pary z innymi parami. Są pary, które latami chodzą z innymi parami.

Wbrew pozorom niełatwo o taki udany związek małżeństw. Już dopasowanie dwojga ludzi nie zawsze się udaje, a co dopiero wtedy, kiedy się mamy wafłować we czworo. Według stereotypu z amerykańskiego serialu to faceci są najsłabszym punktem takiego układu, bo wolą siedzieć w domu przed telewizorem i nie znoszą, jak żona każe im się kumplować z jakimś obcym facetem. Jednak to tylko część prawdy – wielokrotnie widziałem, jak kobiety zaczynają się nienawidzić od pierwszego wejrzenia. Zazwyczaj wtedy, kiedy są do siebie bardzo podobne.

Jednak do rzeczy. Otóż niedawno umówiliśmy się na taką randkę we czworo. Znajoma chciała nam przedstawić swego nowego partnera. Poszliśmy do niej w odwiedzin. Przedstawiła nam swojego narzeczonego i zaczęliśmy gadać.

Nasza trójka obracała się w szeroko pojętym świecie mediów, nowy naręczony był z innej parafii. Pograżyliśmy się zatem w rozmowie charakterystycznej dla ludzi z naszego getta. A to, że Lis z wielkiej gwiazdy stał się jedną z wielu twarzy Onetu i pewnie strasznie go to frustruje. A to, że „Wyborcza” pada i bieda już w niej straszliwa. Że „Wiadomości” nie da się oglądać, chyba że

dla jaj. Że w prawicowych tygodnikach ciągle piszą to samo (w nieprawicowych zresztą też). Że Marcin Meller to fajny gość. Że Monika Olejnik po 20 latach młodości nagle się postarzała. I takie tam fundamentalne kwestie, którymi żyje wielki świat.

Naręczony grzecznie się przysłuchiwał tej jakże błyskotliwej rozmowie. Zatem ja równie grzecznie postanowiłem włączyć go do rozmowy i zapytałem, co właściwie takiego porabia.

Przez następne dwie godziny mówił tylko on, a my z rozdziawionymi gębami słuchaliśmy, z rzadka tylko dorzucając jakieś pytania. Okazało się, że facet prowadzi szkołę. Game School – taką szkołę, w której uczniów uczy się tworzyć gry. Komputerowe, na konsole czy do tabletów. Nasz nowy znajomy opowiadał, jak się takie gry robi, że programista to zawód najmniej ważny, istotniejsi są wizjonerzy-artyci, którzy wszystko wymyślają. Nad grami pracuje się w kilkudziesięcioosobowych zespołach, praca może trwać nawet kilka lat, ale jeśli gra okaże się sukcesem, to zyski są ogromne. Dowiedzieliśmy się, że Polska jest potęgą na rynku gier, że nawet pielgrzymują tu goście z Doliny Krzemowej, żeby popracować w jednej czy drugiej naszej firmie. I że w ogóle branża gier na świecie jest równie wielka co branża muzyczna i filmowa razem wzięte. Pod względem zysków, znaczy.

I nagle okazało się, że wielki świat jest zupełnie nie tam, gdzie sądziliśmy, że jest. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Deklaracja

Ostatnio znalazłem się na celowniku rodzimych tolerastów. Być może jako cel zastępczy – wzięłem oto udział w jubileuszowym koncercie Jana Pietrzaka, a o tym klasyku polskiego kabaretu nie wolno pisać nawet źle. Może chodzi też o to, że moje „W tyle wizji” przegoniło w ubiegły poniedziałek „Szkło kontaktowe”.

Nie będę wnikać. Istotne, że mój jeden wierszyk wzbudził prawdziwy szal. Opisałem w nim zresztą jeszcze na długo przed migracyjną falą obraz Warszawy opanowanej przez islam.

Nie mylmy nienawiści z instynktem samozachowawczym

Utwór opisywał to, do czego mogłoby dojść, a na Zachodzie pewnikiem dojdzie, po wprowadzeniu szariatu. Kamienowanie lesbijek, ścinanie gejów, obowiązek burek. Wizja paskudna, ale prawdopodobna, w dodatku, w satyrycznej konwencji, toteż ten atak trochę mnie zaskoczył.

Na początek zarzucono mi mowę nienawiści w stosunku do mniejszości homoseksualnych. Jeśli mowa nienawiści polega na potępieniu represji wobec nich, to gratuluję inteligencji napastnikom. Teraz jestem atakowany za rzekomą mowę nienawiści w stosunku do muzułmańskich

imigrantów. I tu przyznam się, jestem przeciwko wpuszczaniu islamistów do Polski. Tyle że nie mylmy nienawiści z instynktem samozachowawczym.

Lubię nurkowanie w Egipcie (i mam nadzieję, że Bractwo Muzułmańskie nie zamknie tam plaż), szwendanie się po tureckich bazarach (smakuje mi kebab) i uwielbiam „Księgę tysiąca i jednej nocy”. Nie przeszkadzają mi rasa – bez żydowskiego szmoncesu nie byłoby polskiego poczucia humoru – ani kolor skóry, podziwiam pracowitość Chińczyków, mądrość Hindusów, z uwagą wysłuchuję nauk czarnoskórych księży. Chcę jednak żyć w spokoju i zapewnić ten spokój moim potomkom.

Mimo wszelkich wysiłków im głębiej zgłębiał islam, tym bardziej widzę w nim nie religię pokoju, lecz podboju. Obserwuję to, co się dzieje w zachodniej Europie, i dostrzegam fiasko zarówno prób asymilacji, jak i multi-kulti. Przybysze nie chcą naszych „wartości”, które uznają za „antywartości”. Chcą dobrych warunków życia, możliwości szybkiego rozrodu, a potem zmienienia świata na swoją modłę. I trudno ich o to winić. To są reguły drapieżnej historii – jedni pożerają drugich.

Oświadczenie, że od dziś będziemy jaroszami, jest deklaracją jednostronną i ułatwieniem życia mięsożercom. Dlatego, ile sił, będę krzyczał: „Ani jednego emigranta muzułmanina w Lechistanie!”. I tak mi dopomóż, święta ateistko Oriano Fallaci! ©©



Marta Marcinkiewicz

Gra operacyjna SB wokół pogrzebu syna i synowej Mariana Jurczyka była wyjątkowo perfidna. Służby wręcz wykorzystały tragedię do kompromitowania związkowców

Śmierć członka rodziny działacza opozycji nie była dla funkcjonariuszy SB wydarzeniem, które predestynowałoby do tego, by osaczonej przez służby osobie dać choć na chwilę odetchnąć. Wręcz przeciwnie. Przykładowo: internowanej w ośrodku odosobnienia w Gołdapi Marii Gaińskiej, nauczycielce ze Szczecina, udzielenie przepustki na pogrzeb syna SB uzależniła od podpisania przez nią lojalności. Dopiero gdy pozostałe internowane kobiety rozpoczęły protest głodowy, podjęto decyzję o udzieleniu czterodniowej przepustki. Z ośrodka odosobnienia zwolniono ją miesiąc później, a dodatkowych trosk dodano, pozbawiając ją pracy oraz prawa wykonywania zawodu.

Nie był to oczywiście przypadek odosobniony. Znany jest choćby przykład Jacka Kuronia, któremu w trakcie internowania zmarł najpierw ojciec (zawieziono go wyłącznie na pogrzeb, nie udzielając dłuższej przepustki), a następnie zmarła żona Grażyna, sama zresztą przez kilka miesięcy internowana. Kiedy stało się oczywiste, że kobieta umiera, Kuronia przewieziono na kilka godzin do szpitala, nie pozwolono mu jednak spędzić ostatnich chwil z umierającą i wieczorem zabrano go do więzienia. W nocy Grażyna Kuroń zmarła. Po jej śmierci opozycjonista otrzymał co prawda dwa tygodnie przepustki, wkrótce jednak został aresztowany pod zarzutem próby obalenia ustroju.

SB W OBLICZU TRAGEDII

Jedną z największych tajemnic ostatnich dekad PRL była śmierć syna i synowej przewodniczącego szczecińskiej Solidarności, Mariana Jurczyka. Jego synowa, Dorota, 5 sierpnia 1982 r. wyskoczyła/ wypadła z okna mieszkania w kamienicy, kilka godzin później to samo uczynił jego syn, Adam. W mówiący o samobójstwie oficjalny komunikat prokuratury uwierzyło wówczas niewielu. Były prezydent Szczecina uważał, że w śmierć młodych ludzi



Śmierć bliskich Mariana Jurczyka (na zdjęciu w 1980 r.) została wykorzystana przez służby PRL do walki z opozycją

FOT. ANDRZEJ FRISZKE/FOTONOVA

W cieniu śmierci

byli zaangażowani funkcjonariusze SB, że jego dzieci zostały zamordowane. Instytut Pamięci Narodowej, nie znajdując na potwierdzenie tej tezy dowodów, w 2007 r. umorzył śledztwo. Wskazano jednak na podejrzaną fakt związany z brakiem dokumentacji dotyczącej inwigilacji syna Jurczyka, co zdumiewa o tyle, że dzieci solidarnościowych i opozycyjnych działaczy były poddawane obserwacji. Brak takich śladów z całą pewnością dziwi, niemniej faktów wskazujących na zabójstwo polityczne nie znaleźli również działacze opozycji, którzy jeszcze w latach 80. przeprowadzili w tej sprawie własne śledztwo. Abstrahując jednak od samego dochodzenia, warto przyjrzeć się zachowaniu SB w obliczu tragedii, jaką jest śmierć dzieci.

Marian Jurczyk w tym czasie był internowany w ośrodku odosobnienia w Strzebielinku. Tadeusz Dziechciowski, który również przebywał w odosobnieniu, 5 sierpnia 1982 r. pisał w swoim dzienniku: „Wiadomość o samobójstwie syna Mariana

i jego synowej. Niczego nie rozumiemy. Marian nie przyjmuje tego do wiadomości, podejrzewając prowokację. Jego spokój jest przerażający. To przecież jego jedyny syn, jedyne dziecko. I dlaczego? Co zdolne jest popchnąć do samobójstwa dwoje młodych ludzi, którzy zaledwie kilka miesięcy temu pobrali się? Którzy oczekiwali dziecka. [...] trudno w to wprost uwierzyć. Jesteśmy tutaj wszyscy zszokowani. Ludzie snują koszmarnie przypuszczenia. [...] Sposób, w jaki poinformowano Mariana o tym nieszczęściu, był jednak więcej niż drański. Wezwano go do administracji kilka minut po piętnastej. Przyjął go zastępca komendanta. – Czy pański syn ma na imię Adam? – Tak. – A synowa Dorota? – Tak. – Panie Jurczyk, mam dla pana bardzo przykrą wiadomość. Komenda Wojewódzka w Szczecinie poleciła mi przekazać panu, że wczoraj pański syn wspólnie z żoną popełnili samobójstwo. Komenda zdecyduje, czy będzie pan mógł dostać przepustkę na pogrzeb. Niczego więcej nie wiem”. Jurczyk

nie uwierzył w tę informację. Uważał, że to prowokacja obliczona na złamanie go.

Współinternowani natychmiast chcieli podjąć w sprawie interwencję, zadzwonić do kogoś z jego rodziny, by potwierdzić informację, dowiedzieć się czegokolwiek. Ich starania jednak spełzły na niczym, szybko bowiem się okazało, że mają związane ręce. Po godz. 15 nie mieli możliwości dodzwonienia się gdziekolwiek. Także w ciągu następnych dni internowani, w tym Jurczyk, nie wiedzieli, co tak naprawdę wydarzyło się w Szczecinie. Komenda wojewódzka nie udzieliła przewodniczącemu zachodniopomorskiej Solidarności natychmiastowej przepustki. Co zastanawiające, na przepustkę wypuszczono Przemysława Fenrycha. Aby umożliwić mu szybkie przedostanie się do Szczecina i zebranie informacji, internowani zrzucili się na taksówkę. Fenrych, na prośbę Jurczyka, udał się do jego rodziny. Później mówił: „Rodzina twierdziła, że ta śmierć nie ma wymiaru politycznego. Ale rodzina mogła być przerażona. Dla nas było jasne, że Służba Bezpieczeństwa mści się na Jurczyku”. Fenrych wykonał misję, o którą go proszono, a informacje przekazał do ośrodka odosobnienia za pośrednictwem Jolanty Szutkiewicz, żony internowanego Adolfa Szutkiewicza, która natychmiast udała się do Strzebielinka z uzyskanymi informacjami.

Dopiero 9 sierpnia, ok. godz. 23, strażnik więzienny zakomunikował Jurczykowi, że ma się przygotować do drogi, ponieważ o godz. 5 będzie wyjazd na pogrzeb. Umożliwiono mu jednak wyłącznie udział w samym pogrzebie (co miał z władzami wynegocjować sam bp Stanisław Stefanek) i powrót tego samego dnia do ośrodka odosobnienia. Zgody nie udzielono mu nawet na przebranie się w odpowiednie na pogrzebową uroczystość ubranie. Ostatecznie na komendę w Szczecinie sprowadzono jego żonę, która przywiozła pożyczoną czarną koszulę.

DEPCZĄC MOGIŁY

Pogrzeb odbył się 10 sierpnia 1982 r. na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie. Sam Jurczyk po powrocie do ośrodka odosobnienia opowiadał, że na moment otworzono trumny, by mógł pożegnać się z dziećmi, i w tym momencie „wyrósł” obok niego Piotr Baumgart, działacz rolniczej Solidarności. Szeptem poinformował Jurczyka, że została przygotowana ucieczka, że na cmentarzu powinien dać

znać głową, w którym momencie mają rozpocząć akcję. Ten nie odpowiedział żadnym gestem ani słowem. Miał świadomość, że jakakolwiek próba ucieczki nie ma szans powodzenia, był bowiem pilnowany przez więcej ludzi, „niż mu się wydaje”, jak uprzedzono go przed wyjazdem na cmentarz.

I nie były to czcze przechwałki, ceremonię pogrzebową zabezpieczało bowiem ponad 800 funkcjonariuszy MO, a przecież do tego dochodziły jeszcze siły SB. Natychmiast po zakończeniu ceremonii ktoś krzyknął: „Bierzemy Mariana” i podjęto nieudaną próbę odbicia Jurczyka. Stojąca w pobliżu Jolanta Szutkiewicz w swojej książce przytacza wspomnienia z tego wydarzenia: „Tłum otaczający żałobników, obudzony jak z letargu, rozbija się na małe grupki, aby zerwać się do ataku na wroga! Wrzask i bluźniercze klątwy, i wyzwiska, mieszają się z łoskotem łamanych krzyży, gałęzi z cmentarnych krzewów i z drzew, zagłuszając modlitwę zmarłych. Kilkunastu mężczyzn z kijami i ze sztachtetami w rękę pędzi za grupą esbeków, by odbić ofiarę. [...] – Odbijamy go! – ten sam głos podsycia na nowo tłum do nienawiści. – Ludzie, pozwólcie chociaż pogrzebać te dzieci! – woła matka Doroty zbołałym głosem. Wrzawa ucicha, by za chwilę wybuchnąć jeszcze głośniejsze. Część żałobników, ogarnięta nagłą paniką, rozbiega się na wszystkie strony, desperacko szukając wyjścia z pułapki, w jakiej się znalazła. Nie wiadomo, co jeszcze może się tu zdarzyć. Ludzie pędzą na oślep, depcząc po drodze cudze mogiły, niszcząc wieńce i kwiaty... Chaos... Straszny chaos!”. Na cmentarzu zebrało się wówczas, według różnych źródeł, od 2 do 3 tys. osób.

Jurczyka bezzwłocznie doprowadzono do milicyjnego samochodu i odjechano do komendy, pogrzeb zaś przerodził się w polityczną demonstrację, podczas której zatrzymano 26 osób.

W komisariacie Jurczykowi zaproponowano trzy dni przepustki, ale pod pewnymi warunkami. Najważniejszym było wystąpienie w telewizji z apelem do mieszkańców o zachowanie spokoju. Poza tym w ciągu tych trzech dni w jednym z pokoiów jego mieszkania mieli przebywać funkcjonariusze, w tym czasie zaś mogli go odwiedzać ci, z którymi chciałby się spotkać, miał tylko wcześniej przekazać listę nazwisk tych osób. Ponieważ Jurczyk odmówił, niemal od razu zawieziono go z powrotem do Strzebielinka, nie pozwalając nawet na godzinną wizytę w domu,

by mógł się spotkać z rodziną. Jurczyk pozostawał w fatalnym nastroju. Dodatkowo miał za złe biskupom, że żaden z nich nie uczestniczył w pochówku.

Pogrzeb syna i synowej Mariana Jurczyka oraz dalsze wydarzenia pokazują perfidię, z jaką działali funkcjonariusze SB. Nie zważając na dramatyczną sytuację rodziny, postanowili ją wręcz wykorzystać. Aby – jak stwierdzali – „w ramach działań dezintegracyjnych” pogrążyć środowisko opozycyjne Szczecina, zainspirowali konferencję prasową z udziałem żony Jurczyka, Genowefy. Pytano ją o wydarzenia związane z pogrzebem. Jak stwierdzono w raporcie: „Uzyskano korzystne wypowiedzi, które wraz z odpowiednimi materiałami zostały opublikowane w lokalnej prasie i radio”.

Wywiad opublikowano w „Głosie Szczecińskim”. Genowefa Jurczyk mówiła w nim, że ani ona, ani zmarli tragicznie syn i synowa nie mieszała się do polityki, zatem zachowanie ludzi na cmentarzu oceniała jako niepoważne, zwłaszcza że – jak stwierdziła – od niektórych czuła alkohol. Rozmowę opatrzone stosownym komentarzem, w którym, pochylając się niemal nad losom przewodniczącego zachodniopomorskiej Solidarności, stwierdzano: „Z osobistego dramatu człowieka uczyniono widowisko w zamyśle antypaństwowe. Polski obyczaj dawno rzeczy tak przykrej nie notował”.

Idąc niejako za ciosem, kilka dni później lokalna prasa opublikowała wywiad również z Ireną Jurczyk, czyli pierwszą żoną przewodniczącego zachodniopomorskiej Solidarności, matką zmarłego Adama. Kobieta również podkreślała, że „ani ona, ani tragicznie zmarli nie mieszała się do polityki”. Trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, dlaczego kobiety zgodziły się na rozmowę z dziennikarzami, można to włożyć na karb braku wyrobienia politycznego. Niemniej także wypowiedzi innych osób i przybliżanie okoliczności śmierci w założeniu miały kompromitować niektórych działaczy związkowych oraz dezintegrować podziemie.

Podobnie jak w przypadku Marii Gaińskiej także w tym nie poprzestano na szykanie związanej z internowaniem czy łajdakimi działaniami podjętymi wokół pogrzebu dzieci Mariana Jurczyka. Po zakończeniu internowania, w grudniu 1982 r., znalazł się w grupie siedmiu działaczy, którzy zostali aresztowani pod zarzutem działań na szkodę państwa. Zwolniono go na podstawie amnestii w lipcu 1984 r.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Niemieccy Żydzi w PRL

Deportacje, obozy koncentracyjne, tortury, więzienia, zabójstwa, wynarodowienie. Prześladowania religijne i rabunek mienia. Władze komunistycznej Polski w bezwzględny sposób pastwiły się nad niemiecką ludnością cywilną, która w 1945 r. nie zdążyła uciec przed Armią Czerwoną.

Są to sprawy dość dobrze znane i spodziewałem się, że wydany właśnie zbiór tekstów „Władze komunistyczne wobec ludności niemieckiej” niczym mnie nie zaskoczy. Pomyliłem się. W książce znalazło się wiele nowatorskich, pasjonujących materiałów.

Przykład? Choćby wstrząsający tekst Katarzyny Friedli o niemieckich Żydach, którzy mieszkali na Dolnym Śląsku. Do Wrocławia zaraz po zakończeniu działań wojennych powróciło ich ok. 1,6–1,8 tys. Byli to głównie Żydzi ocalali z obozów koncentracyjnych. Niemal wszyscy mieli za sobą koszmarnie, traumatyczne przeżycia.

Przez bolszewików i polskich komunistów zostali jednak potraktowani jak Niemcy. A więc jak śmiertelny wróg.

„Grabieże, akty przemocy, upokorzenia oraz gwałty należały do codziennej rzeczywistości miasta – pisał Friedla. – Wiek, płeć, wyznanie czy narodowość nie miały znaczenia.

Niemieccy Żydzi traktowani byli zazwyczaj tak jak pozostali niemieccy obywatele miasta i postrzegani jako naród oprawców. Posługiwali się przecież tylko językiem niemieckim. Niektórzy z ocalałych niemieckich Żydów próbowali się ratować, recytując modlitwy hebrajskie, by w ten sposób udowodnić przynależność do judaizmu.

Wrogo wobec niemieckich Żydów nastawieni byli zarówno bolszewicy, jak i przedstawiciele nowej komunistycznej, polskiej administracji. Część Żydów została skierowana na przymusowe roboty polegające na zakopywaniu trupów. Pilnujący ich milicjanci wykazywali się niebawym sadyzmem.

W końcu w wyniku interwencji podjętej w Warszawie niemieccy Żydzi otrzymali zwolnienie z robót i zostali uznani za ofiary hitlerizmu. Nie uchroniło ich to jednak przed kolejnymi atakami i szykanami. Co ciekawe, do niemieckich Żydów niechęć nie odnosiła się nawet – przybyli do miasta – polscy Żydzi!

W efekcie niemal wszyscy niemieccy Żydzi w powojennych miesiącach opuścili swoje rodzinne miasto i wyjechali do Niemiec. W 1947 r. mieszkało ich we Wrocławiu tylko 30... Oto komunizm w pełnej krasie. ©©



★★★★★
„WŁADZE KOMUNISTYCZNE WOBEC LUDNOŚCI NIEMIECKIEJ W POLSCE 1945–1989”
IPN/ISP PAN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Powrót gwiazdy

W 1959 r. Kazimierz Krukowski prowadzący warszawski teatr Buffo ogłosił sensacyjną wiadomość. W rewii „Żebyśmy tylko zdrowi byli” zapowiedział gościnny występ gwiazdy kabaretów II RP, Lody Halamy, która po wojnie pozostała na emigracji. Entuzjazm widzów przeszedł najśmielsze oczeki-

jak się doi kożę” grano aż 300 razy), a recenzenci nazywali Lodę „fenomenem młodości”, stwierdzając, że ma „bajeczną sylwetkę i temperament” – miała wówczas 56 lat.

Przy okazji odnawiała dawne znajomości, a spotkania były bardzo wzruszające, tak jak z Antonim Słonimskim w SPATiF.

„Kiedyś weszła starsza kobieta ze śladami wielkiej urody – wspominał Janusz Głowacki. – Wbiła wzrok w pana Antoniego. On zerwał się i zawołał: »Loda!«, ona wykrzyknęła »Tosiek!«. I to była Loda Halama, wielka gwiazda przedwojennych kabaretów. Spotkali się po wielu latach, bo pani Loda mieszkała wtedy na stałe w Londynie”.

Stosunki z emigracją nad Tamizą były jednak coraz gorsze, na domiar złego Halama zakupiła w Stoczni Gdańskiej (komunistycznej!) pełnomorski jacht, który z właściwą sobie skromnością nazwała „Loda”. I tym jachtem przyплыnęła do Londynu.

Doszło do tego, że w Ognisku Polskim stała się persona non grata. Całą sprawę dodatkowo zaognił jeszcze Marian Hemar, pisząc, że „pieniądze Polonii nie idą na Zamek, a na »kluski dla Halamek«”. Loda zachowała jednak spokój, kolejny jacht również nazwała swoim imieniem („Loda II”).

Na stałe powróciła do kraju w 1985 r., przeźornie zachowała jednak brytyjski paszport. Zmarła 11 lat później, 13 lipca 1996 r. w Warszawie. Pochowana została na Starych Powązkach, u boku ojca i matki. ©©

Na stałe powróciła do kraju w 1985 r.

Zmarła 11 lat później, 13 lipca 1996 r.

wania, przedstawienie grano przez rok przy komplecie publiczności.

„Zachwyty krytyków pokrywały się z zachwyty publicznosci – wspominał Ludwik Sempoliński. – Magia popularności Halamy działała nie z mniejszą, a może nawet z większą siłą niż przed wojną. Gwiazda Morskiego Oka świeciła tym samym, co wtedy blaskiem”.

Sukcesy w kraju rządzo- nym przez komunistów miały jednak swoją cenę, a Loda nie zdawała sobie sprawy z poziomu antykomunizmu polskiej emigracji. Zarząd Związku Artystów Scen Polskich za Granicą chciał ją nawet zawiesić, okazało się jednak, że tancerka nie była jego członkiem. Kilka lat później Loda ponownie pojawiła się za żelazną kurtyną. Odniosła wielki sukces w teatrze Syrena (rewię „Bujamy wśród gwiazd, czyli

Czesław Lang zaprasza

Tour de Pologne[®] amatorów

04.08.2017

BUKOVINA
RESORT



DYSTANS: **67** KM

www.tourdepologneamatorow.pl

organizator

LANGTEAM

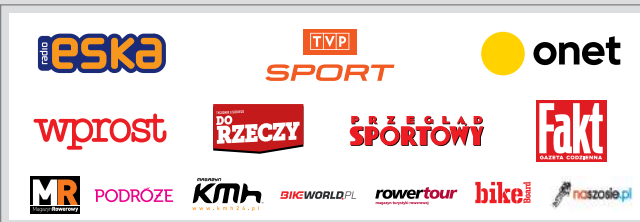
Sponsor Główny



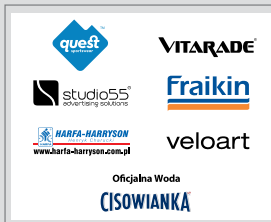
Partnerzy



Patroni Medialni



Sponsorzy Wspomagający





Gabriel Michalik z Rosji

Protest Nawalnego – czyli jak się nie udała ostatnia rewolucja w Rosji

Przy ul. Małej Gruzjińskiej w Moskwie, obok domu, w którym się zatrzymałem, znajduje się restauracja La Marée. Obiad można tu zjeść już za marne kilkaset euro. Przyjeżdża się zwykle dwoma terenowymi mercedesami. W pierwszym jedziecie ty i twój kierowca, w drugim twoja ochrona zbrojna w pistolety maszynowe. Jeśli zdrowie pozwala, to włączasz do orszaku trzeciego mercedesa, którym wieszysz sobie kwiat pści pięknej. Restauracja La Marée pełni funkcję nieformalnej sali recepcyjnej wyższych szarzy rosyjskiej biurokracji. Ze sprawami ważnymi nie warto chodzić do ministerstw czy do biura administracji prezydenta. I tak kluczowych decydentów spotkasz w komplecie przy Małej Gruzjińskiej. Atmosfera wykint-

nego luksusu sprzyja załatwieniu tu nawet najtrudniejszej sprawy.

PREBIOTYCZNA ZUPA

Rosja pogrążyła się w recesji. Izolacjonistyczna i agresywna polityka Kremla, pikujące ceny surowców (w przypadku ropy, głównego źródła utrzymania Rosji, z cenami rzędu 100 dol. za baryłkę pożegnaliśmy się najpewniej raz na zawsze) i nazywane antysankcjami embargo na import żywności spowodowały przez ostatnie trzy lata spadek realnych dochodów Rosjan o 20–30 proc. Problemem nie jest samo tylko obniżenie dochodów, ale to, że doszło do niego w tak krótkim czasie.

Z żyjącej w bogactwie Moskwy nie dość dobrze widać postępującą nędzę interioru. Jednak trudności materialne, ograniczenia wolności słowa, dławiący wszelką inicjatywę czy to umysłową, czy biznesową, szklany sufit ustawiony nad społeczeństwem przez kremlowskich baronów, którzy między siebie podzielili strefy wpływów w Rosji, w warunkach ogólnego zbiednienia obywatele stają się coraz bardziej dotkliwi. W tej sytuacji kampania Aleksieja Nawalnego, sprawa- dzająca się do nagłaśniania opiewających na miliardy euro aktów korupcji i grabieży, jakich dopuszczają się najważniejsze

osoby w państwie, wydawała się cudowną bronią opozycji. Przeciwstawienie pałaców, jachtów i zagranicznych winnic Dmitrija Miedwiediewa codziennej gonitwie zwykłego Rosjanina, pracującego na dwóch etatach, aby utrzymać rodzinę tylko trochę powyżej poziomu ubóstwa, mogło wyrwać społeczeństwo ze snu. Nie wyrwało, bo w ostatniej chwili ktoś postanowił inaczej.

Światem rządzi rzekomo przypadek. Tak się więc złożyło, że tydzień przed moją pierwszą od kilku lat podróżą do Moskwy, którą odbyłem dzięki rzetelnej wizie turystycznej, jakiś anonimowy polonofil niezbyt wiernie przetłumaczył na język rosyjski artykuł, w którym opisywałem dyskusyjne formy świętowania Dnia Pobiedy. Przekład opublikowano w prestiżowym rosyjskim serwisie poświęconym zagranicznej prasie, stamtąd kopiowano tu i ówdzie, skutkiem czego atmosferę mojej podróży budowały dziesiątki komentarzy rosyjskiego Internetu, pośród których konstatacja, że na takich jak ja szkoda kul karabinowych, należała do wykwinniejszych. Wpisy te opatrzy- wano fotografiami niżej podpisanego w dużej rozdzielczości.

Gdy wylądowałem w Moskwie, krąg moich przyjaciół, moskiewskich chrze-



Demonstranci na
ul. Twerskiej w Moskwie
FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

scijańskich demokratów, którzy po „wpadce” z artykułem stanowczo zażądali, abym nie podawał ich personaliów w mojej polskiej publicystyce, w której dają wyraz kompletnemu niezrozumieniu skomplikowanej rosyjskiej mentalności, przygotowywał się z namaszczeniem do rewolucji.

Aleksiej Nawalny zwołał na 12 czerwca wielomilionowe, jak zapowiadał, demonstrację, formalnie wprowadzając pod hasłem walki z korupcją, ale z wyraźną sugestią, że motyw korupcji jest li tylko pretekstem do wyrażenia sprzeciwu wobec łamania przez Kreml podstawowych swobód obywatelskich i zasad demokracji. Na pierwsze miejsce wysunął się postulat przywrócenia wolnych wyborów.

W zasadzie jednak nie szło o żadną z tych spraw, ale o to, aby się policzyć; zsumować 1) zwolenników Partii Narodowej Wolności (PARNAS) Michaiła Kasjanowa i 2) rywalizującej z nią o promile głosów partii Jabłoko Grigorija Jawlińskiego, 3) patrzących wilkiem na całą resztę opozycji grupę aktywistów ruchu przeciw wyburzaniu starych bloków mieszkalnych, bodaj najpotężniejszą siłę opozycyjną oraz 4), 5), 6)... zwolenników kilku jeszcze drobnych organizacji, z których każda ma wzajemnie wobec siebie więcej ambicjonalnych

pretensji niż wszystkie razem wzięte gniewu na reżim. Do tego należało dodać ogólną liczbę ludzi, których porwał za sobą charyzmatyczny Nawalny. Tę prebiotyczną zupę społeczeństwa obywatelskiego, przekonaną (zapewne nie bez dozy racji), że wszyscy wokół to prowokatorzy i agenci Kremla, postanowiono zebrać w jednym dniu. Zbiórce towarzyszyło sarkanie, że zarządził ją Nawalny, a nie któryś z sarkających, najchętniej każdy z osobna. Czuło się jednak nadzieję, że wydarzy się coś wielkiego. To miał być początek zwycięskiej walki o nowy ład w Rosji.

Demonstrację zaplanowano na 12 czerwca. To Dzień Rosji. Dziwna uroczystość. Obchodzi się wówczas rocznicę odzyskania niepodległości, a więc rocznicę deklaracji wydanej przez Zjazd Deputowanych Ludowych Rosyjskiej Republiki Sowieckiej. W deklaracji zapisano, że Rosja jest niepodległa. Było to w 1990 r.

PROWOKACJA NAWALNEGO?

Manifestacje przygotowywano w kilkudziesięciu miastach. Najważniejsza miała się odbyć w Moskwie, a na jej przeprowadzenie na prospekcie Sacharowa, ku niejakiemu zdziwieniu opozycjonistów, władze miejskie wyraziły zgodę.

Kilkanaście godzin przed demonstracją, nocą, Aleksiej Nawalny zamieścił w serwisie YouTube dramatyczny apel. Wobec trudności z wypożyczeniem systemu nagłośnienia (jak twierdził, firmy zajmujące się organizacją imprez plenerowych jedna po drugiej odmawiały współpracy) wezwał swoich zwolenników do poniesienia legalnej manifestacji na prospekcie Sacharowa i przeprowadzenia jej na ul. Twerskiej, poprzez wmieszanie się w tłum uczestników świątecznego festynu, który w tym samym czasie organizowało merostwo Moskwy. Zwolennicy Nawalnego mieli porwać tłum hasłami walki z korupcją.

Pierwszym efektem apelu Nawalnego stała się powszechna konsternacja jego sympatyków. W serwisach społecznościowych padały oskarżenia o zdradę, o prowokację, a przede wszystkim o ryzykowanie życia, zdrowia i wolności uczestników manifestacji. Drugi efekt apelu dotknął bezpośrednio samego Nawalnego – rano aresztowano go pod zarzutem wzywania do zamieszek, co spotkało się z dość powszechnym zrozumieniem wśród dotychczasowych zwolenników polityka. Inni uznali, że ten, kto dotąd pociągał za sznurki, na których poruszał się Nawalny, postanowił „wygasić” polityka. Trzeci

■ efekt zaś to pełne fiasko demonstracji, której ani do końca nie odwołano, ani do końca nie utrzymano w mocy. Moskiewska manifestacja odniosła sukces w zasadzie tylko w jednym miejscu; na łamach zagranicznej prasy, która nie zechciała budzić w życzliwych siłom demokratycznym w Rosji czytelnikach dysonansu poznawczego tak drobnym niuansiem jak przedziwna wolta Nawalnego.

MARSZ Z KLATKI DO KLATKI

Moi, proszący o anonimowość, znajomi po długim namyśle wybrali się na prospekt Sacharowa. Widok tam był niecodzienny: na ulicy rozstawiono metalowe barierki, tworząc z nich dwa kwadratowe wybiegi, każdy o powierzchni kilku tysięcy metrów kwadratowych. Pierwszy wybieg, zaopatrzony w znane z lotnisk i budynków użyteczności publicznej bramki wykrywające przedmioty metalowe, stanowił coś na kształt służby. Punktualnie o godz. 14 przez megafony ogłoszono, że manifestacja się rozpoczyna i bramki się otworzyły. Po mniej więcej kwadransie, gdy na pierwszy wybieg weszło już ok. tysiąc osób, a nikt nowy się nie pojawiał, policjanci usunęli część barierek pomiędzy wybiegami i uczestnicy zyskali możliwość przemaszerowania kilkudziesięciu kroków do końca drugiego wybiegu. To genialne! Nikt nie może oskarżyć rządzących, że trzymają naród w klatce, jeśli faktycznie trzyma się go w dwóch klatkach, dając szansę przemieszczania się pomiędzy nimi.

Na drugim wybiegu manifestanci stali nieco bez sensu. I ów bezsens podkreślił przelotny deszczyk, którym niebo zapłakało nad absurdem sytuacji. Przez dłuższy czas nie wiadomo było, kto miałby przemawiać, choć głośniki, o których brak kilkanaście godzin wcześniej Nawalny rozbił demonstrację, stały. Namawiałem tego mojego anonimowego znajomego, w końcu jednego z liderów opozycji, a na pewno jednego z najmądrzejszych ludzi w całej opozycyjnej Moskwie – a przy tym jedyne go rozpoznawalnego polityka, który tego dnia stawiał się na prospekcie Sacharowa – aby ujął mikrofon i płomienną przemowę zvekslował bezsens w stronę sensu. Mój znajomy, zapewne z uprzejmości wobec zagranicznego gościa, w końcu gotów był przemówić, jednak współpracownicy powstrzymali go przed uleganiem moim namowom już chyba przede wszystkim dlatego, że suwerenny rosyjski polityk nie powinien poddawać się wpływow

z zewnątrz. Polityk milczał więc i zdeglustowany dreptał po wybiegu.

W końcu do mikrofonu dorwała się jakaś krzykliwa niewiasta, która bezskutecznie i całkiem nie à propos przekonywała zebranych, że Władimir Wołodin, przewodniczący Dumy Państwowej, jest wielkim człowiekiem, podczas gdy mer Moskwy, Siergiej Sobjanin, przeciwnie, świnią. Ignorując zwolenniczkę Wołodina, dwóch starsuszków w cyklistówkach i kraściastych marynarkach, jeden z portretem Stalina na piersi, drugi z jakimś podejrzanym orderem wpiętym w kłapę, prowadziło sprzedaż gazetki z wypisami z dzieł Lenina w cenie 10 rubli za egzemplarz. Kupiłem ją wprawdzie, ale zaraz pożłowałem, bo rzucili się na mnie znajomi demokracji, fukając, że oto po raz kolejny w historii Zachód (tym razem w mojej skromnej osobie) finansuje rosyjskich bolszewików. Próbowałem cofnąć transak-

**Spośród wszystkich sił
pretendujących do władzy
najbardziej przekonujący
był młody mężczyzna
w połacanej koronie**

cję, ale starsuszkowie bolszewicy zniknęli z wybiegu. I tak siedłem pośród odwołanej rewolucji, niosąc pod pachą płachtę papieru z wizerunkiem Lenina na okładce.

Spośród wszystkich sił, pretendujących do władzy nad krajem, najbardziej przekonujący był pewien młody mężczyzna w połacanej koronie, którego jednak nie wpuszczono na wybieg. Przybył bowiem na prospekt Sacharowa na białym koniu.

– Jestem waszym carem – oznajmił.
– Gdzie twoja świta? – zapytali ci, których władza gromadzi na asfaltowych pastwiskach.

– Wy nią jesteście.
– A jeśli się rozejdziemy?
– Wiem, że się nie rozejdziecie!
– Cwaniak! – pokiwno głowami z uznaniem.

I istotnie, dopóki „car” nie odjechał na wierzchowcu w siną dal, dopóty nikt ze „świty” nie opuścił prospektu Sacharowa.

JEST DOBRZE, BĘDZIE LEPIEJ

Wsadziliśmy znajomego polityka, który (jak pamiętamy) pragnie zachować

anonimowość, do taksówki i sami pojechaliśmy na Twerską. Lud Moskwy jadł szaszłyki, lizal lody, pił piwo i fotografował się z rekonstruktorami przebranymi w mundury żołnierzy tych wszystkich wojen, które Rosja prowadziła od czasów Iwana Groźnego. Dopisały i pogoda, i frekwencja. Tłumy. Uśmiechnięte, zadowolone, rozbawione. Młodzi, starzy, kolorowi, żółci, skośnocy i biali, na wrotkach, na rowerach; rodziny z dziećmi, wózki obowiązkowo dekorowane barwami kolejnych hipostaz Rosji, od dwugłowego orła poprzez bolszewicką flagę do wstęgi św. Jerzego.

W samym koniuszku Twerskiej, nieopodal baru McDonald, odbywało się coś, co tak pięknie namalował niegdyś Pieter Bruegel na znanym płótnie zatytułowanym „Upadek Ikara”. Dyskretnie, w kącie festynu, funkcjonariusze OMON w czarnych pancerzach, przywodzących na myśl rycerskie zbroje, wyłapywali tych, którzy nie dość intensywnie lizali lody i pili piwo. Nawet trudno ustalić, czy byli to ludzie, którzy posłuchali wezwania Nawalnego i przyszli rozbić festyn, czy może po prostu OMON prewencyjnie zatrzymywał jakichś ponuraków, niemających ochoty uśmiechać się od ucha do ucha. Delikatność OMON-owców zawierała się w tym, że zatrzymanych nie bito na zewnątrz aut.

Rozbawiony tłum brał zapewne OMON-owców i ich ofiary za kolejną grupę rekonstruktorów.

Trzy dni później odbyła się doroczna „gorąca linia z prezydentem Putinem”, czyli wielogodzinna audycja, jakiej za pośrednictwem telewizji, Internetu i innych środków łączności udziela swoim poddanym Władimir Władimirowicz. W toku audycji prezydent poinformował słuchaczy, że sytuacja w Rosji jest dobra, a będzie jeszcze lepsza. Drobnie niedogodności dnia powszedniego, np. to, że w domu jednej z rozmówczyń Putina przecieka dach, ku aplauzowi publiczności prezydent obiecał szybko rozwiązać.

Wieczorem ruch mercedesów przed restauracją La Marée trwa w najlepsze. Zbici w grupki kierowcy, ochroniarze i kwiat płci pięknej flirtami skracają sobie czas oczekiwania, aż elita Rosji zakończy posiłek. Podobno w dniu, gdy nie odbyła się rewolucja, podawano homary przyrządzone według nowej receptury. Palce lizać!

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. FOTOLIA

Z MIŁOŚCI DO IMIGRANTA

Francuskie Calais kojarzy się głównie z wielkim koczowiskiem imigrantów i obcokrajowcami, którzy napadają na TIR-y, próbując przedostać się dalej do Europy (a ostatnio także barykadując drogi, przez co doszło do wypadku, w którym zginął polski kierowca). Miejsce to stało się jednak też tłem pewnej miłosnej historii. 45-letnia Francuzka, wdowa po oficerze policji, pewnego razu podwiozła imigrantów do ich obozu. Młodszy o ponad 10 lat Mokhtar tak wpadł jej w oko, że straciła dla niego głowę. Podobno ujęła ją „łagodność jego spojrzenia”. Z tej miłości Beatrice pomogła ukochanemu (i jego dwóm kolegom) przewieźć łódź, którą próbowali przedostać się przez kanał La Manche do Wielkiej Brytanii. Migrantów złapano, a Beatrice – oskarżona o nielegalny przemyt zorganizowanej grupy przestępczej – trafiła do aresztu na komisariacie, w którym kiedyś pracował jej mąż. Czyż ta historia nie jest alegorią miłości UE do przybyszów z innych łądów? ©©

KARTY, SPORT I PODATKI

Pozornie niby wszystko na świecie jest już ustalone, reguły są znane. Jednak gdy do gry wkracza skarbówka, okazuje się, że nie wszystko jest jasne. Angielski związek brydżowy chciał odzyskać VAT opłacany przy organizacji turniejów czy zakupie sprzętu lub pobierany od członków w ramach składek. Jednak brytyjski fiskus uznał, że ani pensa nie odda, bo brydż to nie sport, ponieważ nie wiąże się z dużą aktywnością fizyczną. Brytyjczy brydżyści nie dali za wygraną i sprawę oddali do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Ten orzekł niedawno, że mieli rację. Wskazał, że od dawna za sport uznawane są też gry powiązane z aktywnością umysłową, a samego brydża za sport uznał już wiele lat temu Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Brydżyści z Anglii się ucieszyli. Ucieszyli się też szachiści, którzy już zamierzają wystąpić o zwrot VAT. Z wyroku zadowoleni są też pokerzyści, którzy mogą próbować udowodniać, że to, czym się zajmują, to nie hazard, a sport.

STALIN WIECZNIE CHWALONY

Dziesiątki zamordowanych w GUŁagach przewracają się w grobach – oto wyniki ankiety, w której centrum badań Levada zapytało Rosjan o to, kto jest najwybitniejszą postacią w historii świata. Najczęściej wskazywanym przez badanych był ten, który wymordował im dużą część narodu, czyli Józef Stalin (38 proc.). Drugie miejsce zajęli ex aequo Władimir Putin i Aleksander Puszkin (po 34 proc.). Na liście liczącej 20 pozycji znaleźli się też m.in. Lenin oraz Jurij Gagarin. Dla Rosjan najwybitniejsi okazali się Rosjanie. Wśród najczęściej wymienianych było tylko trzech obcokrajowców (Isaac Newton, Napoleon Bonaparte i Albert Einstein).

SZWAJCARZY KONTRA HIPSTERZY

Jak donosi zagraniczna prasa, Szwajcarzy – choć przecie na tle innych Europejczyków dość zamożni – nie wytrzymali presji hipsterskiego jedzenia, które jest dużo droższe. Szwajcarska Partia Socjalistyczna zwróciła uwagę radzie

miejskiej w Bernie, że powinna przyrzeć się ofercie gastronomicznej miejscowych basenów. Zdaniem tych polityków restauracje serwują tam dwa razy droższe przekąski, takie jak „organiczne hot dogi”, co zaburza równowagę społeczną w dostępie do jedzenia. Nie wiadomo, co w tej sprawie jest bardziej kuriozalne – hipsterskie drogie jedzenie czy socjaliści wzywający do oferowania ludowi zwykłych hot dogów z parówkami.

WYPARADOWAŁ W LATARNIĘ

W ubiegłym tygodniu Białorusini ćwiczyli przed paradą z okazji Dnia Niepodległości (przypada 3 lipca, w rocznicę wkroczenia do Mińska Armii Czerwonej). Jak to przy takich paradach bywa, nie mogło się odbyć bez prezentacji wojskowego sprzętu. Przy próbach na głównej ulicy w Mińsku jeden z czołgów wpadł w poślizg (choć dziwnie to brzmi – można na YouTube zobaczyć, że to prawda) i paradowanie zakończył na słupie latarni ulicznej. ©©



SZEWACH WEISS

Trudne zarządzanie z twierdzy

Donald Trump sprawuje urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych już ponad pół roku. Od samego początku, a nawet jeszcze przed wyborami, toczyło się wokół niego wiele śledztw. Był obiektem zainteresowania Kongresu, FBI czy innych służb. Gdyby prezydentem została Hillary Clinton, prawdopodobnie byłaby w takim samym położeniu. Do kiedy? Nie wiadomo. Teoretycznie taka sytuacja może trwać cały czas.

Premier Izraela, Benjamin Netanjahu, stoi na czele rządu już czwartą kadencję. I przez ten czas niemal permanentnie toczą

można odnaleźć spokój duchowy i intelektualny, żeby znaleźć możliwe najlepsze rozwiązania w sprawach ważnych dla kraju i świata? To są ważne pytania, na które nie ma jasnej odpowiedzi.

Jedni uważają, że ludzie idący do polityki są na to przygotowani, że mają – jak to się mówi w Izraelu – skórę słonia. Czyli nie przejmują się krytyką czy toczącymi się wokół nich śledztwami. Tacy ludzie potrafią zbudować wokół siebie twierdzę i w niej żyją. Jak można rządzić z takiej twierdzy?

Lnni mówią, że każdy lider z jednej strony jest krytykowany, ale z drugiej – ma ogromne poparcie i używa go do uprawiania polityki nienawiści wymierzonej we wrogów i w krytyków. Taka sytuacja jest w Stanach Zjednoczonych, w jakimś stopniu w Izraelu, może nawet w Polsce. Tworzy się proces marginalizacji opozycji. Nie tylko politycznie, lecz także moralnie. Czasami można odnieść wrażenie, że polityka na całym demokratycznym świecie uprawiana jest w atmosferze wewnątrzpaństwowej nienawiści. Ta atmosfera tworzy niechęć do samego systemu demokratycznego.

Niektórzy twierdzą, że jest to nieodczłonna część świata po rewolucji elektronicznej, kiedy ludzie tracą dystans do innych, zajmują się rzeczami marginalnymi, pochłaniają ich portale społecznościowe. Harry Gordon Frankfurt, współczesny amerykański filozof, mówi, że kończy się era prawdy i kłamstwa. Zaczyna się kultura „bullshitu”, czyli „wciskania kitu”. Każdy może powiedzieć, co tylko chce, i rządzić dalej. Język polityczny staje się tym „bullshitem”.

Swoją autorytet tracą również liderzy religijni. Duży wpływ na ogromną część świata miał Jan Paweł II, ale po jego śmierci duchowi przywódcy już takiego nie mają. Nie mam na myśli wyłącznie Franciszka, bardzo sympatycznego i ludzkiego papieża, ale wszystkich liderów religijnych. Większość z nich albo współtworzy ten świat nienawiści, albo z nim współpracuje.

Liderzy, którzy rządili 30, 40, 50 czy 60 lat temu, mieli większy spokój, nie byli pod ciągłą presją prowadzonych przeciw nim śledztw. Czy jednak tworzyli lepszy świat? Nie. Teraźniejszy świat jest lepszy nie tylko dlatego, że system demokratyczny się rozszerza i istnieje większa solidarność krajów, czego efektem jest powstanie Unii Europejskiej, która co prawda przechodzi kryzys, ale przecież istnieje. Współpraca narodowa w walce z terroryzmem pokazuje, że życie w dzisiejszym świecie ma dużą wartość i jest bronione, choć nie zawsze się to udaje. Chociaż zjawisko terroryzmu jest straszne, to – obiektywnie patrząc – świat jest lepszy. Takich państw jak Korea Północna czy Iran jeszcze 30, 40 lat temu było więcej. W centralnej i południowej Ameryce były kraje faszystowskie. Tego już na szczęście nie ma.

W dzisiejszym felietonie jest więcej pytań niż odpowiedzi i zadaje sobie kolejne. Dlaczego tak wielu ludzi ciągnie do polityki, skoro narażają się na ciągłą, ostrą kontrolę i nienawiść? I druga sprawa – kto tak naprawdę w dzisiejszym świecie rządzi? Czy wybrany rząd, parlament, czy prokuratura, policja, sędziowie? Tę sprawę warto głęboko przeanalizować. ©©

oprac. raw

Zaczyna się kultura „bullshitu”, czyli „wciskania kitu”. Każdy może powiedzieć, co tylko chce, i rządzić dalej

się różne śledztwa wokół niego. Dotyczą one zarówno spraw prywatnych, jak i sprawowanej przez niego funkcji publicznej. I mimo to wciąż rządzi, mając silne poparcie. Były premier Izraela, Ariel Szaron, był oskarżany m.in. o prowadzenie podejrzanego interesów zagranicznych.

Takie sytuacje mają miejsce w różnych państwach. Liderzy rządów i głowy krajów wzbudzają zainteresowanie służb, zarzuca się im różne rzeczy, prowadzi przeciw nim śledztwa. Jak w takiej sytuacji, gdy człowiek dźwiga na swoich barkach, ma w swojej głowie i z pewnością również w sercu, los tak wielu ludzi, czasem los świata, można rządzić? Kiedy i czy w ogóle

XXVII Forum Ekonomiczne

5 - 7 WRZEŚNIA 2017, KRYNICA-ZDRÓJ



Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

PROJEKT EUROPA - JAKI PRZEPIS NA NASTĘPNE DEKADY?



Najważniejsza konferencja organizowana
od ponad 25 lat w Europie Środkowo-Wschodniej.



Ponad 3000 gości - liderów świata polityki
i biznesu z ponad 60 krajów z Europy, Azji i USA.



Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes
i zarządzanie, energetyka, innowacje.



Najbardziej znane miejsce spotkań
elit gospodarczych w tej części Europy.



Znajdź nas
na Facebooku! 

■ www.forum-ekonomiczne.pl
■ kontakt: forum@isw.org.pl



Olivier Bault

Władze Katalonii zapowiedziały referendum w sprawie odłączenia tego regionu od reszty Hiszpanii. Rząd krajowy uważa te działania za nielegalne. Co dalej z Hiszpanią?

Carles Puigdemont, prezydent Katalonii, wywołał burzę w poniedziałek 19 czerwca na uroczystości upamiętniającej zamach baskijskijskiej ETA w centrum handlowym Hipercor 30 lat temu w Barcelonie. Był to najbardziej krwawy zamach w historii skrajnie lewicowej, niepodległościowej organizacji terrorystycznej, a z okazji 30. rocznicy tego wydarzenia Puigdemont porównał upór państwa hiszpańskiego w walce z ETA do uporu katalońskich separatystów w walce z... państwem hiszpańskim! Ten sam prezydent katalońskiej wspólnoty autonomicznej 9 czerwca ogłosił rozpisanie referendum niepodległościowego na 1 października br.

A zatem – zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami – rząd w Barcelonie, będący w rękach separatystów, znów zamierza przeprowadzić nielegalną konsultację i czyni to trzy lata po tej z listopada 2014 r., w której wzięła udział mniej niż jedna trzecia mieszkańców tego regionu (włącznie z osobami bez hiszpańskiego obywatelstwa, które dopuszczono do głosowania w sprawie tak istotnej dla całego kraju). Różnica tym razem polega na tym, że rządząca koalicja zwolenników niepodległości upiera się, iż wynik referendum będzie dla niej wiążący. A przecież choć rząd i parlament w Barcelonie mają szerokie kompetencje, podobnie jak władze 16 pozostałych wspólnot (regionów) autonomicznych, hiszpańska konstytucja nie pozwala im na zorganizowanie własnego referendum bez zgody hiszpańskiego parlamentu. Dlatego też katalońska prokuratura dołączyła ustną deklarację Puigdemonta dotyczącą daty referendum do wszczętego już wcześniej postępowania przeciwko autonomicznym władzom w sprawie rozpisania przetargu na zakup urn do głosowania.

NIELEGALNIE I BEZ PRZESZKÓD

Rządząca większość w Katalonii to sojusz koalicji na rzecz niepodległości Junts



pel Sí (JxSí – Razem dla Tak) składającej się m.in. z partii liberalnej poprzedniego prezydenta Artura Masi i „lewicy republikańskiej Katalonii” (ERC) oraz skrajnie lewicowej partii separatystycznej CUP. W ostatnich wyborach regionalnych w 2015 r. zdobyły razem 48 proc. głosów przy frekwencji 75 proc., co dało im w sumie 72 miejsca w 135-osobowym parlamencie. Co się stanie, jeśli władze w Barcelonie zrealizują swój pomysł związany z referendum w sprawie całkowitego oderwania się od reszty Hiszpanii, skoro z punktu widzenia hiszpańskiego prawa będzie to działanie nielegalne? Jak powinni zachowywać się urzędnicy, od których przełożeni domagają się wykonywania czynności związanych z nielegalnym referendum? Do największego hiszpańskiego związku zawodowego urzędników CSIF zgłosili się niektórzy jego katalońscy członkowie, m.in. tacy, którzy odmówili wykonywania poleceń w sprawach związanych z zakupem urn wyborczych. Problemy mogą także mieć pracownicy szkół, w których zostanie przeprowa-

dzone nielegalne referendum, oraz wielu innych zatrudnionych w katalońskiej sferze budżetowej. Dlatego CSIF doradza urzędnikom, aby w razie wątpliwości co do legalności poleceń żądali przekazywania ich na piśmie i aby w przypadku poleceń wyraźnie sprzecznych z hiszpańskim porządkiem konstytucyjnym i prawnym odmawiali ich wykonywania oraz powiadamiali stosowne władze.

Na razie rządzący separatyści bez większych przeszkód realizują jednak plan oderwania się od Hiszpanii ogłoszony przy zawiązaniu koalicji w 2015 r. Rząd w Madrycie jeszcze nie zdecydował się na zastosowanie art. 155 konstytucji hiszpańskiej, który daje mu prawo zawiesić władze wspólnoty autonomicznej łamiącej prawo hiszpańskie i przyjąć stery władzy w niepokornym regionie. Co się zatem stanie, jeśli podobnie jak trzy lata temu gabinet premiera Mariano Rajoya pozwoli de facto na przeprowadzenie konsultacji, zasłaniając się działaniem prokuratury i wymiaru sprawiedliwości, a zwłaszcza



Barcelona, 11 czerwca 2017 r., demonstracja zwolenników przeprowadzenia referendum i odłączenia Katalonii od Hiszpanii
FOT. LLUIS GENE/AFP PHOTO/EAST NEWS

Trybunału Konstytucyjnego, którego wyroków katalońscy separatyści i tak nie uznają?

SZKOŁY NACJONALISTÓW

Sondaże pokazują, że wyraźna większość mieszkańców Katalonii jest za tym, aby referendum się odbyło. W przeciwieństwie do konsultacji z 2014 r., których wynik same władze regionu uważały za góry za niewiążący (po wyroku TK, który zabronił im wówczas przeprowadzenia referendum), tym razem według sondaży nawet część przeciwników niepodległości zamierza w takim referendum wziąć udział. Sondaże te pokazują też, że proporcje zwolenników i przeciwników niepodległości Katalonii są dość wyrównane, a zatem istnieje ryzyko, że frekwencja będzie dużo wyższa niż w 2014 r. i że większość głosujących opowie się za niepodległością. A nawet jeśli wygra „opcja hiszpańska”, to nie zmieni to faktu, że zwolenników niepodległości Katalonii ostatnio gwałtownie przybyło, zwłaszcza wśród młodego

pokolenia. Problem Hiszpanii z Katalonią będzie zatem trwać nadal.

Widocznym punktem zwrotnym tej historii była wielka manifestacja w 2010 r. przeciwko wyrokowi hiszpańskiego Trybunału Konstytucyjnego, który unieważnił aż 14 artykułów nowego Statutu autonomii Katalonii zatwierdzonego drogą referendalną cztery lata wcześniej. Od 2012 r. kataloński dzień narodowy, „Diada”, stał się corocznym wielkim pokazem siły zwolenników niepodległości. To właśnie na początku obecnej dekady nastąpił skokowy wzrost nastrojów niepodległościowych, a partie, które opowiadały się wcześniej tylko za większą autonomią, zaczęły mówić o niepodległości.

Jednakże to, co stało się widoczne w obecnej dekadzie, jest tak naprawdę owocem – przynajmniej w części – wielu lat wychowywania dzieci w duchu nacjonalizmu katalońskiego i wrogości do Hiszpanii, co stało się możliwe dzięki reformie edukacji przeprowadzonej w Katalonii w 1983 r. Reforma ta wprowadziła do nauczania w szkołach wspólnoty autonomii język kataloński, który początkowo był traktowany na równi z językiem kastylijskim (tj. hiszpańskim, czyli językiem ogólnonarodowym). Ten ostatni stawał się następnie stopniowo coraz trudniej dostępny dla uczniów. Choć było to niezgodne z hiszpańską konstytucją, to władze centralne nie reagowały. Oprócz wypychania języka hiszpańskiego ze szkół władze Katalonii, które odpowiadają za szkolnictwo i kulturę, stworzyły nową narrację historyczną, pokazującą wbrew prawdzie historycznej Katalonię jako osobny naród w opozycji do reszty Hiszpanii. W maju br. rzecznik partii Ciudadanos, utworzonej w 2006 r. jako Ciudadans w Barcelonie w opozycji do separatyzmu, skarżył się w Kortezach na indoktrynację dzieci i młodzieży w podręcznikach szkolnych używanych w Katalonii. Podręczniki te „podkreślają to, co nas różni, i maskują to, co nas łączy, oraz pokazują Katalonię jako jednostkę oddzieloną od Hiszpanii, w wielu przypadkach jako będącą z nią w konfrontacji” – mówił polityk, który swoje stwierdzenia oparł na badaniu podręczników nauk społecznych w różnych klasach szkoły podstawowej, przeprowadzonym przez kataloński związek nauczycieli AMES. Ujawnione zostały także naciski ze strony władz Katalonii na wydawców podręczników szkolnych, aby dopasowywali ich treści do ideologii

separatystów. A ponieważ szkolnictwo i nadzór nad podręcznikami leżą w kompetencjach wspólnot autonomicznych, hiszpański minister oświaty rozkłada ręce. To samo tyczy się katalońskich mediów publicznych i instytucji kultury, uprawiających podobną indoktrynację i będących poza sferą działania władz centralnych.

O ile w czasach dyktatury Franco odrębność językowa i kulturowa Katalonii była tłumiona, o tyle od 1979 r., tj. od momentu uzyskania statutu wspólnoty autonomicznej, to raczej tożsamość hiszpańska i więzi z resztą kraju są coraz bardziej negowane, a mieszkańcy nieznający języka regionalnego dyskryminowani. Ci, którzy chcą pokazywać swoje przywiązanie do Hiszpanii, bywają nawet fizycznie atakowani. I tak w czerwcu br. sąd w Léridzie skazał grupę nacjonalistów katalońskich, którzy napadli w październiku 2014 r. na autobus wiozący grupę sympatyków Societat Civil Catalana (SCC), tj. politycznego stowarzyszenia Katalończyków przeciwnych niepodległości. Zwykły patriotyzm hiszpański jest kojarzony przez katalońskich nacjonalistów z faszyzmem, a przykłady takiej agresji ze strony separatystów i „antyfaszystów” można by mnożyć.

POLSKA KATALONIA

Separatyzm kataloński stanowi z kolei wzór do naśladowania dla innych ruchów w Europie żądających niepodległości lub autonomii. Jednym z przykładów może być chociażby polski Ruch Autonomii Śląska (RAŚ). W Polsce co prawda szkolnictwo jest domeną rządu w Warszawie, RAŚ stara się jednak oddziaływać w szkołach, wprowadzając tam swoje materiały propagandowe, a poza tym dzięki przychylności Platformy Obywatelskiej na Śląsku ma duży wpływ w sferze kultury. Podobnie jak katalońscy separatyści RAŚ wykorzystuje swoją pozycję, aby wprowadzać własną narrację kwestionującą polskość Śląska, nie zawsze zgodną z historyczną prawdą.

Jest tu jednak pewna istotna różnica: na Śląsku wchodzi w grę także czynnik zewnętrzny w postaci obcego państwa, jakim są Niemcy, które śląskich autonomistów wspiera jak może, m.in. za pośrednictwem lokalnej prasy będącej w niemieckich rękach. Przykład Katalonii pokazuje, że nie wolno takiej działalności w szkołach, kulturze i mediach bagatelizować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polacy oszaleli ze szczęścia?

Naprawdę, trudno wytłumaczyć, co się w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat stało z Polakami. Jak to możliwe, że ze skończonych smutasów i ponuraków, urodzonych czarnowidzów, defetystów i katastrofistów, ludzi od stóp do głów przepełnionych pesymizmem, z których wyduszenie choćby kilku ciepłych słów na temat teraźniejszości czy przyszłości graniczyło w cudem, nagle przemienili się w tryskających optymizmem szczęśliwców?

A właśnie tak się stało. Według badań ośrodka analitycznego Pew Research Center w 2017 r., całkiem niedawno, aż 64 Polaków zadeklarowało, że kondycja polskiej gospodarki jest bardzo dobra lub raczej dobra. To o całe 26 punktów procentowych więcej niż w roku 2015, kiedy podobną opinię podzielało 38 proc. rodaków, i o 15 punktów procentowych więcej niż w roku 2016, gdy z poglądem tym solidaryzowało się 49 proc. z nas. A w roku 2014 było przecież jeszcze gorzej, i to dużo gorzej: zdania, że polska gospodarka ma się bardzo dobrze lub raczej dobrze, było zaledwie 29 proc. Polaków.

I to właśnie z tego powodu – szokująco szybkiego tempa poprawy nastrojów – fenomen obecnej eksplozji polskiego optymizmu jest tak zadziwiający. Nigdy bowiem wcześniej, w żadnym z 32 krajów (17 rozwiniętych, w tym Polska, i 15 rozwijających się), w których ośrodek Pew prowadzi badania, nastroje nie uległy poprawie tak mocno w tak krótkim czasie. Równie

wyraźnie wzrósł w Polsce ostatnio także wskaźnik satysfakcji konsumentów, który wnosi już aż 88 punktów, gdy średnio w Europie – 81.

Tym to bardziej zdumiewające, że polskie dane ekonomiczne, choć od kilku miesięcy rzeczywiście coraz bardziej imponujące – z przyspieszającym tempem wzrostu gospodarczego (4 proc. PKB w pierwszym kwartale br., lecz w 2016 r. „zaledwie” 2,7 proc. PKB), z rekordowo niskim na razie deficytem budżetowym (w maju – 0,3 proc. PKB), z rosnącymi wpływami podatkowymi wskutek zwalczania oszustw, z najmniejszą od 26 lat stopą bezrobocia – robią wrażenie, to przecież nie oszałamiają. Nie zwalają z nóg. Trzeba jednak pamiętać, że informacjom o nich towarzyszą inne fakty: wypłaty dodatków z programu „Rodzina 500+”, wprowadzenie dość wysokiej godzinowej stawki płac, spore podwyżki płacy minimalnej i emerytur, w tym najniższych – do tysiąca złotych, przywrócenie niższego wieku emerytalnego, zapowiedź „500+” (czyli 500 zł) raz w roku dla każdego emeryta i inne prezenty od rządzących. Prezenty poczynione w znacznej mierze na kredyt i to taki – nie można tego wykluczyć – którego polscy podatnicy w przyszłości nie będą w stanie spłacić.

O tym przekonamy się jednak dopiero za kilka lat. I wtedy się rozstrzygnie, czy dzisiejsza erupcja optymizmu u tak wielu Polaków naraz nie jest aby na wyrost – i to mocno na wyrost. Ponad miarę, na którą nas nie stać. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Spojrzenie na Singapur

W światowych rankingach zamożności czołowe miejsca zajmują: Katar (ok. 130 tys. dol. dochodu rocznie na mieszkańca), Luksemburg (100 tys. dol.) i Singapur z wynikiem prawie 90 tys. dol. Dla porównania Polska jest w tych rankingach na miejscach 40.–50. z wynikiem ok. 27 tys. dol. Katar to kraj, który bogactwo zbudował na eksporcie surowców energetycznych. Luksemburg to mikroraj podatkowy dla globalnych funduszy inwestycyjnych. Zatem dla Polski te dwa kraje nie mogą służyć

konwersacji z autochtonami na przestrzeni minionych dwóch dekad.

Singapur prowadzi bardzo stanowiącą wojnę z używkami. Alkohol jest trzy razy droższy, a papierosy są 10 razy droższe niż w Polsce. Za wwiezienie narkotyków do Singapuru grozi kara śmierci. Biedni imigranci wykonujący proste prace kupują „fajki” na lewo, ale nigdzie nie widać pałaców. Taka polityka prawdopodobnie wynika po części z analizy wpływu używek na wydatki na zdrowie – chcesz palić i zwiększyć wydatki państwa na leczenie, to dołóż się w postaci wysokiej akcyzy. W Singapurze nie ma korków. Ceny samochodów są trzy razy wyższe niż w Polsce, za to jest bardzo dobrze rozwinięty transport publiczny. Rząd buduje mieszkania socjalne w bardzo wysokim standardzie. Większość obywateli mieszka w takich mieszkaniach. Ciekawe, jak przy tak dużym zaangażowaniu rządu w sektor budowlany unika się korupcji, której tu nie ma.

Uczelnie w Singapurze są na bardzo wysokim poziomie i współpracują z najlepszymi uczelniami świata. Na jednym z programów oferowanych wspólnie z Uniwersytetem Yale połowa wykładowców jest z Yale, a czesne to prawie 50 tys. dol. rocznie.

Wszędzie jest bardzo czysto, choć nie aż tak sterylne jak w Japonii. Wszędzie kwiaty i krzewy perfekcyjnie zadbane.

Co z tego wynika dla Polski? Absolutnie nic. Dalej się kłóćmy i opluwamy. ©©

Ciekawe, jak przy tak dużym zaangażowaniu rządu w sektor budowlany unika się korupcji, której tu nie ma

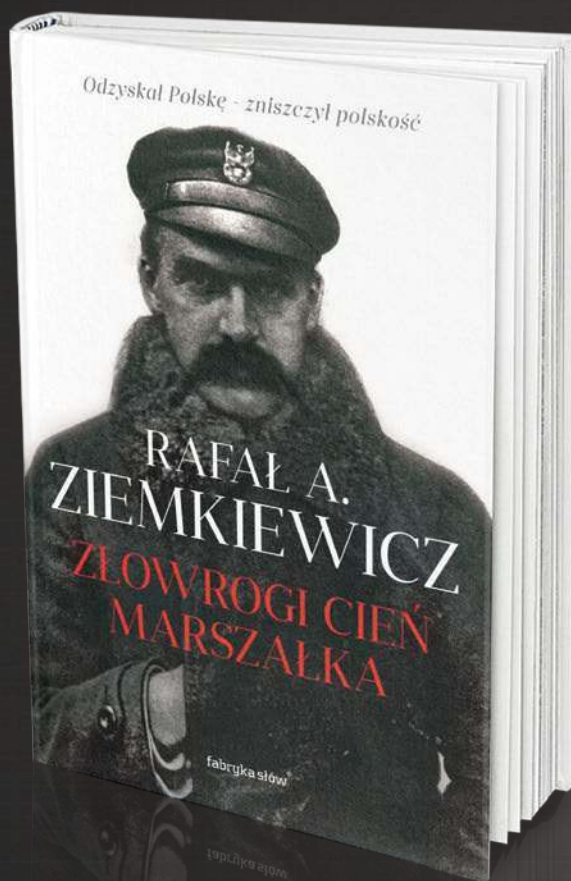
jako wzorce. Singapur jednak, cztery razy bogatszy od Polski, jest z pewnością ciekawym studium przypadku.

W tym roku jestem w Singapurze po raz trzeci na szkoleniu z automatycznej analizy obszernych danych tekstowych prowadzonym przez Narodowy Uniwersytet Singapuru. Na temat sukcesów tygrysów azjatyckich, szczególnie Singapuru, napisano tysiące opracowań. Ten artykuł opisuje niektóre z moich osobistych ekonomicznych obserwacji i efekty

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA „ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA”



„Rzucam na Polskę za duży cień”, miał ponoć powiedzieć Marszałek, z właściwą swej starości megalomanią. Duży czy mały – nie w tym rzecz, ale w tym, że jest to cień, w którym nic dobrego nie może wyrosnąć. W którym kwitnąć może tylko wiara w prymitywne recepty, w to, że wszystko stać się może siłą ducha i mocą słuszności, że trzeba tylko znaleźć wodza, oddać mu się całą duszą i bić kurwy i złodziei, które On do bicia wskaże.

Odurzeniu postacią Józefa Piłsudskiego zawdzięczmy do dziś marność naszej niepodległości i to wszystko, co do cna nam ją obrzydza. niesprawność państwa, bezkarność i wszechwładzę politycznych sił, chroniczny stan niemożności, a nade wszystko plemienność życia politycznego, spowodowanego do podjudzania Polaków przeciwko sobie.

140 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl fbea422e6c

TEST „DO RZECZY”: EPSON MOVERIO BT-300

Testowany gadżet to jedna z najnowszych zabawek dla rosnącego grona miłośników rozszerzonej rzeczywistości (Augmented Reality).

Okulary Moverio trzeciej generacji wyglądają nowocześnie. Z pewnością nie jest to sprzęt dla szpiegów. Wbudowana 5-megapikselowa kamera mocno rzuca się w oczy. A i design samych okularów z pewnością nie pozwala przejść obok nich obojętnie. Co przeszkadzałoby szpiegom, to dla geeków może być jednak plusem. Nowa generacja przezroczystych okularów do rozszerzonej rzeczywistości wygląda naprawdę niezłe. Do tego sama konstrukcja jest dość lekka, a jednocześnie sprzęt ma już przyzwoitą moc obliczeniową.

Największą zaletą trzeciej generacji okularów do rozszerzonej rzeczywistości są umieszczone w nich małe ekrany OLED. Ich rozdzielczość wynosi 1280 x 720 pikseli. Oglądany w nich obraz wygląda tak, jakbyśmy patrzyli na ekran o przekątnej 80 cali.

Dzięki połączeniu widoku na świat rzeczywisty z obrazem generowanym komputerowo można np. łatwiej sterować dronem, jednocze-

śnie patrząc na latający sprzęt i obserwując na ekranikach przesyłany w czasie rzeczywistym obraz z kamery drona. Moverio może być również wykorzystywane przez rowerzystów, którzy jednocześnie mogliby obserwować drogę i spoglądać na wirtualną mapę. Teoretycznie rozszerzona rzeczywistość może też komplet-

instrukcje obsługi i przyspieszyć pracę robotników.

Z kolei umieszczona z przodu kamera umożliwia robienie zdjęć i filmów bez użycia rąk. Potencjalne możliwości testowanego gadżetu są więc duże. Sercem urządzenia jest wydajny czterordzeniowy procesor Intel Atom X5, a pracę urządzenia steruje

system Android 5.1.

Zaletą trzeciej generacji Moverio jest też bateria, która wystarcza na pięć-sześć godzin pracy.

Podczas zabawy na słońcu przydają się również załączone w zestawie szkła przeciwsłoneczne.

Wadą testowanych okularów AR jest ograniczona możliwość dopasowania ich do twarzy użytkownika, co zmniejsza komfort przy dłuższym użytkowaniu tego gadżetu. Po stronie minusów trzeba również zapisać wciąż stosunkowo niewielką liczbę aplikacji, którymi możemy pobawić się za pomocą Moverio.

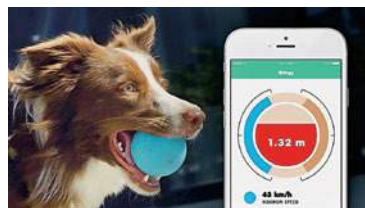
Cena: 3799 zł. © ©

Jacek Przybylski



nie odmienić doświadczenia związane ze zwiedzaniem muzeów. Za pomocą specjalnego oprogramowania zwiedzający mógłby bowiem jednocześnie patrzeć na szkielet dinozaura i np. oglądać film pokazujący, jak ten prehistoryczny gad wyglądał, gdy się jeszcze popłoch na Ziemi.

Okulary mogą również wyświetlać wirtualne



SKARB NIE TYLKO DLA SZARIKA

„Aport! Aport! Przynieś panu! A teraz oddaj piłeczkę, no

oddaj! Oddaj!”. Znać to? Jeśli macie czworonożnego przyjaciela, to na pewno wiecie, co mam na myśli. I na pewno też wiecie doskonale, że świetna zabawa dla niego nie polega na przynoszeniu panu/pani piłeczki, ale pozwalaniu, by zdyszany „ludź” gonił za nim i wyrwał zaślinioną piłkę z uszczęśliwionego pyska. Ewentualnie poszukiwał pozostawionej gdzieś w krzakach. A że w wakacyjnym okresie pogoda zachęca do częstszych spacerów i wspólnej zabawy z ukochanym futrzakiem, wielu może zainteresować inteligentna piłka dla czworonogów. Gadżet ów o znamiennej nazwie Brinky naszpikowany jest elektronicznymi czujnikami mierzącymi psią aktywność. Łącząc się ze smartfonem, informuje nas o szybkości biegu psa, pokonanej odległości i wysokości skoków, a w dodatku świeci w ciemności (piłka, nie pies). Aha, no i ma alarm, który w sytuacji, gdy nasz Burek uzna, że bardziej interesuje go pogonić za kotką sąsiadki, pozwala znaleźć zgubę pozostawioną gdzieś w krzakach. Brinky jest wstrząsoodporna, zęboodporna, również niewrażliwa na zaślinienie i w przedprodukcyj na Kickstarterze można ją zamówić za nieco ponad 150 zł.

KOŁDRA DLA WYGODNYCH

Gorąco? Faktycznie, wystarczyło kilka dni lata, by zwykła pościel zrobiła się diablo gorąca, otwarte drzwi balkonu nieco pomagają, ale jednocześnie zapraszają do środka wszystkie bzykające paskudztwa. Kto w upalne dni chce się wypaść nieco wygodniej, ten może pomyśleć np. o Smartduvet Breeze, czyli kołdrze, której temperaturę można regulować za pomocą aplikacji w smartfonie. Więcej, jeśli okrywają się nią dwie osoby, to każda może ustawić odpowiednią dla siebie temperaturę swojej części przykrycia. Jak to działa? Dzięki specjalnemu urządzeniu przypominającemu pompę, które wkładamy między poszwę a kołdrę. Po uruchomieniu aplikacji i ustawieniu temperatury „pompa” nieco się nadyrma oraz rozpoczyna ogrzewanie lub chłodzenie poprzez wdmuchiwanie powietrza o odpowiedniej temperaturze.



Co ciekawe, urządzenie pozwala też na automatyczne zaścienienie łóżka. W oficjalnej sprzedaży Smartduvet Breeze będzie od września, a na razie można ją zamówić na portalu Indiegogo w cenie ok. 1,2 tys. zł.

© ©

Wojciech Wybranowski

PHN
GDYNIA VIP RACING
2017



JUŻ 8 LIPCA 2017

II CHARYTATYWNE REGATY ŻEGLARSKIE POLSKIEGO HOLDINGU NIERUCHOMOŚCI S.A. PHN-GDYNIA VIP RACING

PHN-GDYNIA VIP RACING 2017

Regaty PHN-GDYNIA VIP RACING 2017 to rywalizacja sportowa i doskonała zabawa oraz wydarzenie promujące unikatowy na skalę Polski i Europy projekt deweloperski realizowany przez Grupę Kapitałową PHN - Yacht Park.

Regaty tradycyjnie zostały połączone z akcją charytatywną, w ramach której każda z drużyn regatowych przekaze darowiznę na rzecz Hospicjum dla Dzieci „Bursztynowa Przystań” w Gdyni.

POZNAJ YACHT PARK, NOWE OBLCZE GDYNI

Yacht Park w Gdyni to lokalizacja unikatowa na skalę Polski i Europy. Luksusowy kompleks mieszkalny, nowoczesna przystań jachtowa oraz aleja spacerowa z butikami i restauracjami stworzą miejsce, gdzie warto być.

Komfortowe apartamenty, z dużymi przeszkleniami położone tuż nad wodą sprawią wrażenie przebywania na luksusowym jachcie, gdzie jest mnóstwo słońca i czuć powiew morskiej bryzy.

PATRONATY HONOROWE



PARTNERZY MEDIALNI



SPONSORZY



PARTNERZY



Organizatorem wydarzenia jest Polski Holding Nieruchomości S.A.

epasa.pl tbea42ze6c

Grunty od ANR

Działalność Agencji Nieruchomości Rolnych poza kształtowaniem polityki rolnej w Polsce, przyczynia się również do polepszania warunków życia społeczności lokalnych, dzięki m.in. nieodpłatnie przekazywanym gruntom, na których gminy budują nowe wodociągi, drogi, a także szkoły i przychodnie zdrowia.

Gdy ponad ćwierć wieku temu powoływano do życia Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa (poprzedniczkę dzisiejszej Agencji Nieruchomości Rolnych), rolnictwo w Polsce było w fatalnej kondycji. Z jednej strony nierentowne Państwowe Gospodarstwa Rolne (tzw. PGR-y), z drugiej zaś liczne mikrogospodarstwa

indywidualne, w których niewiele produkowało się na rynek, a pełniły one raczej funkcję socjalną.

Powołana Agencja miała to zmienić. Jednym z jej kluczowych zadań było uwolnienie części gruntów z przejętych PGR-ów i przeznaczenie ich na powiększenie istniejących gospodarstw indywidualnych i tworzenie nowych, które

staną się pełnowartościowymi podmiotami na konkurencyjnym rynku. Obok tworzenia podwalin pod nowo tworzony ustrój rolny Agencja miała też za zadanie wyłączyć grunty potrzebne do zrealizowania pozarolniczych planów związanych m.in. z tworzeniem miejsc pamięci, ochroną przyrody, zabytków, zalesianiem, a nawet budową autostrad. Mówiąc w skrócie, zadania Agencji, aktualne zresztą do dnia dzisiejszego, skupiają się na szeroko rozumianym wspieraniu rozwoju społeczności lokalnych.

Realizując zadania wynikające z ustawy o obrocie gruntami rolnymi Skarbu Państwa ANR może nieodpłatnie przekazywać uprawnionym podmiotom nieruchomości wchodzące w skład Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa. Tymi podmiotami są m.in. jednostki samorządu terytorialnego, Lasy Państwowe, parki narodowe izby rolnicze, państwowe szkoły wyższe, a także byli pracownicy Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej (z co najmniej pięcioletnim stażem), będące bez pracy i bez prawa do zasiłku.

Największym beneficjentem Agencji są Lasy Państwowe, które w ubiegłym roku otrzymały nieodpłatnie 128 ha gruntów. Łącznie leśnictwom przypadło w udziale 154 tys. ha gruntów. Jednym z ważniejszych beneficjentów nieodpłatnego przekazania gruntów przez Agencję są jednostki samorządu terytorialnego, najczęściej gminy, które tylko w 2016 r. otrzymały nieodpłatnie 579 ha. Łącznie gminy w całej Polsce otrzymały od Agencji 57,6 tys. ha gruntów.

Pozyskane w ten sposób grunty gminy mogą wykorzystać na realizację zadań własnych. Zadania te, choć jest ich szeroki wachlarz, są bardzo konkretne i jasno określone w przepisach. Są m.in. związane z realizacją inwestycji infrastrukturalnych, w tym budowy wodociągów, zaopatrzenia w wodę, kanalizacji, ale również na cele ochrony zdrowia, pomocy społecznej, edukacji publicznej, kultury, sportu, a także tworzenia cmentarzy komunalnych. Agencja

Budynek socjalny z 24 mieszkaniami wybudowany w gminie Kobylnica



Samodzielne Publiczne Pogotowie Ratunkowe i Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Pruszczu Gdańskim





Szkoła na Białoleścu w Warszawie



Plac zabaw w Poraju

FOT.ANR (4)

może również w drodze umowy nieodpłatnie przekazywać uprawnionym jednostkom urzędu i obiekty, sieci energetyczne, wodno-kanalizacyjne, ciepłownicze. Oprócz tego również grunty pod wodami. ANR od początku istnienia przekazała w trwałe zarząd 3165 ha gruntów pod zbiornikami wodnymi do Regionalnych Zarządów Gospodarki Wodnej oraz Marszałków Województw.

Każde przekazanie nieodpłatne gruntów może nastąpić pod warunkiem spełnienia ustawowych wymogów przez nabywcę. Najważniejsze dotyczą: posiadania przez nabywcę aktualnego planu zagospodarowania przestrzennego lub chociaż studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego. Kolejna niezbędna rzecz, to jasno określone cele wybrane z katalogu zadań własnych jednostki samorządu terytorialnego, na które Agencja, zgodnie z ustawą, może przekazać nieodpłatnie grunt. Konieczne jest również wystosowanie pisemnego wniosku do właściwego oddziału terenowego lub filii ANR. Na koniec istotne jest precyzyjne wykorzystanie nieruchomości zgodnie z celem, na który została przekazana przez Agencję. Wszelkie odstępstwa od umowy przed upływem 10 lat od chwili przekazania nieruchomości spowoduje, że Agencja wystąpi do podmiotu z żądaniem zwrotu równowartości pieniężnej,

W ciągu 25 lat swojego funkcjonowania Agencja przekazała nieodpłatnie łącznie ponad 363 tys. ha gruntów. W samym 2016 r. ponad 2100 ha.

chyba że nabywca wcześniej zwróci przekazaną nieruchomość Agencji lub przekeże ją na inne cele publiczne lub własne wymienione w ustawie.

Anna Szymczak

MATERIAŁ INFORMACYJNY



Każdy z Oddziałów Terenowych ANR ma na koncie setki hektarów nieodpłatnie przekazanych gruntów. Jednym z liderów w tym względzie jest Oddział Terenowy ANR w Gdańsku. Od początku swojej działalności przekazał on na rzecz samorządów łącznie ponad 4220 ha gruntów. Na tym jednak nie koniec, ponieważ w tym roku gdański oddział planuje dalsze nieodpłatne przekazania, m.in.: 17 lokali mieszkalnych, 65 dróg gminnych, ośmiu nieruchomości na budowę kanalizacji, przepompowni lub oczyszczalni ścieków, dwie nieruchomości pod budowę hydroforni i wodociągów oraz dwie nieruchomości, na których powstaną cmentarze. Najciekawsze inwestycje powstałe na gruntach przekazanych nieodpłatnie przez gdański OT ANR to m.in.:

- Zlokalizowany w gminie Gniewino **kompleks rekreacyjny-wypoczynkowy nadjeziorem Żarnowieckim**, stanowiący atrakcję dla mieszkańców i turystów.
- Przekazana nieodpłatnie działka o powierzchni 0,28 ha Starostwu Powiatowemu w Pruszczu Gdańskim stała się miejscem, gdzie dobiega końca budowa **Samodzielnego Publicznego Pogotowia Ratunkowego i Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie**.
- Gmina Przechlewo pozyskała nieodpłatnie działkę z Zasobu wykorzystaną na budowę **żłobka dla dzieci**.
- W gminie Kobylnica na pozyskanym od Agencji gruncie powstał **nowy budynek socjalny z 24 mieszkaniami** dla potrzebujących rodzin.
- Na przekazaniu gruntów samorządom skorzystali też najmłodsi mieszkańcy gminy Wicko, gdzie powstał **nowoczesny i bezpieczny plac zabaw**.

Finansowanie bez

Nieodpłatne przekazanie gruntów będących w Zasobie Własności Rolnej Skarbu Państwa to tylko jedna z form pomocy świadczonej przez Agencję Nieruchomości Rolnych na rzecz społeczności lokalnych. Agencja oferuje też bezzwrotną pomoc finansową gminom i spółdzielniom mieszkaniowym, której łączna wartość przekroczyła 1 mld zł.



Ujęcie wody w miejscowości Długie (woj. lubuskie) przed modernizacją



Ujęcie wody w miejscowości Długie (woj. lubuskie) przed modernizacją

Agencja Nieruchomości Rolnych od 1999 r., obok wsparcia rzeczowego, oferuje na rzecz społeczności lokalnych pomoc finansową – bezzwrotną. Od roku 2009 pomoc ta jest udzielana w ramach Programu Pomocy Środowiskom Popegeerowskim (PPSP). Rok później do grona beneficjentów finansowego wsparcia z Agencji dołączyły też jednostki państwowe, samorządowe i komunalne, które wcześniej przejęły m.in. urządzenia, obiekty i sieci energetyczne, telekomunikacyjne, a nawet wodno-kanalizacyjne i ciepłownicze.

Wsparcie finansowe ma na celu doprowadzenie obiektów, przekazanych wcześniej beneficjentom przez Agencję, do stanu technicznego umożliwiającego ich sprawną i bezpieczną eksploatację. Bezzwrotna pomoc finansowa udzielana przez Agencję może objąć też remonty lub przebudowy budynków, lokali i obiektów infrastruktury technicznej, w tym przejętych dróg osiedlowych (dojazdowych). Mniej zamożnym podmiotom umożliwia także podłącze-

nia otrzymanych wcześniej budynków, lokali i infrastruktury technicznej do istniejącej gminnej infrastruktury technicznej bądź nowo budowanej, gdy remont przekazanych jest ekonomicznie nieuzasadniony. Innymi słowy, wsparcie z Agencji realizowane jest na dwóch poziomach: rzeczowym, polegającym na przekazaniu konkretnych nieruchomości, oraz finansowym, który pozwala zagospodarować beneficjentowi nieruchomości, umożliwiając ich sprawną i bezpieczną eksploatację.

Nie dziwi więc, że chętnych na tak kompleksowe wsparcie nie brakuje. Tylko w ubiegłym roku oddziały terenowe i filie ANR zrealizowały 205 umów o udzielenie bezzwrotnej pomocy finansowej, przekazując beneficjentom środki w łącznej kwocie 36 mln zł. Pieniądze te trafiły głównie do gmin – dokładnie 33,4 mln zł. Spółdzielnie mieszkaniowe otrzymały wsparcie w kwocie 2,6 mln zł. Pozostała kwota ponad 1,4 mln zł trafiła do innych podmiotów w tym ośrodków akademickich i jezdzieckich prowadzących działalność wydawniczą,



Ujęcie wody w miejscowości Długie po modernizacji

zwracania

badania naukowe, szkolenia, seminaria, konferencje i konkursy.

PIENIADZE DOBRZE ZAINWESTOWANE

Prawie połowa z ubiegłorocznej puli bezzwrotnej pomocy zasilila budowę i remonty dróg i chodników – na ten cel ANR przeznaczyła 17,8 mln zł. Kolejne 13,5 mln zł wsparło inwestycje związane z budową infrastruktury wodno-kanalizacyjnej, w tym sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, hydrofornie i stacje uzdatniania wody, a także nowoczesne oczyszczalnie ścieków. Pozostałe ponad 4,7 mln zł z ubiegłorocznej puli przeznaczono na remonty budynków i lokali – również mieszkalnych, kotłowni, sieci ciepłowniczych oraz budowę nowego energooszczędnego oświetlenia. Innymi słowy, środki te posłużyły do inwestycji, które w bezpośredni sposób ułatwiają życie społecznościom lokalnym.

Wśród liderów udzielania bezzwrotnej pomocy finansowej znalazły się Oddziały Terenowe ANR w Olsztynie, Gdańsku, Wrocławiu i Poznaniu. Pierwszy z wymienionych przekazał 9,9 mln zł, drugi 4,9 mln zł, pozostałe dwa po 4,7 mln zł.

Przykładów udanych inwestycji nie brakuje. Dość wspomnieć o przeprowadzonym remoncie budynku hydroforni wraz z wymianą urządzeń do uzdatniania wody w Domisławiu Górnym w gminie Czarne. Inwestycja została zrealizowana w 100% ze środków przekazanych przez OT ANR w Gdańsku, a jej efektem było zaopatrzenie popegeerowskich gospodarstw domowych w wodę pitną mającą właściwe parametry zdrowotne.

Inną ciekawą inwestycją zrealizowaną z udziałem przekazanej bezzwrotnej pomocy finansowej przez OT ANR w Gdańsku w 2016 r. była budowa ciśnieniowej sieci kanalizacji sanitarnej wraz z siecią kanalizacji grawitacyjnej z przyłączami w miejscowości Różewo.

Oprócz wyżej wymienionych przykładów wsparcia w ramach bezzwrotnej pomocy finansowej udzielonej przez OT w Gdańsku zyskały również społeczno-



Ujęcie wody w miejscowości Długie po modernizacji



Domisław – wyremontowana hydroforna

Od roku 1999 do końca 2016 Agencja Nieruchomości Rolnych udzieliła bezzwrotnej pomocy finansowej różnym uprawnionym instytucjom i organizacjom na kwotę ponad 1 mld zł. Tylko w 2016 r. wartość tej pomocy przekroczyła 36 mln zł.

ści lokalne z innych województw m.in. lubuskiego. Tamtejszy oddział terenowy w Gorzowie Wielkopolskim w latach 2007–2014 przekazał gminie Strzelce Krajeńskie ponad 2 mln zł na modernizację siedmiu ujęć wody pitnej, dzięki czemu okoliczni mieszkańcy zyskali dostęp do czystej i zdrowej wody.

Anna Szymczak



MATERIAŁ INFORMACYJNY

Śladami Gryfitów



Piotr Semka

Zamiast bezmyślnie smażyć się na plaży w Świnoujściu czy Międzyzdrojach, warto wybrać się choćby na jeden dzień za Odrę, na niemieckie Pomorze Przednie (Vorpommern), i poszukać śladów słowiańskiej dynastii, która tam kiedyś rządziła – do Dymina (Demmin) i Strzałowa (Stralsund)

Do Polski ziemie te należały za Mieszka I i potem za Bolesława Krzywoustego. Kiedy jednak Polska zaczęła słabnąć wskutek rozbitcia dzielnicowego, na dworze książąt Gryfitów zaczęły zwyciężać niemieckie wpływy kulturowe. Także Pomorze Gryfitów dopadło rozbitcie – zmora średniowiecznych państw i państewek.

Kolejnym czynnikiem odpychającym Gryfitów od Polski na początku XVI w. była reformacja. Gryfici przyjęli nauki Marcina Lutra. Wreszcie w połowie XVII w. dynastia wygasła, a ich włości podzieliły między siebie Prusy i Szwecja. Sztokholm utracił pomorską prowincję dość niedawno, bo dopiero w 1815 r.

Jednak do dziś można odnaleźć ślady niegdyś potęgi książąt pomorskich. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

PODRÓŻ ZACZYNAJEMY W ŚWINOUJŚCIU, skąd po przekroczeniu granicy w Ahlbeck przedostajemy się na niemiecką część wyspy Uznam. Drogą nr 111 jedziemy do miasta Wolgast, czyli słowiańskiej Wołogoszczy. Dawna stolica Gryfitów leży na styku wyspy Uznam i lądowej części Pomorza Przedniego. Wołogoszcz założył w 1282 r. książę Bogusław IV. W 1296 r. nastąpił podział Księstwa Pomorskiego na Pomorsko-Szczecińskie i Pomorsko-Wołogoskie. Miasto zostało na kolejne 1319 lat stolicą tego drugiego.

Historyczne ziemie księstwa obejmowały szeroki pas wybrzeża oraz bałtyckie wyspy: Wolin, Uznam i słynącą z białych klifów Rugię (na zdjęciu). Książętom podlegało 20 grodów i osad wczesnosłowiańskich. Wizytę w Wolgąście zaczynamy od spaceru nad rzeką Peene, po polsku Pianą. Po dawnym zamku nie ma już dziś śladu. Jak to często bywa na Pomorzu – to dzieło

Rosjan. Twierdzę spaliły wojska Piotra Wielkiego, które spustoszyły Pomorze podczas wojny północnej. Ruiny rozebrano w 1820 r., pozostaje więc tylko spacer wzdłuż starych spichrzów nad rzeczką. Nad miastem wznosi się kościół farny św. Piotra. To prawdziwe arcydzieło pomorskiego gotyku. Zbudowano go na miejscu starej pogańskiej gontyny ku czci bożka Jarowita, po misyjnej wizycie w 1128 r. św. Ottona z Bambergu, apostoła Pomorza. Wołogoską farę odwiedzamy, aby obejrzeć nekropolię pomorskich książąt. W kaplicy grobowej Gryfitów można zobaczyć bogato zdobione trumny władców: księcia Filipa I (1515–1560), księcia Ernesta Ludwika (1545–1592) i księcia Filipa II Juliusza (1584–1625), ostatniego z wołogoskiej linii rodu. W podłodze przed ołtarzem tkwią pięknie rzeźbione drzwi z herbem rodu – Gryfem. Prowadzą one do krypty, w której spoczywają pomorskie księżniczki: Amalia (1547–1580), Zofia Jadwiga (1567–1631) i Jadwiga Maria (1579–1606).

Wolgoski Peterskirche słynie też z cyklu Totentanz – 24 malowideł tańca ze śmiercią. To typowy dla średniowiecza, a potem baroku, motyw kostuchy pojawiającej się u boku królów, bogaczy, sędziów i biskupów jako znaku marności tego świata. Malowidła w Wolgąście powstały w 1700 r. Warto też zwrócić uwagę na modele żaglowców przymocowane do ścian kościoła – to wota żeglarzy, ofiarowane za cudowne ocalenia z morskich sztormów.

Miasto szczyci się również tym, że właśnie tu urodził się Philipp Otto Runge, malarz niemieckiego romantyzmu. W muzeum miejskim na pl. Ratuszowym obejrzymy szkice żyjącego tylko 33 lata mistrza malarskiej fantastyki.

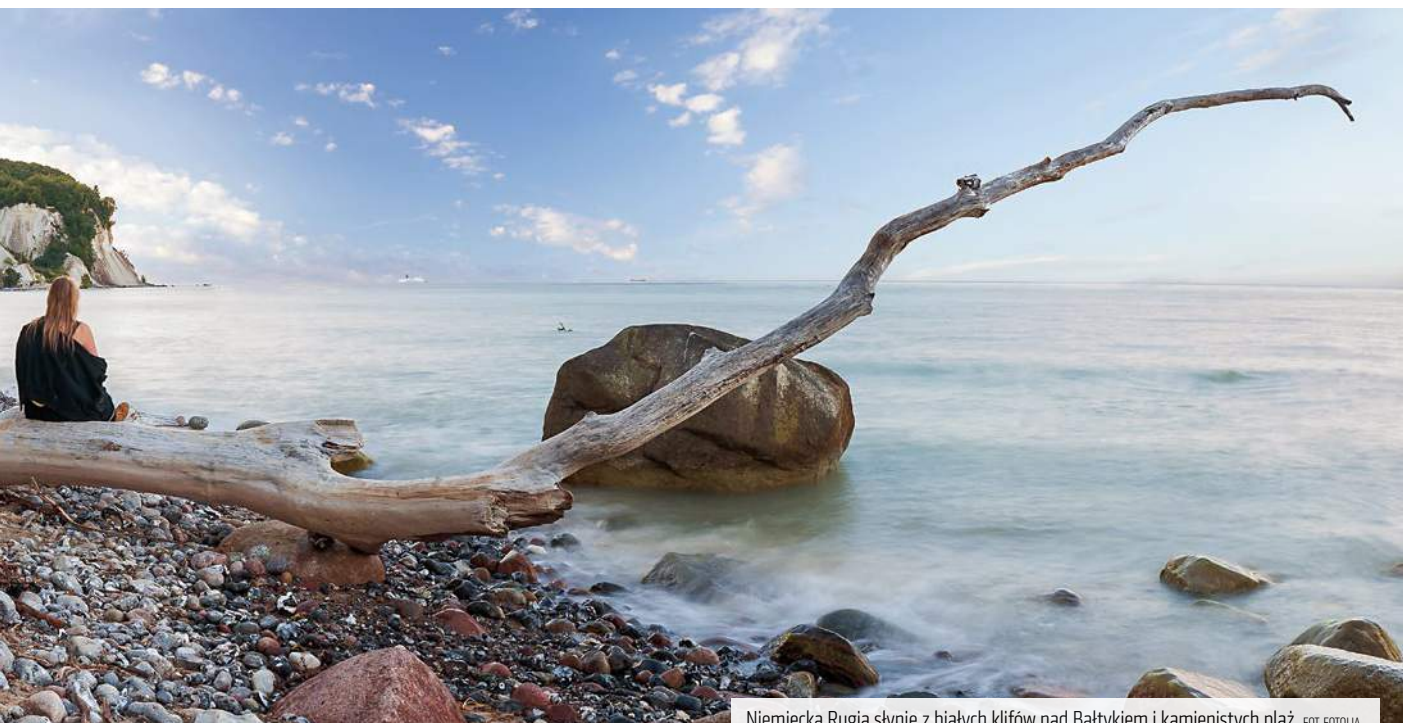


Na rynku w Wołogoszczy można podumać, jak wyglądałoby dziś słowiańskie księstwo przy filiżance kawy w Cafe Hegede (Am Markt 5) albo Cafe Central (Hinter dem Rathaus 7).

Z WOLGASTU POSUWAMY SIĘ NADAL DROGĄ NR 111 DO GREIFSWALDU, czyli po polsku – Gryfii. Przed wjazdem do centrum warto zatrzymać się na przedmieściu Eldena. To nazwa klasztoru Cystersów, założonego w 1199 r. – chyba najbardziej znanych ruin w Niemczech. Rozstawił je kolejny geniusz romantyzmu, urodzony w Greifswaldzie malarz Caspar David Friedrich. Mistrz uwiecznił resztki opactwa na kilkunastu obrazach i szkicach.

I dzisiaj grube ceglane mury, sterczące nawet na kilkanaście metrów w górę, imponują. Nietrudno wyobrazić sobie, jak opactwo wyglądało w średniowieczu – spróbujmy przyjrzeć się, gdzie był kościół, gdzie wirydarz, gdzie krużganki, a gdzie pomieszczenia zakonników. Między XIV a XV w. tu właśnie składano pośmiertne szczątki książąt wołogoskich. Na zachowanej ścianie widnieje tablica z ich imionami: Wartisław, Bogisław, Anna von Polen.

GREIFSWALD, stare hanzeatyckie miasto, wywalczyło w państwie Gryfitów specjalne prawa Księstwa Pomorskiego. W godnym uwagi muzeum Meklemburgii-Przedpomorza (Pommersches Landesmuseum) prześledzimy historię tych ziem. To



Niemiecka Rugia słynie z białych klifów nad Bałtykiem i kamienistych plaż. FOT. FOTOLIA

oczywiście wizja historii z niemieckiego punktu widzenia, choć z uwzględnieniem słowiańskiej prehistorii terenu. W sali na temat książąt pomorskich obejrzyjcie galerię portretów kolejnych władców z rodu Gryfitów oraz ich żon. Zachwyca zbiór średniowiecznych rzeźb kościelnych, ale najefektowniejszy eksponat to tzw. kobierzec Croya z 1554 r. Imponujący gobelin (6,8 na 4,3 m) uwiecznił rodzinę książąt i związanych z nią saskich Wettinów u stóp ambony, z której nauki głosi Marcin Luter.

W galerii malarstwa w tymże Landesmuseum trzeba zobaczyć obrazy: Caspara Davida Friedricha, malarza potęgi natury, oraz naszego znajomego z Wolgastu – Philippa Ottona Rungego, odkrywcy tego, co w naturze piękne i tajemnicze.

Greifswald, szczęśliwie nietknięty przez ostatnią wojnę, jest wart parogdzinnego zwiedzania. Miasto szczyci się uniwersytetem założonym w 1456 r. jako Academia Gryphica. Studiował na niej na początku XX w. znany polski działacz odrodzenia kaszubskiego, Aleksander Majkowski.

Zabytkowy rynek, ratusz, katedra św. Mikołaja, fara św. Jakuba i kościół Mariacki nadal wyglądają jak na obrazach Friedricha.

W DRODZE DO POLSKI, tuż za kurortem Uckeritz, skróćmy parę kilometrów



w bok do miejscowości Pudagla, niegdyś słowiańskiej Podgłowy. Historyk tradycji dawnego księstwa Gryfitów, ks. January Żelawski, pisze, że w Podgłowie było kiedyś jedno z najpopularniejszych sanktuariów maryjnych na Pomorzu Zaodrzańskim. Klasztor zakonu Norbertanów zbudowano na wzgórzu, czyli „głowie”, ponad cyplem wcinającym się malowniczo w jezioro Schmollensee. Pięć wieków temu przybywały tu liczne pielgrzymki w święta maryjne i odpusty.

Rozkwit opactwa zastopowała reformacja. W 1574 r. książę pomorski Ernest Ludwig zamienił klasztor

Coś na ząb po staropomorsku

Pudagla, czyli Podgłowa, to nie tylko resztki dawnego klasztoru, lecz także restauracja Schloss w budynku dawnego zameczku Gryfitów.

Jeśli ktoś chce spróbować dań starej pomorskiej kuchni, to polecam potrawę o tajemniczej nazwie Tuffel und Plum. Jest to kartoflanka z boczkami i suszonymi śliwkami. Słowiańskie korzenie przypomina swą nazwą danie o nazwie Tollatsch. To tradycyjny, choć już nieco zapomniany specjał. Pod tą nazwą kryje się słodka kaszanka z migdałami, rodzynkami i piernikowym aromatem. Kiedyś była to potrawa towarzysząca jesiennemu i zimowemu świątecznemu.

w świecki pałac, zwany nieco na wyrost zamkiem, który przeznaczyl dla swojej matki, Marii. Dzisiaj o dawnej chwale świadczy tylko pyszny herb Gryfitów na portalu pałacu i stary średniowieczny mur dawnego opactwa. Warto uważnie wpatrzyć się w bryłę pałacu od strony podwórza, by zauważyć, iż zbudowano go w taki sposób, żeby wewnątrz znalazł się stary klasztorny kościół. Pomódlmy się chwilę w miejscu dawnego sanktuarium i jeśli nie chcecie odwiedzić restauracji zamkowej, to możemy już wracać drogą 111 za Odrę. Gryfici odebrali należny im hołd.

Fale wśród fal



Łukasz Zboralski

Latem radiowcy podróżują razem ze słuchaczami i oferują im koncerty oraz konkursy. Polskie Radio w ramach „Lata z radiem” zaplanowało aż 20 imprez

W górach i nad wodą radio umiła urlopowy czas. Wyjątkiem są od kilku lat nadbałtyckie plaże miejskie, na których panuje moda na nieustanne przymusowe przygrywanie

plażowiczom przez potężne głośniki i na których w ciągu dnia trudno usłyszeć, jak naprawdę szumią morskie fale, bo słychać tam tylko nieustanne dudnienie w stylu disco. Żeby od niego uciec, trzeba naprawdę sporo maszerować po piasku. A tam, gdzie nikt nikomu nie przeszkadza, gdy będzie chciało się okraścić urlop radiową rozrywką, będzie w czym wybierać.

DO UCHA

Wiele stacji przygotowało specjalne wakacyjne serwisy i audycje. Od poniedziałku 3 lipca w radiowej Trójce zacznie obowiązywać letnia ramówka. A tam niespodzianka dla fanów znanego podróżnika Wojciecha Cejrowskiego. Wraca na antenę emitowana już kiedyś w Programie Trze-

cim „Audycja podzwrotnikowa”, a w niej anegdoty z podróży i muzyka z tropików – z Afryki, Australii czy Wypłaski. Ma się też pojawić program z debiutantami. W audycji „Dzika karta” nadawanej w wakacyjne niedziele po północy dziewięć młodych didżejów dostanie godzinną szansę na zaprezentowanie swoich umiejętności.

Z kolei w RMF FM każdy słuchacz ma szansę zostać gwiazdą. Jeśli w aplikacji RMFConnect nagra swoją wersję ulubionego przeboju, to zostanie ona zaprezentowana słuchaczom. Komu wakacje w tym roku nie wyszły, może wyzaliczyć się w konkursie „RMF ratuje wakacje” i wygrać plażowe gadżety. W niedzielę można w RMF FM usłyszeć celebrytów,



FOT. MICHAŁ ADAMOWSKI/REPORTER

Kalendarz wakacyjnych imprez radiowych

- 3 lipca** – Katowice („Słoneczny patrol” RMF FM)
- 8 lipca** – Wyszaków („Lato z radiem” PR1)
- 9 lipca** – Siemiatycze („Lato z radiem” PR1)
- 9 lipca** – Kołobrzeg („Przebojowe lato Radia Zet i Polsatu”)
- 10 lipca** – Białystok („Słoneczny patrol” RMF FM)
- 15 lipca** – Wągrowiec („Lato z radiem” PR1)
- 16 lipca** – Solec Kujawski („Lato z radiem” PR1)
- 17 lipca** – Rzeszów („Słoneczny patrol” RMF FM)
- 22 lipca** – Puck („Lato z radiem” PR1)
- 23 lipca** – Krynica Morska („Lato z radiem” PR1)
- 24 lipca** – Radom („Słoneczny patrol” RMF FM)
- 29 lipca** – Katowice („Lato z radiem” PR1)
- 30 lipca** – Gogolin („Lato z radiem” PR1)
- 31 lipca** – Gdańsk („Słoneczny patrol” RMF FM)
- 5 sierpnia** – Miastko („Lato z radiem” PR1)
- 6 sierpnia** – Stegna („Lato z radiem” PR1)
- 7 sierpnia** – Ustka („Słoneczny patrol” RMF FM)
- 12 sierpnia** – Stalowa Wola („Lato z radiem” PR1)
- 13 sierpnia** – Tomaszów Lubelski („Lato z radiem” PR1)
- 19 sierpnia** – Rabka-Zdrój („Lato z radiem” PR1)
- 20 sierpnia** – Piotrków Trybunalski („Lato z radiem” PR1)
- 26 sierpnia** – Łomża („Lato z radiem” PR1)
- 27 sierpnia** – Augustów („Lato z radiem” PR1)

którzy w audycji „Gwiazdy na leżaku” zamieniają się w radiowych didżejów.

DO ZABAWY

Latem stacje radiowe chcą mieć ze słuchaczami jeszcze bliższe spotkania niż poprzez eter i głośniki urządzeń. Ruszają więc na spotkanie letników w terenie. Radio Zet i Polsat w tym roku swoje „Przebojowe lato” zaplanowały w Kołobrzegu. 9 lipca na plaży wystąpi wiele gwiazd. Główną gwiazdą będzie Måns Zelmerlöw, zwycięzca 60. Konkursu Eurowizji. A oprócz niego wystąpią: Ewa Farna, Grzegorz Hyży, Sarsa, Urszula, Kasia Cerekwicz, Natalia Szroeder, Gromee z Mahan Moin, Red Lips i Karolina Artymowicz. Koncert będzie transmitowany w Polsce.

W wakacyjną trasę rusza też RMF FM. „Słoneczny patrol” przejedzie przez sześć polskich miast, w których odbędą się koncerty i konkursy. Zacznie się 3 lipca od koncertu Ewy Farnej w Katowicach. A potem będzie jeszcze pięć koncertów, na których wystąpią: Ruda z Red Lips, Mateusz Ziółko, Margaret, Sarsa i Enej.

Najbardziej rozbudowaną wakacyjną ofertę tradycyjnie przygotował Program Pierwszy Polskiego Radia, który od prawie pół wieku proponuje słuchaczom audycję „Lato z radiem”. Jej muzyczny znak firmowy – „Polka Dziadek” – jest chyba jednym z dwóch najlepiej rozpoznawanych w Polsce sygnałów radiowych, obok wygrywanego w południe w Jedyne

hejnału z wieży kościoła Mariackiego w Krakowie. Ta melodia (ludowa, powstała pod koniec XIX w. na terenie dzisiejszej Austrii, a rozpropagowana w Polsce przez Karola Namysłowskiego) towarzyszy „Lato z radiem” od pierwszej audycji w 1971 r. – a była to pierwsza w kraju audycja radiowa prowadzona na żywo.

Tak jak w innych stacjach w PR latem można brać udział w konkursach. Od poniedziałku do piątku słuchacze Jedynek mogą zagrać w skojarzania i rozwiązać zadanie związane z ciekawostkami historycznymi i kulturalnymi. Codziennie do wygrania jest elektryczna deskorolka lub czteroosobowy rejs po Mazurach, a za kolejne miejsca są: kupony na prezenty, elektroniczne gadżety i koszulki. W drugim konkursie – „Radioprzyjaciel w podróży” – będzie można zdobyć maskotki audycji.

Najważniejsze jednak będą audycje, których luźniejsza tematyka z pewnością pozwoli się słuchaczom rozzerwać (do tej pory można było np. posłuchać rad na temat zorganizowania wspaniałego i niedrogiego urlopu czy posłuchać o miejscach, w których nagrywano najśłynniejsze polskie filmy; poprowadzą je Roman Czajarek, Marta Januszewska, Monika Tarka-Kilen i Robert Kilen), oraz przede wszystkim ogromna trasa koncertowa.

„Lato z radiem” zaprasza słuchaczy do zabawy aż w 20 miejscach. A liczba gwiazd, które wystąpią na scenach, jest imponująca: Afromental, Andrzej Piaseczny, Ania Dąbrowska, Anna & The Barbies, Arka Noego, Blue Café, Bum Bum Orkestar, Cleo, Dawid Kwiatkowski, De Mono, Enej, Feel, Golec Uorkiestra, Halina Mlynkova, Hey, HLA 4 transplant, Ira, Jary Oddział Zamknięty, Jerzy Grunwald, Kasia Popowska, Kombii, Lady Pank, Maciej Pol, Magda Steczkowska, Maleo Reggae Rockers, Małgorzata Ostrowska, Margaret, Maryla Rodowicz, Mateusz Mijał, Michał Szpak, Nocadeń, Papa D, Patrycja Markowska, Pectus, Rafał Brzozowski, Red Lips, Szafa Gra, Szymon Wydra & Carpe Diem, Tercet, czyli Kwartet, T.Love, Tomek Kamiński, Urszula, Varius Manx & Kasia Stankiewicz, Viola Brzezińska, Zakopower.

Do tej pory „Lato z radiem” odwiedziło już Płońsk, Włocławek, Cieszyn i Świeradów-Zdrój. Najbliższe koncerty odbędą się 8 lipca w Wyszakowie (m.in. Maryla Rodowicz) oraz 9 lipca w Siemiatyczach (m.in. Michał Szpak). A ostatni z koncertowej trasy odbędzie się 26 sierpnia w Augustowie (m.in. Feel i Afromental).



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Prosto z wielkiego stepu

Kuchnia ludów ze stepów Azji zawsze kojarzyła mi się z wakacyjnym jedzeniem przygotowywanym na ognisku, w jurcie, namiocie, piecu z kamieni. Wciąż występuje w niej wiele osobliwości, które możemy znaleźć jedynie w Mongolii i w północnych Chinach. Albo w dawnych sowieckich republikach, które ZSRS pokrył blokowiskami i kołchozami, ale w których nie zdołał wykorzystać przywiązania miejscowych ludów do tradycyjnych potraw. Jedną z nich jest chleb zwany z rosyjska „lepioszką”, znany jak Azja długa i szeroka, choć w dawnych republikach mówi się na niego „nan” lub „non”.

Przygotowywany jest z pszennej mąki, wody i soli, a także drożdży. Ciasto zagniatą się w duży placek, który na środku zostaje przedziurawiony, aby nie pękał ani nie wyrastał nad miarę. Następnie umieszcza się go na drewnianej tacce, a potem wsuwa do pieca i... przykleja do ściany! Lepioszka piecze się przez kilka minut – potem powinna dać się łatwo odkleić

(chyba że nie jest jeszcze gotowa). Do wyrobu tych chlebów potrzeba oczywiście tradycyjnego, glinianego pieca zwanego „tandor”, opalanego drewnem albo wysuszonym, zwierzęcym nawozem.

Innym niezwykłym przysmakiem jest beszarmak znany w Kirgizji, Kazachstanie, a także u Tatarów i Baszkirów. Jego nazwa oznacza dosłownie „pięć palców”, bo jada się go prawą ręką. To specyficzne danie składające się z baraniny lub koniny, gotowanej z szerokimi płatkami makaronu i zalanej mięsnym wywarem z dodatkiem marchwi lub cebuli oraz pietruszki. Beszarmak wygląda tak w wersji poprawnej politycznie, strawnej dla Europejczyków. W lokalnej podawany bywa z dodatkiem... baraniego lub końskiego łba, ze zwierzęcia, z którego pochodziło mięso.

Inne przysmaki z Turkmenistanu, Tadżykistanu i krajów leżących kiedyś na drodze podbojów Mongołów są bliskie kuchni tureckiej i tatarskiej. Choćby tadżycki płow – ryż z mięsem wołowym i marchwią, duszony na oleju z...

bawełny, która stanowi jedyne bogactwo tego ubogiego kraju. Ciekawe danie to turkmeńska polewka kiufta-szurpa z kości baranich z dodatkiem warzyw oraz małych, jagnięcych kotlecików. Z kolei kirgiskie specjały to pilaw, czyli zwykły ryż z warzywami, głównie marchewką i jagnięciną, oraz lagman. Jest to po prostu gruby makaron z warzywami i baraniną, przypominający trochę beszarmak. Z tego kraju pochodzą wreszcie szaszłyki z kawałków mięsa lub przygotowywane z kotlecików z mięsa mielonego nadzianych na szpikulce. Jeśli dodatkowo owiniemy je w plastry boczku, dostajemy tzw. ormokebab.

W Kirgizji znane są również: mastava – zupa ryżowa z warzywami, shorpo – tłusty rosół z baraniny, z dodatkiem ziemniaków i marchewki; gotowane warzywa z mięsem, zwane dylama, i bardzo już współczesny kur drak, czyli ziemniaki z mięsem. Albowiem jak wiadomo wszem wobec, kartofli było na stepach Azji jak na lekarstwo. ©©



Beszarmak

Dwa kilogramy tłustej baraniny albo wołowiny, względnie koniny, wkładamy w całości do garnka z wodą, gotujemy, aż zacznie wrzeć, zbieramy łyżką pianę i gotujemy na małym ogniu przez jakieś trzy godziny. Na koniec dodajemy dużo soli, pieprzu i liście laurowe.

W tym samym czasie przygotowujemy ciasto z dwóch szklanek mąki, jajka, łyżeczki soli i wody. Zagniatamy je, rozwałkowujemy na bardzo cienkie placki (jakieś 1–2 mm grubości). Podsuszamy przez ok. 10 min i tnemy na prostokątne kawałki o szerokości 5 cm.

Pół litra bulionu z garnka z mięsem przelewamy go do osobnego naczynia i podgrzewamy, aż zacznie wrzeć. Wtedy wrzucamy do niego kilka cebul pokrojonych w krążki. Mieszamy, aż stanie się miękka, potem przykrywamy i odstawiamy. Wyjmujemy mięso z bulionu i kroimy na kawałki, które także odstawiamy. Doprowadzamy bulion do wrzenia i wrzucamy makaron. Gotujemy ok. 5 min. Potem wyciągamy z garnka i kładziemy na talerzach; na nie z kolei kawałki mięsa, na wierzch zaś dorzucamy odcedzoną cebulę; posypujemy to wszystko pokrojoną natką pietruszki i szczypiorkiem. Bulion, który pozostał po mięsie, możemy podać w kubkach do popicia albo polać nim całe danie. Zamiast cebuli albo obok niej możemy też dodać gotowaną marchewkę.

ŁAGODNE SMAKI JACKA PIEKARY

Zastanawiałem się, o jakiej potrawie dla państwa napisać. Czy snuć romantyczną opowieść o łososiu w ananasowej kamizelce, który przechadza się po pomarańczowym gaju? Czy może raczej opowiedzieć krótką, męską historię o fasolowo-mięsny smietniku zaprawionym chilli rzucającymi całymi garściami? Jednak po namyśle postanowiłem przedstawić wam coś łagodnego i niekontrowersyjnego. Coś, co z przyjemnością zjedzą zarówno dziecko, jak i bezżębny starzec czy para młodych ludzi. Coś, co w czasie przygotowań nie zasmrodzi wam domu i co szybko oraz bez trudu przygotowuje nawet osoba niemająca dużego doświadczenia i talentu kulinarnego.

Składniki:

- pierś kurczaka
- słodka musztarda
- ulubiony żółty ser
- składniki wybranej panierki
- przyprawy

Przygotowanie:

Rozbić pierś kurczaka. Przyprawić według upodobań. Naciąć w połowie szerokości, aby powstało coś w rodzaju kieszonki. Kieszonkę wysmarować od środka słodką musztardą (łyżeczka lub więcej). Do tak przygotowanego wnętrza włożyć plaster ulubionego żółtego sera (ja preferuję intensywny w smaku). Kieszonkę spiąć

wykalczkami, aby zawartość nie wylała się w trakcie smażenia. Pierś obtoczyć następnie w jajku i mące (lub zamiast mąki w bułce tartej czy pokruszonych płatkach kukurydzy). Smażyć na złoty kolor. Będzie naprawdę pyszne. Soczyste i delikatne.

Na koniec opowiem państwu o moim chyba najzabawniejszym przeżyciu kulinarnym. Oto w latach 80. pracowałem w Londynie w wietnamskiej restauracji (jako jedyny biały z obsługi, a białych nie było też wśród klientów!). Pierwszego dnia na obiad dostałem zestaw z mięsem, sałatką i dość dziwnie wyglądającym makaronem. Kiedy go zacząłem jeść, okazało się, że ów „makaron” ma oczka. Malutkie. Niczym główki szpileczek. Jednak co miałem robić? Zjadłem. W końcu wszyscy jedli... A poza tym czymkolwiek ten „makaron” był za życia, to dzięki Bogu już dawno temu umarł. Bo ruszającego się i wijącego nie dałbym jednak rady przełknąć. ©© *oprac. raw*

Jacek Piekara jest pisarzem, był redaktorem czasopism o grach komputerowych i fantasy.



FOT. ARCHIWUM JACKA PIEKARY



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zbigniewie, nalewaj!

Nalewka – trunek, który łączy w sobie przyjemne z pożytecznym – przeżywa comeback. Tym, dla których alkohol jest przyjemnością, pocucie winy zrekompensuje dobrodziejstwo owoców i ziół. A do tego nalewki są lokalne, tradycyjne, swojskie, czyli jedynie słuszne. Rozkoszy ich degustacji zażywałam, uczestnicząc z gronem znajomych w seansie nalewkowym u mistrza gatunku, Zbigniewa Sierszuły. Nasz gospodarz, wielokrotnie nagradzany, zasiadający w kapitułach konkursów nalewek, od przeszło 40 lat komponuje ich smaki. W domu w Kątach pod Górą Kalwarią degustowaliśmy część imponującego dorobku pana Sierszuły.

Żeby procentów nie przyjmować na pusty żołądek, część gastronomiczną zapewnił wybitny kucharz, restaurator i publicysta kulinarny, Aleksander Baron, którego znakiem firmowym są kieszonki. Jego książka „Suwała, Baron i inni, przepisy i opowieści” została nagrodzona w tym roku w prestiżowym konkursie Gourmand World Cookbook Awards.

Wsalonie domu pana Sierszuły piętrzą się słoje, butelki i gąsiory. Nalewki dojrzewają, macerują się, leżakują. Dwa lata, cztery, czasem sześć. Na start otrzymujemy dwa zdrowotne pociski: młode pieczone buraczki, a do nich kieliszek zbawiennej dla żołądka i morderczej dla

bakterii orzechówki. Uwaga, tylko z orzechów zbieranych na przełomie czerwca i lipca! Dalej: pieróg z nadzieniem z kaszy gryczanej, do niego dzięgielówka na korzeniu arcydzięgla – rośliny o legendarnych właściwościach leczniczych. Potem, gdy mistrz

Baron serwuje pomidory w trzech odsłonach: wędzone, kwaszone i pieczone, pan Zbigniew rozlewa do kieliszków cudotwórczy rokitnik.

Jego pomarańczowe jagódki, powoli u nas doceniane, to bomba witaminy C, której żadne przetwarzanie nie jest w stanie unicestwić. Następnie do blińców z ikrą dostajemy limoncello o smaku

stokrotnie bardziej wyrafinowanym niż te, które przywozimy z wakacji we Włoszech. Czarna mirabelka towarzyszy lekkiemu jak mgiełka musowi z kurzej wątróbki, półgęsek popijamy dereniówką, a tatarowi z sarny akompaniuje esencjonalna tarninówka. Zbieramy siły, bo jeszcze czekają nas sandacz z sześciolletnią pigwą, gęsia omasta z królową – wiśnią łutówką. Deser wieńczy dzieło: grillowany rabarbar z nalewką z owoców czarnego bzu oraz dla najdzielniejszych kogel-mogel (ach, smaki dzieciństwa!) z aroniówką.

Uczta była wspaniała, jednak degustacja w moim przypadku, osoby mało odpornej na alkohol, musiała skończyć się dwiema tabletkami 2KC, które zaaplikowała mi przyjaciółka. Jednak było warto. ©©



FOT. FOTOLIA

NASZ TEST: KIA NIRO

Crossover z Korei Południowej, choć swym wyglądem nie rzuca na kolana, to jego masywna sylwetka może się spodobać. Jednocześnie auto nawet nie próbuje sprawiać wrażenia terenowego. Jego prześwit to zaledwie 16,3 cm. Brak plastikowych osłon podoczek na nadwoziu jednoznacznie pokazuje, że ten podniesiony hatchback został raczej stworzony do pokonywania wysokich miejskich krawężników niż przeszkód w terenie. Jego największą zaletą jest spalinowo-elektryczny napęd, który pozwala niemal bezgłośnie podejść pod dom.

W KABINIE

Wykończenie wnętrza jest tak stonowane, że sprawia wrażenie, jakby auto zostało zaprojektowane z myślą o taksówkarzach. Uniwersalny design nie porywa, ale raczej nie powinien też nikogo odstraszać. Nieco kontrowersyjne mogą być jedynie lakierowane, „fortepianowe” wstawki w drzwiach, typowe dla aut przeznaczonych dla osób z ekologicznym zacięciem.

W najwyższej wersji wyposażenia podobać może się spory, 8-calowy ekran do obsługi nawigacji, kamery cofania etc., a także niezły 8-głośnikowy system nagłośnienia firmy JBL. Fanów nowoczesnych smartfonów ucieszy też informacja, że swoje komórki mogą w Niro ładować indukcyjnie. Biorąc pod uwagę różne nowoczesne technologie zastosowane w Niro, kuriozalnie wygląda hamulec „ręczny”, który w tym modelu ciągnięty jest nogą zamiast – jak przystało na auto z drugiej dekady XXI w. – za pomocą jednego przycisku.

Miejsca w środku jest dużo. Nawet na tylnej kanapie można więc posadzić wysokie osoby, które nie powinny narzekać na brak miejsca na nogi ani na zbytnią zażyłość z podsufitką. Jak na auto rodzinne kufer jest jednak dość mały. Jego pojemność wynosi 347 l i jest nieco mniejsza od



bagażników w takich crossoverach jak Nissan Qashqai i Opel Mokka.

JAZDA

Połączenie silnika benzynowego o pojemności 1,6 l oraz jednostki elektrycznej sprawia, że możemy uzyskać łącznie moc 141 koni mechanicznych. Pozwala ona przyspieszyć od 0 do 100 km/godz. w 11,5 s. Szału nie ma. Podwyższony południowokoreański kompakt jest jednak na tyle dynamiczny, że nie sprawia problemów ani podczas jazdy po mieście, ani podczas wyprzedzania na wakacyjnej trasie (bardzo długa prosta nie jest potrzebna, zwłaszcza jeśli przełączymy automatyczną skrzynię biegów z trybu eco na sport). Sama skrzynia świetnie radzi sobie ze sprawnym przełączaniem biegów, choć podczas bardziej dynamicznej jazdy zdarzają się jej lekkie szarpnięcia.

Wprawdzie trudno mówić o wielkiej frajdzie z jazdy, Niro jeździ się jednak przyjemnie. Auto prowadzi się stabilnie i choć jest dość wysokie, to na zakrętach dobrze trzyma się drogi. Układ kierowniczy mógłby jednak lepiej przekazywać kierowcy informacje o tym, co akurat dzieje się z kołami.

Silnik elektryczny pozwala przy niskich obrotach cieszyć się niemal bezgłośnie jazdą. Na szczęście stosunkowo cicha jest również jednostka benzynowa, co w połączeniu z niezłym wyciszeniem kabiny może być istotnym punktem przy podejmowaniu decyzji: hybryda czy może jednak diesel.

Zaletą hybrydy jest oczywiście możliwość odzyskiwania energii przez układ hamulcowy, co przekłada się na zmniejszony apetyt na paliwo. W naszym teście przy dynamicznym stylu jazdy auto spalało średnio 6,3 l/100 km w cyklu mieszanym. Oszczędna jazda tylko po mieście przyniosła już średnią na poziomie 4,8 l/100 km. To niezły wynik, choć wciąż gorszy od deklarowanego przez producenta spalania na poziomie 3,8 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Kia Niro zdobyła komplet pięciu gwiazdek. Auto jest też wyposażone w wiele systemów zwiększających bezpieczeństwo. Elektroniczni asystenci poinformują więc, gdy ktoś znajdzie się w martwym polu lusterka, a także ostrzegą, gdy zbyt szybko będziemy zbliżać się do poprzedzających aut. Na trasie przydatny jest aktywny tempomat. Dobrą widoczność zapewnia zaś wysoka pozycja za kierownicą.

CENA

Najtańsza Kia Niro kosztuje 88,9 tys. zł. Za testowaną wersję trzeba już zapłacić 109,9 tys. zł.

KONKURENCI

Hyundai Ioniq, Toyota Auris Hybrid, Toyota C-HR. ©©

Jacek Przybylski





TYLKO U NAS!

BLISCY OFIAR OPOWIADAJĄ O BESTIALSTWIE BOLSZEWIKÓW

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Krzysztof Jasiewicz – Zginęli, bo byli Polakami / Mary Beard – **Upadek Imperium Rzymskiego** / **Marcin Bartnicki – Ostatnie wyroki śmierci w PRL** / Rafał A. Ziemkiewicz – **Niepotrzebny bombowiec Łoś** / Piotr Zychowicz – **Ludobójstwo sowieckich jeńców** / Piotr Semka – **Saga Vidkuna Quislinga** / **Jakub Ostromecki – Kłamstwa „Czarnych chmur”**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl fbea422e6c



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Ugody z „GW” nie będzie

MARCIN MAKOWSKI: Pierwsze sądowe starcie „Wyborcza” vs Tyrmand przeszło do historii. Wracasz z tarczą czy na tarczy?

MATTHEW TYRMAND: Mogę powiedzieć, że jestem zadowolony. Rozprawa odbyła się w środę rano w warszawskim sądzie okręgowym. Jako pierwszy świadek wystąpił James O’Keefe metodycznie wskazujący kłamstwa, których pod jego adresem dopuścił się Tomasz Piątek. Dziennikarz „Wyborczej” określił Jamesa oraz fundację Project Veritas jako prowadzących nielegalne podsłuchy, chcąc przez ten fake news zdyskredytować naszą wspólną działalność. To oczywiście oszczerstwa, na których poparcie nie przedstawił żadnych dowodów. Z kolei Aleks Wierzejski z telewizji Republika zeznał, że w momencie, w którym Piątek oskarżał mnie o afiliację z Trumpem i pośrednio z Putinem, ja w innym wywiadzie z dystansem wypowiadałem się o Donaldzie Trumpie, a wcześniej oficjalnie wspierałem Teda Cruza w wyścigu do Białego Domu.

Po rozprawie w rozmowie z mediami stwierdziłeś, że atak na łamach „Gazety Wyborczej” traktujesz w kategoriach zemsty. Zemsty za co?

Moim zdaniem to była odpowiedź na śledztwo, które prowadziliśmy z Jamesem w USA. Chodziło o powiązania finansowe pomiędzy Open Society George’a Sorosa a polską opozycją – głównie Komitetem Obrony Demokracji. Wielokrotnie wspominaliśmy na łamach naszej rubryki o zbieżności czasowej z wykupieniem części akcji Agory przez fundusz inwestycyjny Sorosa, który mógł uczynić „Wyborczą” narzędziem w lansowaniu filozofii politycznej „państwa otwartego”. Moim zdaniem Tomasz Piątek pisał swój nierzetelny artykuł właśnie w tym duchu. Na szczęście czasy wszechmocy i nietykalności organu Adama Michnika się kończą. Za sprawą depeszy dziennikarza Associated Press informacja o procesie trafiła wszędzie – od „New York Timesa” do „The Washington Post”.

Jakie to uczucie mieć świadomość, że o walce „konserwatywnego aktywisty z Nowego Jorku” z Agorą przeczytała najprawdopodobniej twoja „ulubienica”, Anne Applebaum?

Mała rzecz, a cieszy. Szczególnie, że gdy ostatnim razem gościłem na łamach „The Washington Post”, nazwano mnie „antysemitą”. Nagle

sytuacja się zmieniła, bo dziennikarz AP wykonał swoją pracę znacznie rzetelniej niż wszystkie liberalne media z wielkim ego razem wzięte. Fakty przemówiły same za siebie, a przy zestawieniu ich ze zdjęciami w samej postawie i samym ubiorze widać było, kto przyszedł do sądu, mając szacunek do tego miejsca. Linia obrony Tomasza Piątka, o której opowiadał polskim mediom, polegała na udowadnianiu, że powodem wniesienia pozwu był rzekomo artykuł o Antonim Macierewiczu i jego rosyjskich koneksjach. Co ma jedno do drugiego? Ten człowiek najwidoczniej nie ma świadomości, ile czasu kompletuje się dokumenty, ile godzin potrzebują prawnicy na zbudowanie pozwu liczącego prawie 60 stron. Stąd zwłoka ze skierowaniem sprawy do sądu. Ja nie robię takich rzeczy po łebkach i dlatego mam nadzieję, że wygram.

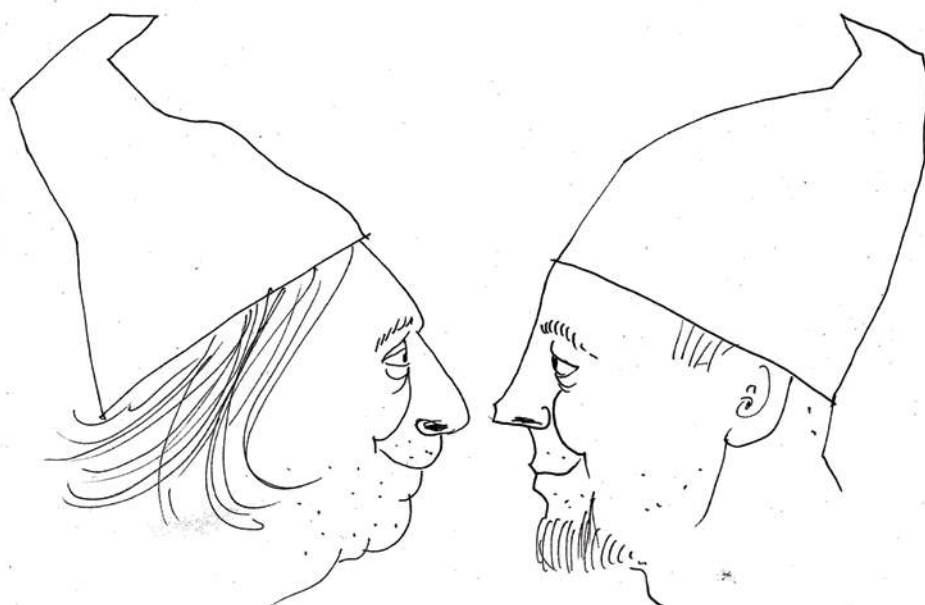
Przed rozpoczęciem rozprawy sąd zaapelował o zawarcie ugody między stronami. Nie zgodziłeś się.

Rozumiem apel sędziego, w Stanach zdecydowana większość spraw sądowych znajduje taki właśnie finał. Zawarcie ugody wymaga jednak dobrej woli pozwanego i pozywającego, na razie Agora jej nie przejawiała. Następne starcie w listopadzie, będą nowe dowody nierzetelności Piątka. Na koniec – mam nadzieję – 50 tys. zł odszkodowania do przelania na konta fundacji, które walczą o wartości konserwatywne. Najbardziej kuriozalnym akcentem dnia było dla mnie jednak oskarżenie Piątka, że moim pozwem walczę z wolnością słowa. Pomiedzy zniestawieniem a wolnością wypowiedzi przebiega cienka granica, którą ten człowiek świadomie przekroczył. Pora, żeby wreszcie ktoś mu to uświadomił. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

PORA NA FESTIWALE PIOSENKI





Major Krysztopa

PREMIERA

Środa 21:00

Nowy program w Telewizji Republika!

Program poprowadzą **Waldemar Fydrych**, przywódca legendarnej "Pomarańczowej Alternatywy" i rysownik **Cezary Krysztopa**.

Podczas rozmowy z widzami Cezary Krysztopa będzie "na żywo" tworzył rysunek - komentarz do programu i najważniejszych wydarzeń polityczno-społecznych.



Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line



www.telewizjarepublika.pl



KATARYNA

Trybunał do kasacji

JULIA PRZYŁĘBSKA: Sędzia Biernat otrzymał ode mnie kwiaty i legitymację sędziego Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku. Oprócz tego niedrogi prezent, długopis czy pióro... Ode mnie, prywatnie, dostał książkę Bronisława Wildsteina, autora krytykowanego przez elity, z którymi utożsamia się wiceprezes Biernat.

ANDRZEJ BIERNAT: Spotkanie trwało trzy minuty i odbyło się w obecności Mariusza Muszyńskiego. Prosiła, żebym się nie wypowiadał o Trybunale w sposób emocjonalny i nie atakował jej męża. Książki Wildsteina w czasie tej rozmowy nie dostałem. Ponad godzinę później, kiedy już byłem poza Trybunałem, dostała mi książkę przez kierowcę. Ponieważ spieszyłem się do Krakowa, książka została w Warszawie. W związku z publiczną wypowiedzią s. Przyłębskiej mam do niej kilka pytań. Czy celowo przesłała mi prezent, który jej zdaniem miał mi sprawić nieprzyjemność?

Taką oto korespondencję via media prowadzi ze sobą obecna prezes Trybunału Konstytucyjnego i jego były sędzia. Uroczne, jeśli ktoś lubi wracać wspomnieniami do czasów podstawówki. Totalny brak klasy obu stron sporu, a z boku swoje dorzucą jeszcze były prezes Andrzej Rzepliński, który – rów-

nież za pośrednictwem mediów – poniża swoją następczynię. „Ona nie zasługuje na nasze myślenie. Żal mi tej kobiety”. Klasa iście trybunalska, ale ten pan już nas do tego przyzwyczaił.

Mam bardzo krytyczny stosunek do sędzi Przyłębskiej, której zrobiono wielką krzywdę, awansując ją z sądu okręgowego w Poznaniu, gdzie sobie nie radziła, do Trybunału Konstytucyjnego, gdzie sobie nie radzi jeszcze bardziej, tyle że teraz na oczach całej Polski. Jednak przynajmniej nie odstaje znacząco od pozostałych sędziów. Właśnie wyszło na jaw, że za świeżo zaprzysiężonym przez prezydenta następcą sędziego Biernata ciągnie się zawodowy smród, bo jego były klientki złożyły oficjalne skargi, że jako ich adwokat oszukiwał. Po sędzim Muszyńskim, który nie zdążył wykasować wszystkich swoich tweetów i dla potomnych zachowały się takie jak ten: „Bartoszewski nie chciał być chowany przez innego prezydenta. Normalnie Bóg zaczyna uśmiechać się do Polaków”, po sędzim Morawskim, który ma sprawę o spowodowanie wypadku, a swoje zagraniczne

podróże wykorzystuje do oskarżania o korupcję instytucji, dla której pracuje, sędzia Zielenacki jest kolejnym przypadkiem udanego naboru do najważniejszego z sądów. Nie wiem, czy to nieudolność służb weryfikujących kandydatów, czy arogancja sprawiająca, że się chce wsadzić na stołek mimo wszystko. Bo kto rządzącemu zabroni? Jednak efekt jest taki, że „nowy” Trybunał Konstytucyjny domknął proces degeneracji tej instytucji, rozpoczęty uwikłaniem się „starego” po jednej ze stron partyjnego sporu.

Trudno mi sobie wyobrazić odbudowywanie powagi tej instytucji, której poważnie nie potraktowali nawet ci, którzy ją obsadzili swoimi ludźmi. Jak już się zatem to prezydenckie referendum konstytucyjne zacznie konkretyzować, to ja bardzo poproszę o pytanie o przyszłość Trybunału Konstytucyjnego, żebym mogła zaznaczyć opcję „do likwidacji”. Bo trybunał, którego nie szanują ani politycy powołujący jego skład, ani sami jego sędziowie, nie będzie szanowany przez obywateli i będzie – już jest – tylko fikcyjnym bezpiecznikiem w demokratycznym systemie. ©

PODSŁUCHANE

Halucynacje

Panie mecenasie, to co ja mam zrobić, żeby tych kach nie dostawać, jak nie przyjdę?

Stawić się, pani prezydent.

No ale kiedy właśnie ja się nie mogę stawić.

To będą kary. Tak to niestety działa. A właściwie czemu się pani nie stawia?

Bo oni mi wtedy będą zadawać pytania.

Na pewno, tak działa komisja. Proszę mówić, że pani nie pamięta.

Ale ja wszystko pamiętam. I to będzie bahdzo niewiahygodnie wyglądać.

Dlaczego?

Panie mecenasie, przecież ja jestem phezydentem tego miasta. Jak ja mogę nie pamiętać, skoho papiehy są, że ja byłam na tych spotkaniach?

Świadkowie często...

Ale czy świadkowie są phezydentami miast? Jak to wygląda – phezydent, któhy nie pamięta, co hobił.

Mam! Wyrobimy pani zaświadczenie, że cierpi pani na narkolepsję.

Na co?

Narkolepsję. Taka choroba, w której zapada się na nagłe drzemki, można nawet mieć halucynacje.

Ale to nie jest choroba psychiczna, proszę się nie obawiać. I powiemy, że jak były te spotkania w sprawie repriwatywacji, to pani na nich była, ale zasypiała od razu.

Ale pani mecenasie, ja tam głos zabiehałam!

To się podciągnie pod halucynacje.

To jak – załatwiamy? ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Lech Wałęsa razem z Władysławem Frasyniukiem 10 lipca w Warszawie. Prawdziwi bohaterowie prawdziwej »S« razem znów w walce o demokrację”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Wymiar

Felieton o tytule „Niesprawiedliwość” („Do Rzeczy” 6/2017) poświęciłem niesprawiedliwości ci panującej nad Wisłą, a dzisiaj poświęcam niesprawiedliwości barłóżącej się nad każdą rzeką świata, albowiem niesprawiedliwość jest wszechobecna niczym „Lekarze bez Granic”, choć leczy tylko niektórych, i tylko z nawiąknę ufności w sprawiedliwość. Czasami wystarczy zestawienie cyfr. Gdy w tym samym czasie amerykańska nauczycielka, pani Fichter, dostaje 22 lata więzienia za „uwiedzenie” trzech swoich 17-letnich uczniów*, a norweski zbrodniarz Breivik inkasuje 21 lat więzienia za zamordowanie 77 bezbronných osób — to nawet ktoś półśrednio inteligentny „kuma”, że chyba coś tu nie gra. Menel, który ukradł ze sklepu 3 tys. dolarów, idzie „siedzieć” na parę lat, a bankierom z JP Morgan Chase, którzy odpłatnie kryli złodziejską „piramidę” Madoffa (kradzież 64,8 mld dol.) — nie spada jeden włos. To jest sprawiedliwość, psiakrew?

Miliony ludzi zżymają się też na niesprawiedliwe werdykty artystyczne. Nobel literacki od trzech dekad wieńczy tylko lewaków, rozmaitych stalinistów, marksistów, goszysztów (Paul Gray: „Decyzje Szwedzkiej Akademii są motywowane politycznie, a nie literacko”), czemu nie należy się dziwić zważywszy lewackość (salonowość) jury, o którym szefowa działu kultury szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter”, Maria Schottenius, rzekła: „To jedno zatrwające kłębowski korupcji, kłamstw, oszustw, intryg, łamania prawa i fałszowania dokumentów”. Coś podobnego można rzec również o Noblu w dziedzinie ekonomii (zbyt często laureatami zostają cwaniacy pokroju Krugmana, kłusujący kapitalizm z isticie leninowską zjadłością) lub o Akademii Filmowej przyznającej Oscary, chociaż skandalicznych werdyktów jest tam mniej. Mojego Ojca wnerwiało ukoronowanie przeciętnego filmu Mankiewicza „Wszystko o Elwie” miast hitu „Bulwar Zachodzącego Słońca” Wildera (1950), a mnie koronacja tandetnego „Titanica” Camerona miast świetnych „Tajemnic Los Angeles” Hansona (1997). Nigdy nie dostali Oscara tacy mistrzowie jak Welles, Kubrick, Hitchcock, Bergman czy Buñuel. Fenomenalny kompozytor Morricone, autor cudownej muzyki do wielu filmów — za żadną „ścieżkę dźwiękową” nie został nagrodzony, a gniew opinii publicznej starano się uciszyć przyznaniem mu Oscara Honorowego (za „calo-

kształt”), czyli wyróżnienia, którego twórcy nie lubią, bo wołają konkretne „naj”. Ten przedrostek bywa zresztą profanowany przez durniów. Prezydent Obama, zwąc operację „Neptun Spear” (wykrycie i zabicie Osamy) „największą bitwą w historii narodu amerykańskiego”, wyrządził karygodną niesprawiedliwość żołnierzom amerykańskim, którzy zginęli pod Cowpens czy Gettysburgiem, na Okinawie i na plażach Normandii, w stu bitwach większych aniżeli zastrzelenie chorego starca (fakt, że lotra) bronionego przez kilka kobiet i podrostków.

Wielkich wojennych niesprawiedliwości Historia zna dużo, wszakże felietonowa szczupłość miejsca zezwala mi wymienić jeden tylko przypadek. Chodzi o tzw. Wojnę Sądneho Dnia z 1973 roku, kiedy to komandosi egipcyscy sforsowali Kanał Sueski, wdzierając się w głąb Izraela, a równocześnie czołgi syryjskie gwałtownym atakiem zajęły Wyżynę Golan. Przez pierwsze 10 dni działań sytuacja Izraela była fatalna, jednak państwo zmobilizowało się i odparło wrogów, choć koszt zwycięstwa był bardzo wysoki, tak fizycznie (2650 żołnierzy zabitych, kilkanaście tysięcy rannych), jak i propagan-



Nicolàs Gómez Dávila: „Liberale bardziej porusza egzekucja mordercy niż śmierć zamordowanego”



dowo (upadek mitu „najlepszej armii świata”). Opinia publiczna dostała furii, żądano „głów”. Czołowi winowajcy (premier Golda Meir i minister obrony Mosze Dajan) postanowili, dla ratowania własnych tyłków, rzucić „ludowi” na pożarcie „koźła ofiarnego”: dowódcę sił zbrojnych, generała Elazara. Oskarżono go o nieudolność i zdegradowano, resztę życia spędził w atmosferze hańby. Co stanowiło rzącą niesprawiedliwość, gdyż to właśnie gen. David „Dado” Elazar jako jedyny ostrzegł przed atakiem, żądając wyprzedzającej mobilizacji (Meir i Dajan zlekceważyli ów postulat), i to on, a nie ktoś inny, w końcu wygrał tę wojnę, przeganiając agresorów i wdzierając się głęboko na terytorium ich państw. Taki już los „koźłów ofiarnych” — nawet gdy są najlepsi, robi się z nich najgorszych.

Co do „naj” można zapytać: które państwo jest najsprawiedliwsze? O ile nie sposób wskazać najlepszej powieści wszech czasów, najlepszego wiersza, malowidła, rzeźby czy filmu, o tyle państwo można — to Singapur. Korupcja nie istnieje tam od 58 lat, czyli od momentu (1959) gdy autorytarną władzę objął uwielbiany przez naród prawnik — antykomunista Lee Kuan Yew, zwany dziś powszechnie „Geniuszem Azji”. Człowiek ten wypalił gorącym żelazem przestępczość każ-

dą, nawet drobnusienką, dając innym krajom (jak USA, gdzie próbowali to kopiować Guliani i Bratton) przykład polityki „zero tolerancji” w formie drakońskiej (surowe karanie za choćby papierka rzucony na jezdnię, za plucie na chodnik i za paskudzenie murów farbą lub kredą). Za mord kara śmierci (pierwsze miejsce pod względem liczby egzekucji w przeliczeniu na liczbę mieszkańców — ranking ONZ). Słowem: Kuan Yew się nie patyczkował. Przy tym jego reformy gospodarcze uczyniły Singapur namiastką raj (amerykański politolog Francis Fukuyama: „Gdyby wszyscy dyktatorzy tego świata byli tacy jak Lee Kuan Yew, to na naszym globie panowałby powszechny dobrobyt”). Panuje tam czystość (najczystsze miasto globu, system: „Keep Singapore Clean”), bezwzględna sprawiedliwość, bezawaryjna komunikacja, bezstresowa biurokracja i całkowite bezpieczeństwo obywateli. Teraz na czele rządu stoi syn „Geniusza” i dalej „Singapore is fine city” pod każdym względem.

Istnieją, oczywiście, szermierze sprawiedliwości, przy których singapurski tytan to łagodny baranek. Króluje wśród nich dzisiaj (i metodami, i rozgłosem, i ogólnonarodowym poparciem) demokratycznie/entuzjastycznie wybrany prezydent Filipin Rodrigo Duterte. Jeden z coraz liczniejszego grona współczesnych polityków, którzy czynnie sprzeciwiają się lewackiemu belkotowi „politycznej poprawności” i beczelnej tyranii oligarchicznego establishmentu, dla niepoznaki przywdziewającego „liberalną” maskę (tego rodzaju politycy — od Kaczyńskiego i Orbána, do Trumpa i Wildersa — grają rolę coraz większą; owa tendencja będzie rosła, świat bowiem ma dosyć wynaturzonego, czyniącego bolesne szkody „postępu”). Duterte jest wśród nich ekstremalny. Obserwując bezradność państw wobec karteli narkotykowych gnojących „prochami” miliony ludzi — postanowił, że w jego państwie rozwiązanie problemu będzie radykalne: hydrze trzeba uciąć wszystkie łby, nie oglądając się na (bezzębne) prawo, wojna totalna! Rozpuścił swe „szwadrony śmierci”, każąc eksterminować przemysłników i dilerów. Przez ponad rok odstrzelił ponad 5 tys. zbirów, zyskując we świecie przydomki filmowe: „Punisher” i „Dirty Harry”. Salon międzynarodowy wrzeszczy, iż „prawa człowieka” są na Filipinach łamane ludobójczo. Publiczna (do mikrofonów) odpowiedź Duterte brzmiała: „ — W moich zamiarach nie ma czegoś takiego jak «prawo do rzetelnego procesu». Mój rozkaz jest prosty: kropnijcie skurwysynów, strzelając celnie, by zabić. I wiercie mi — mam w dupie «prawa człowieka»!”. My tymczasem wolimy państwo łagodne, głaszczące po głowie jeżdżących samochodami „na fleku” (kilkadziesiąt tysięcy przyłapanych rocznie) i bestialsko katujących dzieci (nawet noworodki!) — kilka przypadków tygodniowo! „Co kraj, to obyczaj”... ©©

Waldemar Łysiak

* Notabene: pani Macronowej uwiedzenie szkolnego wychowanka uszło na sucho — bo we Francji.



Każdego dnia towarzyszymy ludziom w drodze do różnych celów.
Angażujemy się w działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa i komfortu podróżowania.
Wspieramy ratowników GOPR, dostarczając wysokiej jakości paliwo - niezawodne
w ekstremalnych warunkach.